

DENNIS LEHANE

MILA KSIĘZYCOWEGO ŚWIATŁA



DENNIS LEHANE

MILA KSIĘŻYCOWEGO ŚWIATŁA

Przełożyła
Teresa Komłosz

Prószyński i S-ka

Tytuł oryginału MOONLIGHT MILE

Copyright © 2010 by Dennis Lehane

All rights reserved

Projekt okładki Dark Crayon / Piotr Cieśliński

Fotografie na okładce

www.istockphoto.com

www.sxc.hu

Redaktor prowadzący Katarzyna Rudzka

Redakcja Lucyna Łuczyńska

Korekta Irma Iwaszko

Łamanie Ewa Wójcik

ISBN 978-83-7648-674-1 Warszawa 2011

Wydawca

Prószyński Media Sp. z o.o.

02-651 Warszawa, ul. Garażowa 7

www.proszynski.pl

Druk i oprawa

Drukarnia Naukowo-Techniczna

Oddział Polskiej Agencji Pasowej S.A.

03-828 Warszawa, ul. Mińska 65

Giannie Malii
Witaj, Mała G.

Żyję po to, by leżeć przy tobie
Ale przebyłem około mili księżycowej na tej drodze

MICK JAGGER, KEITH RICHARDS
„MILA KSIĘŻYCOWEGO ŚWIATŁA”

Część I

Wydawałeś się taki prawdziwy

Rozdział 1

Tego nedorzecznie słonecznego, ciepłego dnia na początku grudnia Brandon Trescott wyszedł z gabinetu odnowy biologicznej w Chatham Bars Inn na Cape Cod i przywołał taksówkę. Seria zatrzymań podczas jazdy pod wpływem alkoholu słono go kosztowała: nie mógł kierować pojazdami mechanicznymi na terenie stanu Massachusetts przez następne trzydzieści trzy miesiące. Dlatego korzystał z taksówki. W wieku dwudziestu pięciu lat ten przyszły rentier, syn sędzi w sądzie apelacyjnym i lokalnego magnata medialnego, nie był zwykłym bogatym gnojkiem. Niewielu złotych młodzieńców mogłoby się z nim równać. Zanim władze stanu zabrały mu prawo jazdy, czterokrotnie stawał przed sądem za „prowadzenie po spożyciu”. Za pierwszym i drugim razem skończyło się na zarzucie nieostrożnej jazdy, potem dostał surowe ostrzeżenie, ale przy kolejnym razie ucierpiała osoba trzecia, on nie miał nawet zadrapania.

Zimowego popołudnia, przy temperaturze około pięciu stopni, Brandon był ubrany w fabrycznie poplamioną, fabrycznie wypłowiałą bluzę z kapturem za jakieś dziewięćset dolarów, a pod nią nosił jedwabną białą koszulkę. Zawieszane pod szyją okulary przeciwsłoneczne kosztowały sześćset dolarów. Materiał luźnych szortów do połowy łydki zdobyły efektowne rozdarcia, wykonane zapewne przez jakiegoś nędznie opłacanego dziewięciolatka z Indonezji. Zimową porą Brandon miał na nogach japonki, a na głowie surferską blond strzechę, opadającą mu wdzięcznie na oczy.

Po całonocnej pijatyce w Crown Royal dachował swoim dodge'em viperem, wracając z Foxwoods z dziewczyną. Była jego dziewczyną zaledwie od dwóch tygodni, ale właściwie można mieć pewność, że już nigdy nie będzie niczyją dziewczyną. Nazywała się Ashten Mayles i od czasu, gdy dach samochodu zgniótł jej czaszkę, znajdowała się w stanie roślinnym. Jedną z ostatnich czynności, którą usiłowała wykonać, gdy miała jeszcze władzę w rękach i nogach, była próba odebrania chłopakowi kluczyków na

parkingu przed kasynem. Według świadków odwdzieczył się za troskę, rzucając w Ashten zapalonym papierosem.

Prawdopodobnie po raz pierwszy zetknął się z czymś takim jak konsekwencje, kiedy rodzice Ashten, niezamożni, lecz ustosunkowani, postanowili zrobić wszystko, by zapłacił za swoje czyny. Prokurator okręgowy Suffolk County postawił zarzuty jazdy pod wpływem alkoholu i spowodowania zagrożenia w ruchu drogowym. Brandon przez cały proces sprawiał wrażenie zszokowanego i wstrząśniętego tym, że ktoś ma czelność oczekiwać od niego odpowiedzialności. Został skazany i odbył karę czterech miesięcy aresztu domowego. W bardzo przyjemnym domu.

Podczas rozprawy z powództwa cywilnego, która nastąpiła potem, okazało się, że nie ma żadnego funduszu powierniczego. Nie ma samochodu, nie ma domu. Wyglądało, że nie ma nawet własnego iPoda. Nic nie należało do niego. To znaczy kiedyś należało, ale szczęśliwym trafem wszystko przepisał na rodziców dzień przed wypadkiem. Oczywiście miano wątpliwości co do tego „przed”, ale nikt nie potrafił udowodnić, że było inaczej. Kiedy sąd przyznał rodzinie Maylesów odszkodowanie w wysokości siedmiu i pół miliona dolarów, Brandon Trescott pokazał puste kieszenie i wzruszył ramionami.

Miałem listę wszystkich dóbr, kiedyś należących do Brandona, których nie wolno mu było używać. Korzystanie z nich, jak stwierdził sąd, zostało by uznane za rzeczywiste posiadanie. Trescottowie oprotestowali przedstawioną przez sąd definicję „posiadania”, ale prasa nie pozostawiła na nich suchej nitki, co z kolei wywołało ostrą reakcję opinii publicznej, takie larum, że koniec końców zgodzili się na zawarcie ugody.

Następnego dnia, pokazując „wał” rodzinie Maylesów i oburzonym tłumom, Dayton i Susan Trescottowie kupili synowi mieszkanie w apartamentowcu w Harwich Port, jako że adwokaci Maylesów w ugodzie nie odnieśli się do przyszłych zarobków i posiadanych dóbr. Właśnie do Harwich Port jechałem za Brandonem pewnego grudniowego popołudnia. W mieszkaniu śmierdziało zwietrzałym piwem i spleśniałym jedzeniem, pozostawionym w zlewie na zaschniętych talerzach. Byłem tam dwukrotnie, żeby podłożyć pluskwy, zgarnąć wszystkie hasła z komputera i wykonać

parszywą śledczą robotę, za którą klienci wolą zapłacić takim jak ja wygórowaną stawkę, byle móc udawać, że nie mają o niej pojęcia. Przejrzałem papiery, ale nie było żadnych wyciągów bankowych, o których byśmy nie wiedzieli, ani żadnych lewych raportów giełdowych. Przeczesanie komputera dało mniej więcej ten sam wynik - nic poza przechwałkami skierowanymi do dawnych kolegów ze szkoły i jakieś żalosne, nigdy niewysłane epistoły w rodzaju „listów do wydawcy”, rojące się ód błędów ortograficznych. Brandon odwiedzał dużo stron pornograficznych i hazardowych i czytał wszystko, co o nim napisano.

Kiedy wysiadł z taksówki, wyjąłem ze schowka cyfrowy magnetofon. Tamtego dnia, gdy włamałem się do jego mieszkania, żeby przejrzeć zawartość komputera, umieściłem nadajnik wielkości ziarnka piasku pod półką ze sprzętem audiowizualnym i drugi w łazience. Słuchałem, jak stęka, szykując się do wzięcia prysznica, potem jak bierze prysznic, wyciera się, przebiera w świeże ubranie, nalewa sobie drinka, włącza wielki płaski telewizor, wybiera kanał z jakimś beznadziejnym reality show o głupich ludziach i siada na kanapie, by się podrapać.

Parę razy musiałem się klepać po twarzy, żeby nie zasnąć, a potem zacząłem przeglądać gazetę leżącą obok na siedzeniu. Przewidywano wzrost bezrobocia. Pies uratował właścicieli z pożaru w Randolph, mimo iż dopiero co przeszedł operację biodra i miał tylne łapy przywiązane do psiego wózka inwalidzkiego. Miejscowy szef rosyjskiej mafii został oskarżony o jazdę po pijanemu, po tym gdy przypiływ wyrzucił jego porsche na plażę Tinean. Drużyna hokejowa z Bostonu wygrała kolejny usypiająco nudny mecz, a zawodnik Ligi Narodowej, trzeci bazowy o sześćdziesięciocentymetrowym obwodzie szyi, wpadł w furję, kiedy go spytano, czy to prawda, że zażywa sterydy.

Zadzwonila komórka Brandona. Rozmawiał z jakimś gościem, zwracając się do niego „brachu”. Rozmawiali o grach na PlayStation 2: *World of Warcraft* i *Fallout 4*, o Lilu Wayne i T.I. i o jakiejś dziewczynie z siłowni, która pisała na Facebooku o tym, ile dodatkowych ćwiczeń wykonała na Wii Fit, mimo iż mieszka tuż obok parku. Wyjrzałem przez okno i poczułem się stary. Ostatnio często popadałem w przygnębienie z tego powodu,

ale nie towarzyszył temu żal. Jeśli w dzisiejszych czasach dwudziestoparolatkiem tak spędzali swoje najlepsze lata, nie było czego żałować. Pomyślałem, że niech sobie mają te dwadzieścia lat. I trzydzieści też. Odchyliłem oparcie fotela i zamknąłem oczy. Brandon i „brach” kończyli rozmowę.

- No dobra, brachu, trzymaj się.
- Ty też się trzymaj, brachu, mocno się trzymaj.
- Hej, brachu.
- Co?
- Nic. Zapomniałem. Pieprzyć to.
- Co?
- Zapominanie.
- No tak.
- Dobra.
- Dobra. Rozłączyli się.

Wymyślałem powody, żeby nie palnąć sobie w łeb. Dość szybko przyszło mi do głowy ze dwadzieścia lub trzydzieści, jednak miałem wątpliwości, czy wytrzymam podobne konwersacje Brandona z którymś z jego „brachów”.

Dominique to zupełnie inna sprawa. Pracowała w korporacji i weszła w życie Brandona przed dziesięcioma dniami poprzez Facebooka. Pierwszego wieczoru czatowali ze sobą dwie godziny. Od tamtej pory trzy razy rozmawiali przez Skype'a. Dominique pozostała całkowicie ubrana, ale snuła barwne opisy tego, co by się działo, gdyby: a) kiedykolwiek łaskawie zgodziła się z nim przespać, b) wykazał się posiadaniem znaczącej sumy w gotówce, koniecznej, żeby taka okoliczność mogła zaistnieć. Przed dwoma dniami wymienili numery telefonów komórkowych. I, dzięki Bogu, zadzwoniła jakieś trzydzieści sekund po tym, gdy rozłączył się z „brachem”. A ten dupek w taki sposób odebrał telefon:

Brandon: - Mów do mnie.

Dominique: - Cześć.

Brandon: - O, cześć. Cholera. Cześć! Jesteś w pobliżu?

Dominique: - Będę.

Brandon: - No to wpadnij.

Dominique: - Zapomniałeś, że rozmawialiśmy przez Skype'a. Nie mogłabym się z tobą przespać u ciebie nawet ubrana w kombinezon ochronny.

Brandon: - To jednak myślisz o tym, żeby się ze mną przespać. Jeszcze nie spotkałem dziwki, która by zdecydowała, z kim to robi.

Dominique: - A spotkałeś taką, która by wyglądała jak ja?

Brandon: - Nie. Jesteś właściwie w wieku mojej mamy. Ale co tam. Cholera. Jesteś najgorętszą laską, jaka kiedykolwiek...

Dominique: - Urocze. Żebyśmy mieli jasność - nie jestem dziwką. Jestem osobą świadczącą usługi cielesne.

Brandon: - Nawet nie wiem, co to znaczy.

Dominique: - Nic dziwnego. A teraz leć po kasę i spotkaj się ze mną.

Brandon: - Kiedy?

Dominique: - Teraz.

Brandon: - Teraz zaraz?

Dominique: - Teraz zaraz. Jestem w mieście dziś po południu i tylko dziś po południu. Nie pójdę do hotelu, więc lepiej, żebyś miał jakieś inne lokum. Nie będę długo czekać.

Brandon: - A gdyby to był naprawdę ładny hotel?

Dominique: - Rozłączam się.

Brandon: - Nie rozłączasz...

Rozłączyła się.

Brandon zaklął. Cisnął pilotem o ścianę. Coś kopnął. Powiedział: „A bo to pierwsza dziwka, która za wysoko się ceni? Wiesz co, brachu? Możesz sobie kupić dziesięć takich jak ona. I do tego działkę koki. Jedź do Vegas”.

Tak, naprawdę nazwał samego siebie „brachem”.

Zadzwoił telefon. Musiał nim rzucić, jak pilotem, bo sygnał był stłumiony i słyszałem, jak Brandon chodzi na czworakach po podłodze. Nim znalazł telefon, sygnał ucichł.

- Kurwa! - wrzasnął tak głośno, że gdybym miał opuszczoną szybę, mógłbym go usłyszeć z samochodu.

Po chwili zaczął się modlić.

- Posłuchaj, brachu, wiem, że spieprzyłem, ale namówisz ją, żeby jeszcze raz zadzwoniła? Pójdę do kościoła i wepcham kupę zielonych do skarbonki. I się poprawię. Tylko zmuś ją, żeby jeszcze raz zadzwoniła, brachu.

Tak, naprawdę nazwał Boga „brachem”.

Dwa razy.

Odebrał, ledwie rozległ się dzwonek.

- Tak?

- Masz tylko jedną szansę.

- Wiem.

- Podaj mi adres.

- Cholera. Ja...

- W porządku, rozłączam się...

- 773 Marlborough Street, pomiędzy Dartmouth i Exeter.

- Numer mieszkania?

- Nie ma numeru, całość należy do mnie.

- Będę za półtorej godziny.

- Nie złapię tak szybko taksówki, zaraz będzie godzina szczytu.

- No to naucz się latać. Do zobaczenia za półtorej godziny. Spóźnisz się minutę? Już mnie nie będzie.

To był aston martin DB9 z dwa tysiące dziewiątego roku. Dostępny za dwieście tysięcy. Dolarów. Kiedy Brandon wyprowadził go z garażu położonego dwa domy dalej, postawiłem ptaszka na swojej liście. Zrobiłem też pięć zdjęć Brandona za kierownicą, kiedy czekał, żeby się włączyć do ruchu.

Wcisnął gaz, jakby wystrzelał raketę na Mleczną Drogę, a ja nawet nie próbowałem go gonić. Wyprzedzał wszystko, co się dało, więc przy takiej jeździe nawet tępak pokroju Brandona zorientowałby się, że mu siedzę na ogonie. Zresztą wcale nie musiałem go śledzić, bo wiedziałem, dokąd zmierza, i znałem skrót.

Przyjechał godzinę i dwadzieścia dziewięć minut po telefonie. Wbiegł po schodach i włożył klucz do zamka, co uwieczniłem na filmie. Następnie pobiegł na górę wewnętrznymi schodami, a ja wszedłem za nim. Trzymałem się niecałe pięć metrów od niego, ale był tak podkrecony, że przez dobre dwie minuty nawet mnie nie zauważył. W kuchni na pierwszym piętrze otworzył lodówkę i odwrócił się, dopiero kiedy pstryknąłem kilka zdjęć cyfrową lustrzanką.

- Coś ty, kurwa, za jeden? - Cofnął się, niemal opierając o wysokie okno za plecami.

- To nie ma większego znaczenia.

- Jesteś paparazzi?

- A czemu paparazzi mieliby się tobą interesować? - Zrobiłem jeszcze parę ujęć.

Wpatrywał się we mnie, odchyliwszy głowę; pokonał strach wywołany pojawieniem się obcego w jego kuchni i przeszedł do oceny zagrożenia.

- Nie jesteś taki znów duży. - Otaksował mnie wzrokiem. - Mógłbym wykopać stąd twoją dupę.

- Nie jestem taki znowu duży - przyznałem. - Ale z pewnością nie mógłbyś wykopać mojej dupy znikąd. - Opuściłem aparat. - Poważnie. Tylko spójrz mi w oczy.

Spojrzał.

- Wiesz, o czym mówię?

Potwierdził ledwie widocznym skinieniem.

- I tak już wychodzę. Cześć, baw się dobrze i staraj się nikomu więcej nie rozwalić mózgu.

- Co chcesz zrobić z tymi zdjęciami?

Wypowiedziałem słowa, od których pękło mi serce.

- Właściwie nic.

Sprawił wrażenie ogłupiałego, co w jego wypadku nie było niczym wyjątkowym.

- Pracujesz dla rodziny Maylesów. Zgadza się?

Pęknięcie w sercu się pogłębiło.

- Nie. Nie zgadza się. - Westchnąłem. - Pracuję dla Duhamela i Standiforda.

- Dla firmy prawniczej?

Pokręciłem głową.

- Ochrona. Dochodzenia.

Patrzył na mnie z otwartymi ustami, nudząc oczy.

- Wynajęli nas twoi rodzice, matole. Domyślali się, że zrobisz coś głupiego, bo... no cóż, jesteś głupkiem, Brandon. Dzisiejszy incydent powinien potwierdzić ich obawy.

- Nie jestem głupkiem - obruszył się. - Chodziłem do college'u.

Nic nie odpowiedziałem; dreszcz zmęczenia przebiegi mi po plecach.

Tak obecnie wyglądało moje życie. Tak.

- Powodzenia, Brandon. - Wyszedłem z kuchni. W połowie schodów dodałem: - Tak na marginesie, Dominique nie przyjdzie.

- Odwróciłem się, opierając łokieć na poręcz. - Aha, no i nie nazywa się Dominique.

Rozległ się charakterystyczny odgłos japonek, jakby mokre cmoknięcia, po czym Brandon ukazał się w drzwiach nade mną.

- Skąd wiesz?

- Bo pracuje dla mnie, matole.

Rozdział 2

Po wyjściu od Brandona spotkałem się z Dominique w barze Ostrygi Neptuna na North End.

Kiedy siadałem przy stoliku, stwierdziła:

- To była jazda. - Oczy miała trochę większe niż zwykle. - Opowiedz mi o wszystkim, co się zdarzyło, kiedy wszedłeś do jego domu.

- Możemy najpierw zamówić?

- Już niosą drinki. Dawaj, dawaj.

Opowiedziałem. Podano drinki, a po przejrzeniu karty zdecydowaliśmy się na homara zapiekanego w bułce. Ona piła jasne piwo. Ja wolałem wodę gazowaną. Powtarzałem sobie, że jest dla mnie lepsza od piwa, zwłaszcza po południu. W głębi duszy wciąż czułem się jak sprzedawczyk. Co sprzedawałem, było już dla mnie mniej jasne, ale mimo to tak się czułem.

Gdy skończyłem opowieść o spotkaniu z Brandonem w japonkach, kłasnęła w dłonie.

- Naprawdę nazwałś go głupkiem?

- Użyłem też paru innych określeń. W większości niepochlebnych.

Kiedy przyniesiono bułki z homarem, zdjąłem marynarkę, poskładałem i przewiesiłem przez oparcie krzesła po mojej lewej stronie.

- Nigdy się do tego nie przyzwyczaję. Ty wystrojony...

- No cóż, jest inaczej niż dawniej. - Wbiłem zęby w bułkę. Możliwe, że to była najlepsza bułka z homarem w Bostonie, a to znaczyło, że prawdopodobnie najlepsza bułka z homarem na świecie.

- To nie strój najbardziej daje mi się we znaki. Najgorsze jest dbanie o fryzurę.

- Całkiem ładny garnitur. - Dotknęła rękawa. - Bardzo ładny. - Wgryzając się w bułkę, obejrzała resztę mnie. - Krawat też ładny. Mama ci wybrała?

- Prawdę mówiąc, żona.
- No jasne, jesteś żonaty. Szkoda.
- Dlaczego szkoda?
- Cóż, może nie dla ciebie.
- Ani dla mojej żony.
- Ani dla twojej żony. - Pokiwała głową. - Ale niektórzy pamiętają czasy, kiedy byłeś znacznie... hmm, weselszy, Patricku. Pamiętasz tamte czasy?

- Owszem.
- I?
- Wydaje mi się, że zabawniej jest je pamiętać, niż było je przeżyć.
- No, nie wiem. - Uniosła brew, pociągając łyk piwa. - Pamiętam, że całkiem nieźle je przeżywałeś.

Napiłem się wody. Właściwie osuszyłem szklankę. Znów ją napełniłem z bardzo drogiej niebieskiej butelki, którą zostawili na stole. Nie po raz pierwszy zastanawiałem się, dlaczego można zostawić na stoliku butelkę wody lub wina, a nie można butelki whisky czy dżinu.

- Nie jesteś biegły w graniu na zwłokę.
- Nie miałem pojęcia, że gram na zwłokę.
- Zaufaj mi, że tak było.

Dziwne, jak szybko piękna kobieta potrafi zmienić umysł mężczyzny w kłęb waty. Tylko dlatego, że jest piękną kobietą.

Sięgnąłem do wewnętrznej kieszeni marynarki, wyjąłem kopertę i podałem jej nad stolikiem.

- Twoja zapłata. Duhamel i Standiford już odjęli podatek.
- Uprzejmie z ich strony. - Schowała kopertę do torebki.
- Nie wiem, czy to uprzejmość. Maniacko trzymają się przepisów.
- Ty się nie trzymałeś.
- Pewne rzeczy się zmieniają.

Zastanowiła się nad tym, co powiedziałem, i jej ciemne oczy zrobiły się jeszcze ciemniejsze, posmutniały. A potem nagle rozpromieniła się. Sięgnęła do torebki, wyjęła kopertę z czekiem i położyła na stoliku.

- Mam pomysł.
- Nie.
- Ależ tak. Rzucamy monetą. Orzeł - ty płacisz za lunch.
- I tak ja płacę za lunch.
- Reszka... - Postukała paznokciem w szklankę z pilznerem.
- Jeśli będzie reszka, to spieniężę czek, pójdziemy do Millennium, weźmiemy pokój i będziemy się bzykać przez resztę popołudnia, naruszając konstrukcję hotelowego łóżka.

Wypiłem łyk wody.

- Nie mam drobnych.

Ściągnęła brwi.

- Ja też nie.

- No cóż...

- Przepraszam - zwróciła się do obsługującego nas kelnera.

- Mógłby nam pan pożyczyć ćwierćdolarówkę? Zaraz zwrócimy.

Podał jej monetę; palce leciutko mu drżały z powodu kobiety dwukrotnie od niego starszej. Ale ona potrafiła zburzyć spokój mężczyzny w prawie każdym wieku.

- Milutki - stwierdziła, kiedy się oddalił.

- Jak na zygotę.

- No już. - Ułożyła monetę na paznokciu kciuka zaczepionego o palec wskazujący. - Wybieraj.

- Nie gram.

- Śmiało. Wybieraj.

- Muszę wracać do pracy.

- Zrób sobie wagary. Nie dowiedzą się.

- Ale ja będę wiedział.

- Sumienność. - Westchnęła. - Stanowczo przeceniana.

Pstryknęła palcami i ćwierćdolarówka wystrzeliła pod sufit, po czym obracając się, spadła na stolik. Wylądowała na czeku, dokładnie w połowie odległości pomiędzy moją wodą i jej piwem. Orzeł.

- Cholera - burknęła.

Oddałem kelnerowi monetę, kiedy przechodził obok stolika, i poprosiłem o rachunek. Czekaliśmy w milczeniu, gdy go sporządzał. On dokończyła piwo. Ja dopiłem wodę. Kelner przeciągnął moją kartę przez czytnik, a ja dodałem sowity napiwek. Kiedy zaś nas mijał, wręczyłem mu banknot.

Spojrzałem nad stolikiem w jej wielkie oczy o kształcie migdałów. Usta miała lekko rozchylone; jeśli się wiedziało, gdzie patrzeć, można było dostrzec małe wyszczerbienie w lewym górnym siekaczu.

- Zróbmy to mimo wszystko - zdecydowałem.

- Pokój.

- Tak.

- Łóżko.

- *Si.*

- Pościel tak wygnieciona, że już nigdy nie da się wyprasować.

- Nie ustawiajmy poprzeczki zbyt wysoko. Wyjęła komórkę i zadzwoniła do hotelu.

- Mają pokój - oznajmiła po chwili.

- Zarezerwuj.

- To takie wyuzdane...

- Twój pomysł.

- Weźmiemy ten wolny - powiedziała moja żona do telefonu.

Znów spojrzała na mnie tak, jakbyśmy mieli po szesnaście lat i pożyczali bez pozwolenia samochód jej ojca. Skupiła się znów na rozmowie: - Nazwisko Kenzie. - Przeliterowała. - Tak, K jak kangur. Imię Angie.

Już w pokoju spytałem:

- Wolisz, żebym cię nazywał Angie? Czy może Dominique?

- A które imię wolisz?

- Oba mi się podobają.

- No to niech będą oba.

- Hej.

- Co?

- Jak mamy wygnieść pościel?

- Racja. Trzymasz mnie?

- Trzymam.

Po krótkiej drzemce do wtóru stłumionych klaksonów i odgłosów ruchu drogowego dziesięć pięter niżej Angie podniosła się i oparła na łokciu.

- To było szalone. - Głos jej lekko zadrżał.

- Owszem.

- Możemy sobie na to pozwolić?

Znała odpowiedź, ale i tak potwierdziłem.

- Prawdopodobnie nie.

- Cholera.

Dotknąłem jej ramienia.

- Od czasu do czasu powinniśmy trochę zaszaleć. Duhamel i Standiford właściwie obiecali, że po tym zleceniu zatrudnią mnie na stałe.

Popatrzyła na mnie, a potem opuściła wzrok na posłanie.

- „Właściwie obiecano” to jeszcze nie przyklepane.

- Wiem.

- Obiecują ci to cholerne stałe zatrudnienie od...

- Wiem.

- ...od dawna. To nie w porządku.

- Nie w porządku, ale co mam zrobić?

Zmarszczyła czoło.

- Co będzie, jeśli ci nie zaproponują stałej pracy?

Wzruszyłem ramionami.

- Nie wiem.

- Jesteśmy prawie bez pieniędzy.

- Wiem.

- A niedługo trzeba zapłacić ubezpieczenie.

- Wiem.

- Tylko tyle umiesz powiedzieć? „Wiem”?

Uświadomiłem sobie, że z całych sił zaciskam żęby.

- Jakoś to znoszę, Angie, wykonuję pracę, mimo że jej nie lubię i za firmą też nie przepadam, ale chcę w końcu mieć stałą posadę, która da nam ubezpieczenie, świadczenia i płatne wakacje. Nie podoba mi się to tak samo jak tobie, ale dopóki nie skończysz szkoły i nie podejmiesz pracy, nie wiem, co innego mógłbym zrobić albo powiedzieć, żeby cokolwiek zmienić.

Oboje odetchnęliśmy głęboko, byliśmy trochę za czerwoni na twarzy, a ściany były trochę za blisko.

- Tylko o tym mówię - odparła cicho.

Wpatrywałem się w okno, czując jak lęk i stres ostatnich paru lat wypełniają mi czaszkę i ściskają serce.

- Angie, wydaje mi się, że w tej chwili to najlepsza opcja. Jeśli Duhamel i Standiford nadal będą stosować metodę kija i marchewki, to trzeba się poważnie zastanowić. Miejmy nadzieję, że do tego nie dojdzie.

- Okay. - Westchnęła z ulgą.

- Patrz na to tak: dług mamy duży, a jesteśmy całkiem splukani, więc zaoszczędzenie forsy, którą właśnie przetraciliśmy na pokój, w żadnym razie nie zmieniłoby sytuacji.

Położyła mi rękę na piersi.

- Słodki jesteś, że tak mówisz.

- Jasne, że jestem. Nie wiedziałaś?

- Wiedziałam. - Wsunęła stopę między moje nogi.

- A sio!

Niecierpliwe trąbienie z dołu jakby się wzmogło. Wyobraziłem sobie jezdnie zapchane nieruchomymi pojazdami.

- Czy wyjdziemy teraz, czy za godzinę, dotrzemy do domu o tej samej porze - powiedziałem.

- Co masz na myśli?

- Różne, bardzo nieprzyzwoite rzeczy.

Położyła się na mnie.

- Mamy opiekunkę do wpół do ósmej.

- Mnóstwo czasu.

Pochyliła głowę tak, że zetknęliśmy się czołami. Pocałowałem ją. To był ten rodzaj pocałunku, którego nie uprawialiśmy już od paru lat - głęboki i niespieszny. Kiedy oderwaliśmy się od siebie, odetchnęła głęboko i znów się nad mną pochyliła.

- Zróbmy to jeszcze kilkadziesiąt razy... - szepnęła.

- Okay.

- A potem jeszcze trochę tego, co robiliśmy przed godziną...

- Było ciekawie, prawda?

- A potem długi gorący prysznic...
- Kupione.
- A potem jedźmy do domu, żeby zobaczyć naszą córkę.
- Zgoda.

Rozdział 3

Telefon zadzwonił następnego dnia o trzeciej nad ranem.

- Pamiętasz mnie? - Kobięcy głos.

- Co? - Nie całkiem się obudziłem. Sprawdziłem na wyświetlaczu: numer prywatny.

- Już raz ją znalazłeś. Znajdź ją znowu.

- Kto mówi?

Słowa miały dziwnie chlupoczące brzmienie.

- Jesteś mi to winien.

- Proszę się lepiej wyspać - poradziłem. - Odkładałem słuchawkę.

- Jesteś mi to winien. - To ona przerwała połączenie.

Rano pomyślałem, że ten telefon mógł mi się tylko przyśnić. Jeśli nawet nie, to i tak nie mogłem sobie przypomnieć, czy był tej nocy, czy poprzedniej. Zakładałem, że do następnego dnia zapomnę o całej sprawie. Idąc do stacji metra, wypłem jak co dzień kubek kawy Dunkin's. Niebo zasnuwały ciężkie, poszarpane chmury, pokruszone szare liście w rynsztoku czekały na pierwszy śnieg, żeby się zamienić w błoto. Drzewa wzdłuż Crescent Avenue były nagie, a zimne powietrze znad oceanu przenikało przez ubranie. Między końcem Crescent a samym portem znajdowała się stacja metra JFK UMass, a za nią parking. Na schodach do stacji już panował tłok.

Mimo to w tłumie, u szczytu schodów, dostrzegłem twarz kogoś, kogo miałem nadzieję już nigdy nie zobaczyć. To była zmęczona, zacięta twarz kobiety, którą w życiu omijało szczęście. Kiedy podszedłem bliżej, uśmiechnęła się z wahaniem i uniosła rękę.

Beatrice McCready.

- Witaj, Patricku. - Na górze hulał wiatr; osłaniała się przed nim cienką dżinsową kurtką z kołnierzem podciągniętym aż po uszy.

- Cześć, Beatrice.

- Przepraszam za ten nocny telefon. Ja... - Wzruszyła ramionami w geście bezradności i przez chwilę w milczeniu przyglądała się fali ludzi śpieszących do metra.

- Nie ma o czym mówić.

Staliśmy w przejściu do bramek i wciąż nas potrącano; odsunęliśmy się na bok, pod białą metalową ścianę z wymalowaną mapą połączeń.

- Dobrze wyglądasz - powiedziała.

- Ty też.

- Miło, że skłamałeś.

- Wcale nie. - To miało zabrzmieć wiarygodnie.

Obliczyłem szybko, że musi mieć około pięćdziesiątki. W dzisiejszych czasach pięćdziesiątka mogła się stać nową czterdziestką, ale w jej wypadku była sześćdziesiątką. Włosy, niegdyś rudo-blond, teraz miała siwe, a bruzdy na twarzy tak głębokie, że nie było widać dna. Sprawiała wrażenie osoby czepiającej się mydlanej ściany.

Dawno temu... całe wieki temu siostrzenica jej męża została porwana. Odnalazłem ją i umieściłem z powrotem w domu, który dzieliła z Helene, szwagierką Bei, swoją matką, mimo iż Helene trudno nazwać urodzoną matką.

- Jak tam dzieci?

- Dzieci? - Zdziwiła się. - Mam tylko jedno.

Jezu.

Wysiliłem pamięć. Chłopiec. Tyle pamiętałem. Miał pięć lub sześć lat, cholera, a może siedem, w tamtym czasie. Mark. Nie. Matt. Nie. Martin. Z całą pewnością Martin.

Zastanawiałem się nad nowym rozdaniem, nad wymienieniem tego imienia, ale pozwoliłem, żeby cisza między nami trwała za długo.

- Matt. - Bea przyglądała mi się uważnie. - Ma teraz osiemnaście lat. Kończy Monument High.

Monument High to był typ szkoły, w której dzieciaki uczą się matematyki, licząc swoje łuski po nabojach.

- O! Podoba mu się?

- On jest... zważywszy na okoliczności, jest, wiesz... potrzebuje czasem,

żeby nim pokierować, ale i tak skończył lepiej, niż by skończyły inne dzieciaki na jego miejscu.

- Wspaniale, cieszę się. - Pożałowałem tych słów, ledwie wyszły mi z ust. To był wyjątkowo gówniany banał, w dodatku wypowiedziany odruchowo.

Błysnęła zielonymi oczyma, jakby mi chciała opisać, z najdrobniejszymi szczegółami, jak cholernie „wspaniale” miała życie, odkąd przyłożyłem rękę, żeby wsadzić jej męża do więzienia. Miał na imię Lionel i był przyzwoitym człowiekiem, który zrobił złą rzecz, kierując się szlachetnymi pobudkami, a potem miotał się bezradnie, kiedy wokół zaroilo się od potworów. Bardzo go lubiłem. Jednym z ironicznych aspektów sprawy Amandy McCready było to, że jej negatywnych bohaterów lubiłem bardziej niż pozytywnych. Jedyny wyjątek stanowiła Beatrice. Ona i Amanda to jedyne niewinne uczestniczki tej całej historii.

Gapiła się na mnie, jakby pod moją zewnętrzną powłoką szukała innego mnie. Lepszego, bardziej autentycznego.

Grupa nastoletnich chłopców przeszła przez bramki; mieli na sobie kurtki z napisami - sportowa reprezentacja liceum BC High, które znajdowało się o dziesięć minut piechotą przy Morrissey Boulevard.

- Amanda miała... ile, cztery lata, kiedy ją znalazłeś?

- Tak.

- Teraz ma szesnaście. Prawie siedemnaście. - Wskazała podbródkiem na sportowców schodzących po schodach na Morrissey Boulevard. - Jest w ich wieku.

To zabołało. Jakoś nie docierało do mnie, że Amandzie McCready przybyło lat. Że nie jest już tą samą czterolatką, którą ostatni raz widziałem w mieszkaniu jej matki; gapiła się wówczas w telewizor, zaciekawiona reklamą psiej karmy; bijąca od ekranu poświata nadawała twarzy dziewczynki niebieskawy odcień.

- Szesnaście - powtórzyłem.

- Dasz wiarę? - Beatrice się uśmiechnęła. - Kiedy to zleciało?

- Przeminięło z wiatrem.

- Na to wygląda.

W naszą stronę zbliżała się znów grupa sportowców i przeszło paru młodych ludzi o wyglądzie prymusów.

- Mówiłaś przez telefon, że znowu jej nie ma.
- No tak.
- Uciekła?
- Jeśli się ma matkę taką jak Helene, nie można tego wykluczyć.
- Są jakieś powody, by uważać, że to mogło być coś... sam nie wiem...

poważniejszego?

- Cóż, po pierwsze, Helene się nie przyzna, że jej nie ma.
- Dzwoniłaś na policję?

Pokiwała głową.

- Pewnie. Wypyтали o nią Helene. Powiedziała im, że z Amandą wszystko w porządku. I gliniarze dali spokój.

- Dlaczego na tym poprzestali?

- Dlaczego? Przecież to urzędnicy miejscy zabrali Amandę w dziewięćdziesiątym ósmym. Adwokat Helene pozwał gliniarzy, ich związek zawodowy, miasto. Dostał trzy miliony. Milion schował do kieszeni, a dwa miliony poszły na fundusz powierniczy dla Amandy. Gliniarze panicznie boją się Helene, Amandy, całej tej sprawy. Jeśli Helene, patrząc im w oczy, powie: „Z moim dzieckiem wszystko w porządku, idźcie sobie skąd przyszliście”, to jak myślisz, co zrobią?

- Rozmawiałaś z kimś z mediów?
- Jasne. Oni też nie chcieli tego tykać.
- Dlaczego?

Wzruszyła ramionami.

- Pewnie chodzi o grubszą rybę.

Brzmiało to nedorzecznie. Nie potrafiłem sobie wyobrazić, co to może być, ale czegoś mi nie mówiła.

- Co według ciebie mogę zrobić, Beatrice?
- Nie wiem. A co możesz zrobić?

Słabnący wiatr rozwiewał jej siwe włosy wokół twarzy. Nie było żadnych wątpliwości, że wini mnie, iż jej mąż został postrzelony, a kiedy leżał w szpitalu, przedstawiono mu długą listę zarzutów. Wyszedł z domu, żeby się ze mną spotkać w jednym z barów w południowej części Bostonu. Stamtąd trafił do szpitala. Ze szpitala do aresztu. Z aresztu do więzienia. Wyszedł ze swojego domu w pewne czwartkowe popołudnie i więcej do niego nie wrócił.

Patrzyła na mnie tak, jak zakonnice miały zwyczaj patrzeć na mnie w liceum. Wtedy tego nie lubiłem i teraz też mi się nie podobało.

- Beatrice. Bardzo mi przykro, że twój mąż porwał swoją siostrzenicę, bo uważał, że jego siostra jest beznadziejnym rodzicem.

- Uważał?

- Przecież naprawdę ją porwał.

- Dla jej dobra.

- Okay. Więc powinniśmy pozwalać, by każdy mógł decydować, co jest dobre dla dziecka, które nie należy do niego. Dlaczego nie? Wszystkie dzieciaki z gównianymi rodzicami niech się ustawią w kolejkę na najbliższej stacji metra. Zostaną wysłane do Wonkaville, gdzie będą żyć długo i szczęśliwie.

- Skończyłeś?

- Nie, jeszcze nie. - Z trudem nad sobą panowałem. Od lat narastała we mnie furia, z każdym rokiem zbliżając się do powierzchni skóry. - Od czasu wykonania tamtego zlecenia musiałem dużo znieść. Ale po to zostałem wynajęty, Bea.

- Biedaczysko. Nikt go nie rozumie.

- Ty mnie wynajęłaś. Powiedziałaś: „Znajdź siostrzenicę mojego męża”. I ją znalazłem. Chcesz przez następne dziesięć lat uniesieniem brwi przypominać mi, że jestem winny. Odwal się. Wykonałem swoją pracę.

- I sporo osób przy tym ucierpiało.

- Ja ich nie skrzywdziłem. Znalazłem Amandę i sprowadziłem do domu.

- Tak sobie z tym radzisz?

Oparłem się o ścianę, wydychając powietrze, a wraz z nim irytację. Sięgnąłem do kieszeni po kartę magnetyczną, potrzebną do przejścia przez bramkę na peron.

- Muszę jechać do pracy, Bea. Miło było cię widzieć. Przepraszam, ale nie mogę pomóc.

- Chodzi o pieniądze?

- Co?

- Wiem, że ci nie zapłaciliśmy, kiedy ją znalazłeś pierwszy raz, ale...

- Co? Nie. To nie ma nic wspólnego z pieniędzmi.

- Więc w czym rzecz?

- Posłuchaj - zacząłem najłagodniej, jak umiałem. - Cierpię z powodu sytuacji ekonomicznej jak wszyscy. Nie chodzi o pieniądze, ale też nie mogę podjąć pracy, za którą nie dostanę zapłaty. Poza tym wkrótce mam rozmowę z kimś, kto może mi dać stałą posadę, więc i tak nie mógłbym wziąć nic na boku. Rozumiesz?

- Helene ma chłopaka - powiedziała Beatrice. - A poprzedni? Siedzi w więzieniu, oczywiście. Zgadnij za co.

Pokręciłem głową.

- Za przestępstwa seksualne.

Przed dwunastu laty Amanda McCready została porwana przez swojego wujka Lionela i kilku niepoprawnych gliniarzy, chociaż nie żądali okupu ani nie chcieli krzywdzić dziewczynki. Zamierzali umieścić dziecko w domu z matką, która nie będzie pić, jakby posiadała akcje wytwórni dżinu, i nie będzie sobie wybierać z sieci chłopców do zabawy. Kiedy odnalazłem Amandę, mieszkała z ludźmi, którzy ją kochali. Pragnęli zapewnić jej zdrowie, stabilizację i szczęśliwe życie. Zamiast tego poszli do więzienia, a Amanda wróciła do domu Helene. Przeze mnie.

- Jesteś winien, Patricku.

- Co?

- Jesteś winien.

Znów odezwała się złość. Tykanie przeszło w bębnienie. Zrobiłem, co należało. Nie miałem żadnych wątpliwości. Zamiast wątpliwości przepętniała mnie złość - mroczna i nielogiczna, i każdego kolejnego dnia z tych dwunastu lat sięgająca głębiej. Wcisnąłem ręce do kieszeni, żeby nie walić nimi w białą ścianę z mapą metra.

- Nic nikomu nie jestem winien. Ani tobie, ani Helene, ani Lionelowi.

- A co z Amandą? Nie sądzisz, że jej jesteś coś winien? - Uniosła dłoń; kciuk i palec wskazujący niemal się ze sobą stykały. - Choć odrobinę?

- Nie - odparłem stanowczo. - Trzymaj się, Bea. - Ruszyłem w stronę bramki.

- Nawet nie spytałeś o niego.

Stałem. Odwróciłem się do niej, wpychając ręce głębiej do kieszeni.

Przeniosła ciężar ciała z lewej nogi na prawą.

- Mój mąż. Do tego czasu powinien był już wyjść, wiesz, tak normalny facet jak on. Adwokat powiedział, kiedy przyznaliśmy się do winy, że Lionel zostanie skazany na dwanaście lat, ale odsiedzi tylko sześć. Mówili prawdę. - Zrobiła krok w moją stronę. Przystanąła. Zrobiła dwa kroki w tył. - Ludzie przeciskali się pomiędzy nami, nie którzy rzucali nam zacieka-wione spojrzenia. - Często go tam biją. Gorsze rzeczy też się zdarzają, ale nie chce o nich mówić. On się nie nadaje do takiego miejsca. Jest po prostu miłym człowiekiem, wiesz? - Znów cofnęła się o krok. - Wdał się w bójkę, jakiś człowiek próbował mu zabrać coś, czego mój mąż nie chciał oddać. Jest postawnym mężczyzną, ten drugi odniósł jakieś obrażenia. I teraz Lionel musi odsiedzieć pełne dwanaście lat, już prawie mijają. Ale oni mówią o nowych zarzutach, chyba że się zgodzi donosić. Pomoże federalnym roz-bić jakiś gang, który szmugluje narkotyki i inne rzeczy. Mówią, że jeśli Lionel im nie pomoże, to mu przedłużą wyrok. A myśleliśmy, że wyjdzie po sześciu latach. - Wygięła usta, jakby próbowała się uśmiechnąć, ale wyszedł z tego raczej grymas bezradności. - Czasami sama już nie wiem. Naprawdę nie wiem...

Nie miałem się gdzie schować. Wytrzymałem jej spojrzenie tak dłu-go, jak byłem w stanie, ale potem opuściłem wzrok na czarną gumową wykładzinę.

Kolejna grupa uczniów przeszła za jej plecami. Śmiali się głośno, bez-trosko. Beatrice odprowadziła ich wzrokiem, jakby nagle porażona wido-kiem ich radości. Wydawała się tak lekka, że wiatr mógłby ją zrzucić ze schodów.

Wyciągnąłem ręce z kieszeni.

- Nie biorę już niezależnych zleceń.

Pokiwała głową, patrząc na moją lewą dłoń.

- Jesteś żonaty?

- Tak. - Zrobiłem krok w jej stronę. - Bea, posłuchaj...

Powstrzymała mnie uniesieniem ręki.

- Dzieci?

Milczałem. Nagle zabrakło mi słów.

- Nie musisz odpowiadać. Przepraszam. Naprawdę. Byłam głupia, że tu przyszłam. Myślałam... Sama nie wiem, ja tylko... - Na moment odwróciła

głowę w prawo. - Założę się, że jesteś w tym dobry.

- Co?

- Założę się, że jesteś naprawdę dobrym ojcem. - Uśmiechnęła się ledwie widocznie. - Zawsze uważałam, że będziesz.

Wtopiła się w tłum i zniknęła mi z oczu. Minąłem bramkę i zszedłem po schodach na peron. Gapiłem się na widoczny stamtąd parking przy Morrissey Boulevard. Fala ludzi schodzących ze schodów zalała asfalt i znów zobaczyłem Beę, ale tylko przez moment. Potem na dobre straciłem ją z oczu.

Rozdział 4

Miałem do przejechania tylko cztery przystanki czerwoną linią. Jednak kiedy jest się ściśniętym w ruchomej puszce wraz z setką innych ludzi, cztery przystanki wystarczą, żeby całe ubranie się wymięło. Wsiadłem na stacji South i bezskutecznie próbowałem przywrócić blask mojemu garniturovi oraz wierzchniemu okryciu, zanim udałem się pod adres Two International Place, gdzie stał wieżowiec gładki i bez serca niczym kolec do lodu. Na dwudziestym siódmym piętrze znajdowały się biura firmy Duhamel-Standiford Global.

Duhamel-Standiford nie umieszczali nic na Twitterze. Nie pisali błoga ani nie ukazywali się na ekranie, kiedy ktoś wstukał w Google'u „prywatne dochodzenie na terenie bostonu i okolic”. Nie można ich było znaleźć w żółtej książce telefonicznej ani na tylnej okładce czasopisma „Bezpieczeństwo i Ty”. Nie domagali się też twojej uwagi o drugiej nad ranem, między reklamą jakiegoś wymyślnego urządzenia gimnastycznego a ogłoszeniami dziewczyn na telefon. Większość miasta w ogóle o nich nie słyszała. Ich budżet przeznaczony na promocję wynosił co kwartał tyle samo: zero.

A prowadzili ten interes od stu siedemdziesięciu lat.

Zajmowali połowę dwudziestego siódmego piętra Two International. Okna od wschodniej strony wychodziły na port. Te od północy na miasto. Żadne nie miały żaluzji. Wszystkie drzwi i przegrody boksów, zrobione z matowego szkła, wyglądały jak oszronione. Czasami w środku lata miało się ochotę włożyć płaszcz. Napis na szklanych drzwiach wejściowych był mniejszy od klamki:

DUHAMEL-STANDIFORD
SUFFOLK COUNTY, MA
ESTAB. 1840

Wpuszczono mnie, gdy zadzwoniłem domofonem, i znalazłem się w hallu o lodowato białych ścianach. Wisiały na nich jedynie kwadraty i prostokąty matowego szkła, żaden nie szerszy ani dłuższy niż trzydzieści centymetrów, większość dwadzieścia na dwadzieścia. Nie sposób było siedzieć tu lub stać bez wrażenia, że jest się obserwowanym.

Za pojedynczym biurkiem w tym przestronnym hallu siedział człowiek, który przeżył każdego, kto by pamiętał czasy, kiedy tam nie siedział. Nazywał się Bertrand Wilbraham. Trudno określić jego wiek, mógł być starym pięćdziesięciopięciolatkiem, jak i świetnie zachowanym osiemdziesięciolatkiem. Jego skóra przypominała mi brązowe mydło, które ojciec trzymał w toalecie w piwnicy. Poza bardzo cienkimi i bardzo czarnymi brwiami na jego głowie nie było ani jednego włosa. Nie miał nawet cienia popołudniowego zarostu. Wszyscy pracownicy i współpracownicy firmy Duhamel-Sandiford płci męskiej musieli nosić garnitury i krawaty. Styl garnituru i krawata był dowolny - jakkolwiek krzywiono się na pastelowe odcienie i kwieciste wzory - ale koszula musiała być biała. Czysto biała, bez żadnych prążków, nawet najsubtelniejszych. Bertrand Wilbraham jednakże zawsze miał na sobie jasnoszarą koszulę. Garnitury i krawaty się zmieniały, choć trudno było je odróżnić, od jednolitych szarości, przez jednolite czernie, do jednolitych granatów, natomiast szara, naruszająca zasady protokołu koszula pozostawała niezmienna, zdawała się mówić, że rewolucja nie ustanie.

Pan Wilbraham sprawiał wrażenie, jakbym mu się nie podobał, ale pocieszała mnie myśl, że chyba za nikim nie przepadał. Kiedy wpuścił mnie do środka, podniósł małą różową karteczkę z blatu nieskazitelnie schludnego biurka.

- Pan Dent domaga się pańskiej obecności w swoim gabinecie, gdy tylko pan przyjdzie.

- Przyszedłem.

- Zauważyłem. - Pan Wilbraham rozłączył palce. Mały różowy kartonik wypadł mu z ręki i sfrunął do kosza.

Przepuścił mnie przez kolejne drzwi i znalazłem się w korytarzu wyłożonym popielatym chodnikiem. W połowie długości znajdował się pokój biurowy, z którego korzystali pracownicy tacy jak ja, kiedy mieli do wykonania papierkową robotę na rzecz firmy. Tego ranka był pusty, co znaczyło,

że mogę go swobodnie zająć. Wszedłem do środka i pozwoliłem sobie na krótką fantazję, że pod koniec dnia będzie już należał do mnie na stałe. Wyrzuciwszy z głowy tę myśl, położyłem na biurku torby. W jednej, sportowej, znajdował się aparat i większość sprzętu, którym posługiwałem się w sprawie Trescottów, w drugiej laptop i zdjęcie mojej córki. Odpiąłem kaburę z pistoletem i schowałem do szuflady. Miała tam zostać przez resztę dnia, ponieważ lubiłem nosić broń mniej więcej tak samo, jak lubiłem jeść jarmuż.

Zostawiłem w szklanym boksie rzeczy i poszedłem szarym korytarzem dalej, do gabinetu Jeremy'ego Denta, wiceprezesa do spraw kadrowych; to on po raz pierwszy zlecił mi robotę przed dwoma laty. Wcześniej byłem wolnym strzelcem. Miałem darmowe biuro w dzwonnicy kościoła Świętego Bartłomieja, dzięki temu, że zawarłem całkowicie nielegalny układ z pastorem, ojcem Drummondem. Kiedy bostońska archidiecezja musiała zacząć ponosić konsekwencje ukrywania przez dziesiątki lat przypadków pedofilii wśród księży, do kościoła Świętego Bartłomieja przysłano kontrolę. W rezultacie moje darmowe biuro zniknęło, tak jak wcześniej dzwonnica, który kiedyś wisiał w dzwonnicy, ale nie widziano go od czasów prezydentury Cartera.

Dent pochodził z długiej linii dobrze urodzonych żołnierzy z Wirginii i ukończył West Point z trzecim wynikiem w swojej klasie. Wietnam oraz War College stanowiły odbicie do szybkiej wspinaczki po szczeblach wojskowej kariery. W połowie lat osiemdziesiątych pełnił funkcję oficera pokojowego w Libanie, po czym wrócił do domu i wyciągnął wtyczkę. Odszedł z wojska w wieku trzydziestu sześciu lat, w stopniu podpułkownika, z przyczyn nigdy w pełni niewyjaśnionych. Spotkał starych znajomych rodziny, z gatunku tych, których przodkowie wycinali swoje nazwiska na burtach „Mayflower”, i od nich dowiedział się o wakacie w firmie; niewiele w ich kręgach o niej wspominało, dopóki nie znaleźli się w prawdziwych tarapatach.

Dwadzieścia pięć lat później Dent był pełnoprawnym współnikiem. Miał biały dom w stylu kolonialnym w Dover i letnią posiadłość w Vineyard Haven. Miał też piękną żonę, syna o mocnych szczękach, dwie wiotkie córki i czworo wnucząt, które wyglądały, jakby po lekcjach pozowały do reklam wyrobów marki Abercrombie. Jednakże wciąż nosił w sobie to coś,

co go zraziło do wojska, niczym gwóźdź w karku. Choć nie brakowało mu uroku, trudno było czuć się przy nim swobodnie, bo sprawiał wrażenie, jakby sam ze sobą nie czuł się swobodnie.

- Wejdz, Patricku - powiedział, kiedy sekretarka otworzyła przede mną drzwi gabinetu.

Uścisnęliśmy sobie dłonie. Nad jego prawym ramieniem widniała wieża hotelu Custom House, a spod lewego łokcia wyłaniał się pas startowy lotniska Logana.

- Siadaj, siadaj.

Usiadłem, Jeremy Dent także usiadł i przez dobrą minutę spoglądał na miasto.

- Layton i Susan Trescottowie dzwonili do mnie wczoraj wieczorem - odezwał się po chwili. - Mówili, że zająłeś się sprawą Brandona. Sprowokowałeś go, żeby się zdemaskował i tak dalej.

Przytaknąłem skinieniem.

- Łatwo poszło.

Podniósł do ust szklankę z wodą i upił niewielki łyk.

- Mówili, że myślą o wysłaniu go do Europy.

- Dobry pomysł, spodoba się kuratorowi.

Uniósł brwi, jakby zdumiony własnymi myślami.

- To samo powiedziałem. A jego matka, bądź co bądź sędzia, wydawała się szczerze zdziwiona. Rodzicielstwo... Jezu, jest milion sposobów, żeby je schrzanić, i ze trzy, żeby się udało. I to dotyczy matek. Jako ojciec zawsze czułem, że mogę mieć najwyżej nadzieję wznieść się do poziomu eunucha z największą torbą. - Dopił wodę i zdjął nogi z biurka. - Chcesz soku albo czegoś innego do picia? Nie mogę już pić kawy.

- Jasne.

Podszedł do barku pod płaskim telewizorem, wyjął butelkę soku żurawinowego i szukał lodu. Przyniósł szklanki do biurka, stuknął się ze mną w geście toastu i obaj podnieśliśmy do ust ciężkie kryształki Waterforda wypełnione sokiem żurawinowym. Następnie Dent powrócił siedzeniem na fotel, nogami na biurko i spojrzeniem na miasto.

- Pewnie się zastanawiasz nad swoją pozycją w firmie.

Zrobiłem minę, która miała mu dać do zrozumienia, że owszem, jestem żywo zainteresowany, ale nie naciskam.

- Wykonałeś dla nas świetną robotę, a w istocie mówiłem, że rozważymy możliwość zatrudnienia cię na stałe po zamknięciu sprawy Trescotta.

- Tak, pamiętam.

Uśmiechnął się, pociągając łyk soku.

- I jak ci się zdaje, jak poszło?

- Z Brandonem Trescottem?

Potwierdził skinieniem.

- Najlepiej jak mogło. Udało nam się sprowokować chłopaka tak, że zdemaskował się przed nami, zanim nakłoniła go do tego jakaś dziennikarka z tabloidu, udająca striptizerkę. Jestem pewien, że Trescottowie już zajęli się porządkami.

Zachichotał.

- Zaczęli o piątej rano.

- I dobrze. Można więc chyba powiedzieć, że poszło całkiem nieźle.

Pokiwał głową.

- Poszło. Zaoszczędziłeś im kupę forsy i nie przyniosłeś nam wstydu.

Czekałem na jakieś „ale”.

- Ale... Brandon Trescott poskarżył rodzicom, że mu groziłeś w jego własnej kuchni i ubliżałeś.

- Nazwałem go głupkiem, jeśli dobrze pamiętam.

Podniósł z blatu pojedynczą kartkę i przebiegł ją wzrokiem.

- I matole. I żartowałeś, gadając o rozwalaniu ludziom mózgow.

- Przez niego ta dziewczyna wylądowała na wózku inwalidzkim - przypomniałem. - Na resztę życia.

Wzruszył ramionami.

- Nie płacą nam, żebyśmy się przejmowali nią czy jej rodziną. Płacą nam za to, żebyśmy nie pozwolili im oskubać naszych klientów. Ofiara? To nie nasze zmartwienie.

- Nie twierdziłem, że nasze.

- Dopiero co stwierdziłeś, cytując: „Przez niego ta dziewczyna wylądowała na wózku inwalidzkim”.

- Nic do niego nie mam. Jak sam pan powiedział, to tylko praca. I ja ją wykonałem.

- Ale go obraziłeś, Patricku.

Ja. Obraziłem. Brandona.

- Właśnie. A dzięki takim klientom, jak jego rodzice, w ogóle funkcjonujemy.

Odstawiłem szklankę na blat.

- Potwierdziłem jedynie to, co wszyscy wiemy: że ich syn jest idiotą. Dałem im wszelkie informacje, jakich potrzebują, żeby go chronić przed nim samym i żeby rodzice jakiejś paralityczki nie wyciągali swoich chytrych łap po jego auto warte dwieście tysięcy dolarów.

Oczy mu się zaokrągliły z wrażenia.

- Tyle kosztuje to cacko? Ten aston martin?

Pokiwałem głową.

- Dwieście tysięcy. - Zagwizdał. - Za angielskie auto.

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu. Nie sięgnąłem więcej po mojego drinka.

- Rozumiem więc, że nie będzie propozycji stałej posady.

- Niestety. - Rozłożył ręce. - Nie rozumiesz jeszcze tutejszej kultury, Patricku. Jesteś doskonałym detektywem. Ale to, co masz wypisane na czole...

- Słucham?

Zaśmiał się, unosząc szklankę w geście toastu.

- Myślisz, że w tym eleganckim garniturze wyglądasz jak jeden z nas. Ale ja widzę tylko niechęć klasową. Właśnie ją masz wypisaną na czole. Nasi klienci też ją widzą. Jak sądzisz, dlaczego dotąd nie poznałeś Wielkiego D.?

Wielkim D. wszyscy w firmie nazywali Morgana Duhamela, siedemdziesięcioletniego wszechmocnego prezesa zarządu. Był ostatnim z Duhamelów - miał cztery córki i wszystkie wychodząc za mąż, przybrały nazwiska mężów - ale przeżył Standifordów. Ostatniego z nich nie widziano od połowy lat pięćdziesiątych. Gabinet Morgana Duhamela pozostał, wraz z biurami kilku starszych wspólników - w dawnej siedzibie firmy, w dyskretnie cofniętym od ulicy budynku o czekoladowej łukowatej fasadzie przy Acorn Street, u stóp Bacon Hill. Klienci posiadający „stare pieniądze” tam przychodzili powierzać firmie swoje kłopoty, natomiast ich potomków i nuworosyzy przyjmowano w International Place.

- Zawsze zakładałem, że Wielki D. niezbyt się interesuje współpracownikami.

Dent pokręcił głową.

- Ma encyklopedyczną wiedzę na temat tego miejsca, wszystkich tu zatrudnionych, ich współmałżonków i krewnych. I wszystkich współpracowników. To Duhamel powiedział mi o twoim związku z handlarzem bronią. - Uniósł brew. - Staruszkowi nic nie umknie.

- Zatem wie o mnie.

- Uhu. I podobasz mu się. Bardzo chętnie by cię przyjął na stałe. Ja też. W przyszłości mógłbyś nawet zostać współnikiem. Ale jeśli i tylko jeśli zmienisz swoje nastawienie. Myślisz, że klienci lubią siedzieć w jednym pomieszczeniu z facetem, który ich osądza?

- Ja nie...

- Pamiętasz, co się zdarzyło w zeszłym roku? Prezes Branch Federated przyleciał tu ze swojej siedziby w Houston, specjalnie, żeby ci podziękować. Nigdy nie dziękował żadnemu ze współników, a pofatygował się, żeby wyrazić wdzięczność najemnemu pracownikowi. Pamiętasz to?

Trudno zapomnieć. Premia za tę sprawę wystarczyła na opłacenie rodzinnego ubezpieczenia za zeszły rok. Branch Federated zarządzało kilkuset firmami, a jedną z najbardziej dochodowych stała się Downeast Lumber Incorporated. DLI działała w okolicach Bangor i jeziora Sebago w stanie Maine i była największym w kraju producentem stempli, używanych w budownictwie jako tymczasowe podpory konstrukcyjne. Zatrudniono mnie fikcyjnie w biurze nad jeziorem Sebago; miałem zbliżyć się do kobiety o miłym dla ucha imieniu i nazwisku Peri Pyper. Zarząd Branch Federated podejrzewał ją o sprzedaż konkurencji firmowych tajemnic. Tak nam przynajmniej powiedziano. Po miesiącu pracy z Peri Pyper nabrałem pewności, iż kobieta gromadzi dowody, że Branch Federated majstruje przy sprzęcie monitorującym zanieczyszczenie środowiska. Szybko zorientowałem się, że ma dowody, iż firma umyślnie złamała przepisy dotyczące ochrony powietrza przed skażeniami oraz składała nieprawdziwe oświadczenia. Peri mogłaby dowieść, że Branch Federated nakazało menedżerom swoich zakładów przestrajać monitory zanieczyszczeń w ośmiu stanach, okłamało departament zdrowia w czterech stanach, a do tego podrabiało wyniki

testów kontroli jakości we wszystkich, bez wyjątku, swoich fabrykach.

Pyper wiedziała, że jest obserwowana, więc nic nie mogła wynieść z biura ani przesłać danych na swój domowy komputer. Ale Patrick Kendall, skromny kierownik marketingu i zarazem jej kumpel od kieliszka, mógł. Po dwóch miesiącach poprosiła mnie o pomoc, przy chili w restauracji w South Portland. Zgodziłem się. Potwierdziliśmy nasz układ toastem margarita i zamówiłem kolejny półmisek przekąsek. Następnego wieczoru oddałem ją w ręce ochrony Branch Federated.

Oskarżono ją o niedotrzymanie warunków umowy o pracę i złamanie klauzuli poufności. Sądono ją za kradzież i skazano. Straciła dom. Straciła też męża, który ręczył za nią, kiedy pozostawała w areszcie domowym. Córkę wyrzucono z prywatnej szkoły, syna zmuszono do zrezygnowania z nauki z college'u. Ostatnio, kiedy o niej słyszałem, Peri Pyper w dzień odbierała telefony w komisie samochodowym w Lewiston, a nocami myła podłogi w domu towarowym w pobliskim Auburn.

Myślała, że jestem jej kumplem od kieliszka, platonicznym wielbicielem, bratnią duszą, jeśli chodzi o poglądy polityczne. Kiedy zakładali jej kajdanki, spojrzała mi w twarz. Zrobiła naprawdę wielkie oczy.

- Kurczę, Patrick - powiedziała, zanim ją wyprowadzili. - Wydawałeś się taki prawdziwy.

To był najgorszy komplement, jaki w życiu usłyszałem.

Dlatego gdy jej szef, opasty facet bez piątej klepki, za to z amerykańską flagą wymalowaną na ogonie własnego gulfstreama, przyleciał do Bostonu, żeby osobiście mi podziękować, uściśnąłem mu rękę tak, że zatrząsnęły się zwały tłuszczu na jego piersi. Odpowiadałem na zadawane pytania i nawet się z nim napiłem. Zrobiłem wszystko, o co mnie poproszono. Branch Federated nadal mogło wysyłać swoje stemple na budowy w całej Ameryce Północnej, Meksyku i Kanadzie, a wody gruntowe i gleba w miejscach, gdzie działały jego fabryki, zatruwać ludzi w promieniu trzydziestu kilometrów od nich. Po zakończeniu spotkania wróciłem do domu i popiłem zantac 150 Maaloxem w płynie.

- Byłem nienagannie uprzejmy dla tego człowieka - oświadczyłem.

- Uprzejmy tak, jak ja jestem uprzejmy dla siostry mojej żony, z jej pieprzoną wieczną opryszczką pod nosem.

- Jak na osobę błękitnej krwi dużo pan przeklina - zauważyłem.

- Masz pieprzoną rację. - Uniósł w górę palec. - Ale tylko za zamkniętymi drzwiami, Patricku. Na tym polega różnica. Dopasowuję swoją osobowość do pomieszczenia, w którym się akurat znajduję. Ty tego nie robisz. - Obszedł biurko dookoła. - Jasne, wywęszyliśmy szpiega w DLI i Branch Federated wynagrodziło nas za to po królewsku. Ale co będzie następnym razem? Kto dopilnuje ich interesów następnym razem? Bo nie my.

Nie odzywałem się. Widok był przyjemny. Niebo w kolorze ni to szarości, ni błękitu. Cieniutka błona mgły nadawała powietrzu perłowy odcień. Daleko za centrum miasta majaczyły drzewa, czarne i nagie.

Jeremy Dent oparł się o biurko, krzyżując nogi w kostkach.

- Wypełniłeś 479 w sprawie Trescotta?

- Nie.

- No to idź do waszego biura i to zrób. Wypełnij też formularz wydatków i nie zapomnij dołączyć do akt swojego 692. Potem zdaj Karnesowi sprzęt, którego używałaś... Miałaś canona i sony'ego?

- Używałem też nowych pluskiew Taranti w mieszkaniu chłopaka.

- Słyszałem, że są felerne.

- Nie, działały idealnie.

Dopił sok i popatrzył mi w oczy.

- Słuchaj, znajdziemy ci nowe zlecenie. I jeśli zdołasz je wykonać i nie wkurzyć przy tym nikogo, zatrudnimy cię na stałe, okay? Możesz powiedzieć żonie, że dałem ci słowo.

Pokiwałem głową, czując pustkę w środku.

Znalazłszy się znów w swoim biurze, zastanowiłem się nad możliwościami.

Nie miałem ich wiele. Pracowałem nad jedną sprawą, ale daleko było do wypłaty. Stary znajomy, Mike Colette, prosił mnie o pomoc w wykryciu, który z pracowników jego firmy przewozowej dopuszcza się malwersacji. Po kilku dniach papierkowej roboty zawęziłem krąg ewentualnych sprawców do kierownika nocnej zmiany i jednego czy dwóch kierowców

jeżdżących na krótkich trasach, ale potem poszperałem głębiej i nie wydali mi się już trafnym wyborem. Dlatego skupiłem uwagę na szefowej od rozliczeń z wierzycielami, której Mike w pełni ufał i uważał, że jest poza wszelkimi podejrzeniami.

Spodziewałem się, że ta praca zajmie mi jeszcze jakieś pięć, może sześć godzin.

Pod koniec dnia miałem wyjść z firmy Duhamel-Standiford i czekać na następny telefon, na następną próbę. Tymczasem rachunki pojawiały się w skrzynce na listy codziennie. Jedzenie z lodówki znikało, a półki jakoś nie chciały się same zapełniać. Pod koniec miesiąca przypadał termin opłacenia ubezpieczenia zdrowotnego, a ja nie miałem pieniędzy.

Odchyliłem się na oparcie fotela. Witamy w dorosłym życiu.

Musiałem uzupełnić akta i napisać trzy raporty w sprawie Brandona Trescotta, ale zamiast tego chwyciłem za telefon i zadzwoniłem do Richiego Colgana, Najbielszego Czarnego w Ameryce.

Odebrał osobiście.

- „Tribune”, dział Metro.
- Nie słyszę w twoim głosie braterskiego tonu.
- Moi ludzie nie mają tonu, tylko dumne królewskie dziedzictwo, czasami zakłócanie przez rasistów strzelających z bata.
- Chcesz powiedzieć, że jeśli Dave Chappelle odbierze jeden telefon, a George Will drugi, będzie mi trudno odgadnąć, który z nich to biały człowiek?
- Nie, ale omawianie tego w eleganckim towarzystwie nadal jest *verboten*.
- Teraz jesteś Niemcem - stwierdziłem.
- Tylko ze strony mojego francuskiego ojca rasisty - sprostował. - Co jest?
- Przypominasz sobie Amandę McCready? Mała dziewczynka, która...
- Zaginęła. Kiedy to było, pięć lat temu?
- Dwanaście.
- O kurczę. Dwanaście lat? To ile my mamy?
- Pamiętasz, co myśleliśmy, będąc w college'u, o gościach, którzy gadali na przykład o The Dave Clark Five i o Buddym Hollym?
- No?

- To samo myślą dzisiejsze dzieciaki, kiedy rozmawiamy o Prinsie i Nirwanie.

- Niece...

- Wierz mi, stary. Zresztą, mniejsza o to. Amanda McCready...

- Tak, tak. Znalazłeś ją z rodziną tego gliniarza, sprowadziłeś z powrotem, cała policja cię nienawidzi i potrzebujesz ode mnie przysługi.

- Nie.

- Nie potrzebujesz przysługi?

- No dobra, potrzebuję, ale to jest bezpośrednio związane z Amandą McCready. Znowu zniknęła.

- Bez jaj.

- Serio. Jej ciotka mówi, że nikogo to nie obchodzi. Ani gliniarzy, ani was.

- Trudno uwierzyć. Przy nadawaniu wiadomości przez dwadzieścia cztery godziny? W dzisiejszych czasach da się zrobić newsa dosłownie z niczego.

- To wyjaśnia zjawisko Paris Hilton.

- Jego nic nie wyjaśnia. Chodzi o to, że dziewczyna znika znowu dwaście lat po pierwszym zniknięciu, przy którym wyleciało kilku gliniarzy, a miasto straciło parę milionów z budżetu w kiepskim roku? Kurde, to jest news, białasie.

- Tak też myślałem. Nawiasem mówiąc, brzmiałeś prawie jak czarny.

- Rasista. Jak się nazywa ciotka?

- Bea. Beatrice McCready.

- Ciotka Bea? Cóż, to nie to samo co Mayberry.

Oddzwonił do mnie po dwudziestu minutach.

- To było proste.

- Co?

- Rozmawiałem z oficerem śledczym, detektywem Chuckiem Hitchcockiem. Powiedział, że zbadali doniesienie ciotki, poszli do domu matki, rozejrzeli się i rozmawiali z dziewczyną.

- Rozmawiali z Amandą?

- Owszem. To była jakaś ściema.

- Dlaczego Bea miałyby zmyślać...

- Och, Bea jest w tym niezła, bez dwóch zdań. Znasz matkę Amandy... jak jej było, Helene? Musiała podjąć pewne kroki przeciwko tej kobiecie, bo od kiedy zginął jej dzieciak...

- Chwileczkę, czyj dzieciak?

- Beatrice McCready.

- Jej syn nie zginął. Jest w Monument High.

- Nie, nie jest w Monument High - powiedział wolno Richie. - Nie żyje. On i kilkoro innych dzieciaków wybrało się w zeszłym roku na przejażdżkę. Wszyscy za młodzi, żeby prowadzić, i za młodzi, żeby pić, ale robili jedno i drugie. Nie stanęli na znaku stopu u stóp wzgórza, gdzie był kiedyś szpital Świętej Małgorzaty. Autobus rozjechał ich na placzek na Stoughton Street. Dwoje zginęło, a dwoje zostało na resztę życia kalekami, mówią od rzeczy, nie chodzą. Jednym z zabitych był Matthew McCready. Znalazłem to właśnie w naszym archiwum w sieci. Piętnasty czerwca zeszłego roku. Pośląć ci linka?

Rozdział 5

Kiedy wyszedłem ze stacji metra i kierowałem się do domu, w głowie mi buzowało. Po odłożeniu telefonu otworzyłem linka, którego przysłał mi Richie, i znalazłem na czwartej stronie z czerwca zeszłego roku historię o czterech chłopakach, którzy skradzionym autem gnali na oślepe ze wzgórza, pijani i napaleni trawą. Kierowca autobusu nie miał nawet czasu nacisnąć na klakson. Harold Endalis, lat piętnaście, sparaliżowany od pasa w dół. Stuart Burrfield, lat piętnaście, sparaliżowany od szyi w dół. Mark McGrath, lat szesnaście, zmarł po przywiezieniu na ostry dyżur do szpitala Carney. Matthew McCready, lat szesnaście, zginął na miejscu. Zszedłem po schodach i Crescent Avenue ruszyłem do domu, myśląc o tych wszystkich głupotach, jakie robiłem, mając szesnaście lat. Z dziesięć lub dwanaście razy mogłem zginąć... wręcz powinienem był zginąć, zanim skończyłem siedemnaście.

Dwa pierwsze domy z południowej strony Crescent, podobne do siebie, oba w stylu Cape Cod, były opuszczone, padły ofiarą kryzysu panującego ostatnio na rynku nieruchomości. Kiedy mijałem drugi, zaczął mnie bezdomny mężczyzna.

- Ej, ty, masz minutę, żeby mnie wysłuchać? Nie chodzi o datek.

Był niewysoki, kędzierzawy i brodaty. W baseballowej czapce, bawełnianej bluzie z kapturem i zniszczonych džinsach. Wszystko brudne. Bijący od niego zapach świadczył, że minęło sporo czasu od ostatniej kąpieli. Jednakże nie miał szaleństwa w oczach ani nie zachowywał się z typową dla narkomanów nerwowością.

Przystanąłem.

- O co chodzi?

- Nie jestem żebrakiem. - Wyciągnął ręce, jakby chciał odepchnąć moje uprzedzenia. - Chcę, żeby to było jasne.

- Super.
- Nie jestem.
- W porządku.
- Ale mam dziecko, wiesz? A żadnej pracy nie ma. Moja stara jest chora, a synek potrzebuje lekarstwa. Cholera, siedem dolców i...

Nie zauważyłem, żeby ruszył ręką, a mimo to zerwał mi z ramienia torbę z laptopem. Uciekł w stronę opuszczonego domu. W torbie oprócz laptopa były notatki dotyczące prowadzonej przeze mnie sprawy i zdjęcie mojej córki.

- Ty pieprzony dupku. - Sam nie wiem, czy powiedziałem to do siebie, czy do złodzieja, być może do nas obu. Kto mógł wiedzieć, że ten drań ma takie długie ręce?

Rzuciłem się za nim w pogoń przez wysokie do kolan chwasty, w których wałały się pogniecione puszkę po piwie, styropianowe pojemniki na jajka i potłuczone butelki. Prawdopodobnie dom okupowali squattersi. Kiedy byłem dzieckiem, należał do Cowanów, a potem do Ursinich. Później kupiła go wietnamska rodzina i dokonała w nim przeróbek. Tuż przed tym, jak ojciec stracił pracę, a po nim zwolniono także matkę, zaczęli przebudowywać kuchnię.

Nadal brakowało tylnej ściany; plastikowe folie przybite do konstrukcji falowały w podmuchach wiatru. Wpadłem na podwórko za domem; bezdomny był zaledwie parę kroków przede mną i zaraz miał zwolnić przed ogrodzeniem z siatki. Wyczułem jakiś ruch po mojej lewej stronie. Folie się rozsunęły i ciemnowłosa mężczyzna walnął mnie kawałkiem rurki w bok twarzy. Zatoczyłem się i wpadłem do niewykończonyj kuchni.

Nie wiem, jak długo tam leżałem, dość długo, by zauważyć, że wydłubano całą miedź spod zlewu i ze ścian. Nabrałem pewności, że moja szczęka nie pękła, chociaż lewą połowę twarzy miałem jednocześnie zdrętwiałą i rozpaloną. Jednostajnie kapła z niej krew. Podniosłem się na kolana i w tym momencie w mojej czaszce wybuchła bomba. Wszystko, co nie znajdowało się tuż przed moim nosem, spowięła ciemność. Podłoga zadrżała.

Ktoś pomógł mi wstać i pchnął mnie na ścianę, a ktoś inny się roześmiał. Trzecia osoba, znajdująca się dalej, powiedziała:

- Dajcie go tu.
- Nie sądzę, żeby mógł iść.

- No to go przyprowadźcie.

Mocne jak imadło palce zacisnęły się na mojej szyi od tyłu i pchnęły mnie w stronę pomieszczenia, które kiedyś pełniło funkcję salonu. Ciemność się rozwiła. Dostrzegłem niewielki kominek; ozdobna drewniana belka została zerwana i prawdopodobnie posłużyła za opał. Byłem raz w tym pokoju, kiedy jako banda szesnastolatków przyszliśmy do Briana Cowana, żeby pobuszować w barku jego ojca. Pod oknami wychodzącymi na ulicę stała kanapa. Teraz jej miejsce zajęła ogrodowa ławka, a na niej siedział jakiś człowiek i na mnie patrzył. Zostałem pchnięty na sofę naprzeciw niego, obskurny mebel z pomarańczowym obiciem, cuchnący jak śmietnik za restauracją Czerwony Homar.

- Będziesz rzygał?

- Sam jestem ciekaw.

- Powiedziałem mu, żeby cię popchnął, a nie żeby cię walił rurą, ale trochę przegiął.

Widziałem tego, który mnie walnął. Szczupły Latynos w spodniach khaki i podkoszulku na ramiączkach. Wzruszył ramionami, jednostajnie uderzając rurką w otwartą dłoń.

- Ups.

- Ups - powtórzyłem za nim. - Będę o tym pamiętać.

- Nic nie będziesz pamiętać, *pendejo*, bo znów ci przyłożę.

Trudno się spierać z logiką. Przeniósłem wzrok z pomocnika na szefa siedzącego na ławce. Spodziewałem się ujrzeć więziennego typa o wodnistych oczach, tymczasem gość miał na sobie koszulę w żółto-zieloną kratkę, na niej czarny wełniany sweter, beżowe spodnie i płócienne tenisówki w czarno-złotą szachownicę. Rude włosy były trochę za długie i rozwichrzone. Wcale nie wyglądał na gangstera, już prędzej na nauczyciela przyrody z podstawówki.

- Wiem, że masz paru ostrych znajomych, i wiem, że bywałeś w poważnych opałach, więc niełatwo cię przestraszyć - zaczął.

A to nowina. Bałem się jak wszyscy diabli. Byłem wkurzony, odruchowo starałem się zapamiętać każdy szczegół dotyczący tych dwóch facetów i jednocześnie kombinowałem, jak tu zabrać Latynosowi rurkę i wsadzić mu ją w dupę... co nie zmieniało faktu, że cholernie się bałem.

- Twoim pierwszy odruchem będzie śledzenie nas, jeśli puścimy cię

zywcem. - Odwinął z papierka gumę balonową i wrzucił do ust.

Jeśli.

- Tadeo, daj mi jakiś ręcznik, żeby sobie wytarł twarz. - Nauczyciel przyrody spojrział na mnie spod uniesionej brwi. - Tak, wymieniłem jego imię. Wiesz dlaczego, Patricku? Bo nie będziesz nas śledził. Wiesz, dlaczego nie będziesz nas śledził?

Zaprzeczenie ruchem głowy byłoby zbyt bolesne, dlatego odpowiedziałem po prostu:

- Nie.

- Bo my jesteśmy źli faceci, a ty jesteś pieprzonym miękkim facetem. Może kiedyś taki nie byłeś, ale teraz to nie „kiedyś”. Słyszałem, że twoje interesy wyglądają gównianie, bo zacząłeś wybrzydzać i wykręcasz się od trudniejszych spraw. To zrozumiałe u gościa, do którego nie raz strzelano, omal się nie wykrwawił i tak dalej. Ale chodzą słuchy, że nie masz jaj, żeby się zniżyć do naszego poziomu. Nie należysz już do tego świata. I nie chcesz należeć.

Tadeo wrócił z kuchni i wcisnął mi do ręki dwa papierowe ręczniki. Udając, że trudno mi je chwycić, zatoczyłem się na lewo, a on zachichotał i przesunął końcem rurki po mojej szyi.

Wyrwałem mu rurkę z ręki, jednocześnie wymierzając kopniaka w kolano. Upadł na plecy, a ja poderwałem się z sofy. Nauczyciel przyrody krzyknął i wycelował we mnie z pistoletu. Zastygłem w bezruchu. Tadeo na czworakach wycofał się pod ścianę, po czym wstał, opierając się na zdrowej nodze. Pozostałem nieruchomy, z rurką w dłoni, z uniesionym ramieniem. Nauczyciel przyrody opuścił broń; dał tym znak, że mam opuścić rurkę. Ledwie zauważalnie kiwnąłem głową, że się zgadzam, po czym wykonałem błyskawiczny ruch nadgarstkiem. Rurka niczym tomahawk przeleciała przez pokój i trafiła Tadea między brwi. Wydał z siebie dźwięk podobny do skowytu i odbił się od ściany. Krew z rany nad nosem zalała mu oczy. Zrobił dwa kroki w stronę środka pokoju, potem jeszcze trzy w bok. Po kilku następnych wszedł w ścianę. Oparł się o nią rękami i głośno wciągał powietrze.

- Ups - powiedziałem.

Nauczyciel przyrody przyłożył mi lufę pistoletu do szyi.

- Siadaj - syknął.

Do pokoju wszedł trzeci bandyta - wielki, musiał mieć ponad metr dziewięćdziesiąt i ważyć jakieś sto siedemdziesiąt kilo. Oddychał ciężko, idąc, kołysał się na boki jak kaczką.

- Zabierz Tadea na górę - warknął rudy. - Wsadź go pod prysznic, polej zimną wodą i sprawdź, czy nie ma wstrząsu mózgu.

- Skąd będę wiedział, czy ma wstrząs mózgu?

- Popatrz mu w oczy. Nie wiem, kurwa. Każ mu policzyć do dziesięciu.

- Zdziwisz się, jeśli nie będzie umiał? - wtrąciłem.

- Kazałem ci się zamknąć.

- Nie. Kazałeś mi usiąść. Kończą ci się opcje.

Gruby wyprowadził Tadea z pokoju. Ten ruszał rękami przed sobą, jak pies łapami, kiedy mu się coś śni.

Podniosłem z podłogi papierowe ręczniki. Z jednej strony były czyste, więc przytknąłem je tą stroną do twarzy. Po odjęciu wyglądały jak rekwizyt do testu Rorschacha.

- Będę potrzebował szycia.

Nauczyciel przyrody pochylił się do przodu, celując w mój żołądek. Miał szczerą twarz z ledwie widocznymi piegami o tej samej barwie co włosy. Uśmiechał się przyjaźnie, jakby odgrywał w amatorskim teatryku rolę osoby chętnej do niesienia pomocy.

- A co ci każe myśleć, że stąd wyjdiesz?

- Już mówiłem, opcje ci się kończą. Na ulicy byli ludzie, kiedy ten duppek wyrwał mi torbę. Na pewno gliny już jadą. Sąsiedni dom jest pusty, ale w tym z tyłu są lokatorzy, matole, i niewykluczone, że widziano, jak Tadeo wali mnie rurką. Dlatego jeśli ktoś cię wynajął, żebyś mi przekazał jakąś wiadomość, lepiej się pośpiesz.

Nauczyciel przyrody nie wyglądał na głupiego. Gdyby chciał mnie zabić, wsadziłby mi dwie kulki w czaszkę, kiedy kłęczałem na podłodze niewykończonej kuchni.

- Trzymaj się z daleka od Helene McCready. - Przykucnął naprzeciw mnie; trzymany luźno pistolet dyndał mu między udami. - Jeśli będziesz węszył wokół niej albo jej dzieciaka, zadawał pytania, rozpieprzę ci życie.

- Kumam. - Udawałem nonszalancję.

- Ty też masz teraz dziecko, Patrick, żonę. Przyjemne życie. Wracaj do niego i w nim zostań. A wszyscy o tym zapomnimy.

Wstał i cofnął się, żebym mógł wstać. Przeszedłem do kuchni, gdzie na podłodze znalazłem rolkę papierowych ręczników. Oderwałem kilka i przycisnąłem do twarzy. Stał w drzwiach i przyglądał mi się; pistolet zaknął za pasek. Moja broń została w firmie Duhamel i Standiford. To nie znaczy, że by mi się bardzo przydała, kiedy Tadeo walnął mnie w głowę rurką. Zresztą by mi ją zabrali i zostałbym bez laptopa, torby na laptop, i do tego bez broni.

Popatrzyłem w jego stronę.

- Muszę jechać na ostry dyżur, żeby mi zeszyli twarz, ale nie martw się, nie potraktuję tego osobiście.

- Kurczę, obiecujesz?

- Groziłeś mi, ale to też oleję.

- Dziękuję, co za łaskawość. - Zrobił z gumy balona który pękł z głośnym pstryknięciem.

- Ukradliście mi laptop, a naprawdę nie stać mnie na nowy. Nie mógłbyś mi go zwrócić?

- Znalezione, nie kradzione.

- Wkurza mnie to, człowieku, ale nie będę robił afery. Bo to tylko biznes, nie?

- Nawet jeśli nie, to „biznes” może być, dopóki się nie znajdzie lepsze słowo.

Oderwałem ręczniki od twarzy. Wyglądały fatalnie. Złożyłem je na pół i przytknąłem do policzka. Jeszcze raz spojrzałem na rudowłosego nauczyciela przyrody.

- Niech będzie.

Rzuciłem czerwone od krwi ręczniki na podłogę, urwałem z rolki kilka świeżych i wyszedłem na zewnątrz.

Rozdział 6

Kiedy zasiedliśmy do jedzenia, Angie spojrzała na mnie nad stołem z tą samą zimną furią, która w niej buzowała od momentu, gdy przyjrzała się mojej twarzy, usłyszała o mojej wizycie w przychodni i upewniła się, że nie umrę tej nocy.

- Zacznijmy od początku. - Nabiła na widelec parę strzępków sałaty. - Beatrice McCready znajduje cię na stacji metra JFK.

- Tak jest.

- I mówi ci, że jej wyświechtana szwagierka znów zapodziała gdzieś córkę.

- Helene jest wyświechtana? Nie zauważyłem.

Uśmiechnęła się. Ale nie tym miłym uśmiechem. Tym drugim.

- Tatusiu?

Popatrzyłem na naszą córkę, Gabriellę.

- Tak, słonko?

- Co to jest wyświechtana?

- Coś jak niechlujna - wyjaśniłem - tylko rymuje się ze zwariowana.

- A co to jest zwariowana?

- Coś jak pokopana, ale to się nie rymuje z niechlujna. Dlaczego nie jesz marchewki?

- Śmiesznie wyglądasz.

- W każdy czwartek noszę na twarzy wielki opatrunek z bandaży.

- Wcale nie. - Gabriella zrobiła wielkie oczy. Miała takie same duże brązowe oczy jak matka. Miała też jej oliwkową karnację, szerokie usta i ciemny kolor włosów. Po mnie odziedziczyła kręcone włosy, cienki nos i zamiłowanie do niemądrych rymowanek.

- Czemu nie jesz marchewki? - powtórzyłem pytanie.

- Nie lubię marchewki.

- W zeszłym tygodniu lubiłaś.

- Wcale nie.

- Ależ tak.

- Wcale nie.

- Ależ tak. Mam zdjęcia.

- Wcale nie.

- Ależ tak. Zaraz przyniosę aparat.

Angie sięgnęła po kieliszek z winem.

- Proszę... - Wbiła we mnie spojrzenie wielkich oczu. - Dla mnie...

Przeniosłem wzrok z powrotem na Gabriellę.

- Jedz marchewkę.

- No dobrze. - Gabby wbiła widelec w kawałek warzywa i wsadziła je sobie do ust. W miarę gryzienia buzia jej się rozpromieniała.

Uniosłem pytająco brwi.

- Smakuje - stwierdziła.

- No widzisz?

Sięgnęła po następny kawałek i na dobre zajęła się jedzeniem.

- Wciąż nie wiem, jak tego dokonujesz - powiedziała Angie.

- To starożytny chiński sekret. - Bardzo wolno starałem się pogryźć kęs piersi z kurczaka. - Nawiasem mówiąc, nie wiem, co słyszałaś, ale trudno się je, kiedy nie można używać lewej części ust.

- Wiesz, co jest w tym zabawne? - odezwała się Angie tonem, który sugerował, że nie ma absolutnie nic zabawnego.

- Nie wiem.

- Większość prywatnych detektywów nigdy nie bywa porywana i napadana.

- Chodzą jednakowoż pogłoski, że to się ma zmienić.

Zamilkła, marszcząc czoło. Czuję, że oboje mamy problem, nie wiedzieliśmy, jak się odnieść do tego aktu przemocy. Kiedyś byliśmy w tym ekspertami. Wychodząc do siłowni, rzucała mi worek z lodem, przekonana, że nim wróci, będę znów zdolny do pracy. Tamte czasy jednak dawno minęły i moja krwawa przygoda sprawiła, że wycofaliśmy się do swoich skorup ochronnych. Jej skorupa była zrobiona z milczącej wściekłości, moja z humoru i ironii. Razem przypominaliśmy komika, który oblewa sprawdzian radzenia sobie z gniewem.

- To wygląda okropnie - powiedziała z czułością, która mnie zaskoczyła.

- Czuję się tylko cztery lub pięć razy gorzej, niż wyglądam. Naprawdę. Nic mi nie będzie.

- To przez percocet.

- I przez piwo.

- Sądziłam, że nie należy mieszać ze sobą tych dwóch rzeczy.

- Nie będę ulegał konwencjonalnym mądrościom. Sam decyduję. I zdecydowałem, że nie chcę czuć bólu.

- I jak to działa?

Podniosłem szklankę z piwem w geście toastu.

- Misja wypełniona.

- Tatusiu?

- Tak, skarbie?

- Lubię drzewa.

- Ja też lubię drzewa, złotko.

- Są wysokie.

- O, tak.

- Lubisz wszystkie drzewa?

- Co do jednego.

- Nawet te małe?

- Oczywiście, skarbie.

- Ale dlaczego? - Moja córka wyciągnęła przed siebie ręce otwartymi dłońmi do góry, co znaczyło, że uważa swoje pytania za bardzo ważne i że - cóż za szczęście dla nas - ma ich niewyczerpany zapas.

Angie posłała mi spojrzenie mówiące: „Oto jak wygląda mój dzień”.

Przez ostatnie trzy lata spędzałem dni w pracy, lub, jeśli zachodziła potrzeba, starałem się nadgonić robotę. Przez trzy wieczory w tygodniu pilnowałem Gabby, kiedy Angie miała zajęcia. Zbliżało się jednak Boże Narodzenie i za tydzień Angie miała ostatnie egzaminy. Po Nowym Roku zaczynała staż w centrum edukacyjnym Blue Sky, organizacji non profit specjalizującej się w nauczaniu nastolatków z zespołem Downa. Po skończeniu tej pracy, w maju, miała uzyskać magisterium z socjologii stosowanej. Jednak do tego czasu byliśmy rodziną o jednym źródle dochodu. Znajomi

sugerowali, żebyśmy się przeprowadzili na przedmieścia - domy tam tańsze, szkoły bezpieczniejsze, podatki od nieruchomości i ubezpieczenia samochodów niższe.

Tylko że oboje z Angie dorastaliśmy razem w centrum miasta. Białe płotki i domy z półpiętami podobały nam się tak jak dywany z długim włosiem i zawody w mieszanych sztukach walki. Znaczący nie bardzo. Kiedyś miałem ładny samochód, ale go sprzedałem, żeby założyć fundusz na college dla Gabby, i teraz mój poobijany jeep stał przed domem, czasami przez całe tygodnie. Wołałem metro - wskakujesz do dziury po jednej stronie miasta, wyskakujesz po drugiej i nie musisz naciskać na klakson ani razu. Nie lubię kosić trawników i przycinać żywopłotów, a potem grabić skoszonej trawy i ściętych gałązek. Nie lubię robić zakupów w centrach handlowych i jadać w sieciowych knajpach. Uroki podmiejskiego życia do mnie nie przemawiają.

Lubię odgłos młotów pneumatycznych, wycie syren w nocy, lokale czynne całą dobę, graffiti, kawę podawaną w styropianowych kubkach, parę wydobywającą się ze studzienek kanalizacyjnych, bruk, tablety, znak Citgo na stacjach benzynowych, wołanie taksówki w zimny wieczór, chłopców wystających na rogach ulic, sztukę chodnikową, irlandzkie puby i facetów o imieniu Sal.

Niewiele z tego mógłbym znaleźć na przedmieściach, w każdym razie nie tyle, ile chciałbym, i nie to, do czego jestem przyzwyczajony. A Angie jest pod tym względem jeszcze gorsza.

Dlatego postanowiliśmy wychować nasze dziecko w mieście. Kupiliśmy niewielki dom na przyzwoitej ulicy. Ma maleńkie podwórko, a w odległości krótkiego spaceru znajduje się plac zabaw (w odległości krótkiego spaceru znajduje się też niebezpieczne blokowisko, ale to już inna sprawa). Znamy większość naszych sąsiadów, a Gabriella potrafi wymienić pięć przystanków Czerwonej Linii metra, po kolei, co napawa dumą rodziców.

- Śpi? - Angie podniosła wzrok znad podręcznika, kiedy wszedłem do salonu. Przebrała się w spodnie od dresu i mój podkoszulek, biały z tournée *Stay Positive* zespołu The Hold Steady. Wisiał na niej, aż zmartwiłem się, że moja żona za mało je.

- Nasza mała gaduła zrobiła sobie przerwę w dyskusji o drzewach...

- Ych... - Angie odrzuciła głowę do tyłu na poduszkę kanapy. - Co ona z tymi drzewami?

- ...i szybciotko zasnęła. - Opadłem na kanapę obok niej, ująłem jej dłoń i pocałowałem.

- Poza tym, że cię pobili - zaczęła - jeszcze coś się dziś wydarzyło?

- Masz na myśli Duhamela-Standiforda?

- No właśnie.

Wziąłem głęboki wdech.

- Nie dostałem stałej posady.

- Cholera! - krzyknęła tak głośno, że odruchowo podniosłem rękę, a ona spojrzała w stronę pokoju Gabby i się skuliła.

- Powiedzieli, że nie powinienem być wyzywać Brandona Trescotta. Sugerowali, że jestem prostakiem i muszę poprawić maniery, zanim będę mógł korzystać z ich programu świadczeń.

- Cholera - powtórzyła, tym razem ciszej, bardziej zmartwiona niż zaskoczona. - Co teraz zrobimy?

- Nie wiem.

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu. Niewiele było do powiedzenia. Zaczynaliśmy się oswajać z lękiem, z ciężarem troski.

- Zrezygnuję ze szkoły.

- Nie ma mowy.

- Właśnie że tak. Mogę wrócić...

- Jesteś już tak blisko. Ostatnie egzaminy są za tydzień, potem staż i przed latem zaczniesz zarabiać, a wtedy...

- Jeśli znajdę pracę.

- ... a wtedy ja będę mógł sobie pozwolić na bycie wolnym strzelcem. Nie rezygnuje się tuż przed końcem. Jesteś najlepsza w klasie. Znajdziesz pracę bez problemu. - Uśmiechem starałem się tchnąć w nią optymizm, chociaż sam wcale go nie czułem. - Poradzimy sobie.

Odchyliła się lekko, żeby jeszcze raz obejrzeć moją twarz.

- No dobrze. - Chciałem zmienić temat. - Wyżyj się na mnie.

- Za co? - spytała z udawaną niewinnością.

- Biorąc ślub, umówiliśmy się, że kończymy z tym głównem.

- Owszem.

- Dość przemocy, dość...

- Patrick. - Wzięła mnie za rękę. - Po prostu mi powiedz, co się stało. Spełniłem życzenie.

Kiedy skończyłem, Angie powiedziała:

- A więc nie dostałeś posady u Duhamela-Standiforda, a do tego najgorsza matka świata znowu zgubiła swoje dziecko, nie zgodziłeś się pomóc, ale ktoś cię obrabował, groził ci i ciężko cię pobił. Musiałeś zapłacić za opatrunek i straciłeś naprawdę fajny laptop.

- Wiem. Uwielbiałem go. Ważył mniej niż twój kieliszek z winem. I za każdym razem, kiedy go otworzyłem, wyskakiwała uśmiechnięta buźka i mówiła „hello”.

- Jesteś zły.

- Tak, jestem zły.

- Ale chyba nie wpadniesz w grobowy nastrój tylko dlatego, że straciłeś laptop?

- Wspominałem o uśmiechniętej buźce?

- Możesz sobie sprawić nowy komputer z nową uśmiechniętą buźką.

- Skąd pieniądze?

Na to nie było odpowiedzi.

Siedzieliśmy przez jakiś czas bez słowa; nogi Angie spoczywały na moich kolanach. Zostawiłem drzwi do pokoju Gabby lekko uchylone i w ciszy było słycać jej oddech; każdy wydech kończył cichutki świst. Odgłos jej oddechu przypominał mi często o tym, jaka jest bezbronna. I jacy my jesteśmy bezbronni dlatego, że tak bardzo ją kochamy. Strach, że w każdej chwili może jej się coś stać, coś, czego nie będę mógł powstrzymać, zdominował moje życie, aż czasami miałem wrażenie, że wyrasta mi z piersi jak trzecie ramię.

- Pamiętasz coś z tamtego dnia, kiedy zostałeś postrzelony? - spytała Angie, podnosząc następny, tak samo zabawny temat.

Poruszyłem dłonią na boki.

- Jakieś fragmenty. Pamiętam hałas.

- Niezła zadyma, co? - Uśmiechnęła się; wyraz jej oczu wskazywał, że przypomina sobie tamten dzień dokładnie. - Głośno było jak cholera... Te strzały, betonowe ściany. Ludzie.

- Tak. - Westchnąłem.

- Twoja krew. Zachlapane ściany. Leżałeś nieprzytomny, kiedy przyjechała karetka. Twoja krew nie znajdowała się w twoim ciele, tam gdzie powinna. Widziałam ją wszędzie, na podłodze i na ścianach. A ty nie byłeś biały jak duch, tylko jasnoniebieski, jak twoje oczy. Leżałeś, ale oddalałeś się, wiesz? Jakbyś był już w połowie drogi do nieba, odjeżdżając na pełnym gazie.

Zamknąłem oczy i podniosłem rękę. Nienawidziłem słuchać o tamtym dniu i ona o tym wiedziała.

- Dobrze już, dobrze. Ja tylko chcę, żebyśmy oboje pamiętali, dlaczego daliśmy sobie spokój z niebezpiecznymi sprawami. Nie tylko dlatego, że zostałeś postrzelony. Dlatego, że to przeszło w nałóg. Oboje to uwielbialiśmy. Nadal uwielbiamy. - Przejechała dłonią po włosach. - Nie przysłałam na ten świat tylko po to, żeby trzy razy dziennie czytać dziecięce książeczki i prowadzić piętnastominutowe dyskusje o kubkach niekapkach.

- Wiem.

Naprawdę wiedziałem. Nikt nie nadawał się mniej niż Angie na mamę siedzącą w domu. Nie to, że źle się spisywała w tej roli, bo spisywała się dobrze, ale nie chciała, żeby ta rola ją określała. Tylko że wróciła na studia i zaczęła brakować pieniędzy, więc aż się prosiło, by zaoszczędzić na przedszkolu przez kilka miesięcy, tak żeby wieczorami mogła chodzić do szkoły, a w dzień pilnować Gabby. I w ten sposób, stopniowo, a potem nagle, znaleźliśmy się tu, gdzie byliśmy.

- Zaczynam od tego wariować. - Pokazała wzrokiem na książeczki do kolorowania i zabawki na podłodze salonu.

- Domyślam się.

- Dostaję pierdolca.

- To z pewnością właściwy termin medyczny. Jesteś w tym świetna.

Wywróciła oczami.

- Miło, że tak mówisz, ale... Może mi świetnie idzie udawanie, ale ja udaję.

- Czy tak nie jest z każdym rodzicem?

Skrzywiła się, patrząc na mnie z ukosa.

- Nie - powiedziałem. - Kto przy zdrowych zmysłach ma ochotę odbyć czternaście rozmów o drzewach? Tak w ogóle? Nie mówię, że w ciągu

dwudziestu czterech godzin. A mała dziewczynka, uwielbiam ją, jest anarchistką. wstaje, kiedy tylko przyjdzie jej ochota, uważa, że o siódmej rano należy mieć mnóstwo energii, czasami drze się bez powodu, sama decyduje, co chce jeść, a przy czym grymasić, wtyka ręce i twarz w różne obrzydliwe miejsca i będzie nam siedzieć na głowie przez co najmniej kolejne czternaście lat, o ile dopisze nam szczęście i upchniemy ją w college'u, na który nas nie stać.

- Ale to dawne życie nas wykańczało.

- Owszem.

- Tak bardzo za nim tęsknię - przyznała. - Za dawnym życiem, które nas wykańczało.

- Ja też. Jakkolwiek dzisiaj sobie uświadomiłem, że trochę zmiękłem.

- Serio? - Uśmiechnęła się.

Pokiwałem głową.

Znów przyjrzała mi się z ukosa.

- Zacznijmy od tego, że nigdy nie byłeś taki znów twardy.

- Wiem. Więc sobie wyobraź, jakim teraz jestem mięczakiem.

- Cholera. - Westchnęła. - Czasami cię po prostu uwielbiam.

- Ja też cię kocham.

Potarła nogami o moje uda.

- Ale chcesz odzyskać swój laptop, tak?

- Owszem.

- Masz zamiar go odzyskać, naprawdę?

- Taka myśl przyszła mi do głowy.

- Pod jednym warunkiem.

Nie oczekiwałem, że się zgodzi. A jeśli nawet zakładałem taką możliwość, nie spodziewałem się, że tak szybko. Wyprostowałem się, skupiony i czujny niczym irlandzki seter.

- Jakim?

- Weź Bubbę.

Bubba stanowił idealne wsparcie nie tylko dlatego, że był zbudowany jak drzwi do bankowego skarbcza i nigdy, nawet przelotnie nie zaznał czegoś takiego, jak strach. Naprawdę. Kiedyś spytał mnie, jakie to uczucie, bać się. Również empatia była mu całkowicie obca. Idealnie nadawał się do działań planowanych na ten wieczór, ostatnich kilka lat bowiem poświęcił

na dywersyfikację swoich interesów, wszedł na czarny rynek usług zdrowotnych. Zaczęło się od zwykłej inwestycji - zatrudnił lekarza, niedawno pozbawionego prawa do wykonywania zawodu, pragnącego otworzyć praktykę dla ludzi, którzy nie mogli leczyć swoich ran od kul i noży, rozbitych głów i pogruchotanych kości w szpitalach. Dla tego rodzaju pacjentów potrzebne są, rzecz jasna, odpowiednie lekarstwa, więc Bubba musiał znaleźć źródło dostaw lewych „legalnych” farmaceutyków. Takie źródło było w Kanadzie i nawet przy rzekomo ostrzejszych kontrolach granicznych po jedenastym września Bubba sprowadzał co miesiąc dziesiątki trzygalonowych toreb z pigułkami. Jak dotąd nie stracił żadnej dostawy. Jeśli towarzystwo ubezpieczeniowe odmawiało pokrycia kosztów jakiegoś leku albo firma farmaceutyczna wyceniła go tak wysoko, że stał się niedostępny dla mniej zamożnych, szeptana informacja zwykle prowadziła pacjenta do jednego z punktów sieci zorganizowanej przez Bubbę, w której skład wchodził barmani, kwiaciarki, kierowcy rozwożący kanapki w porze lunchu czy kasjerzy w narożnych sklepach. Po niedługim czasie wszyscy żyjący poza kręgiem oficjalnego ubezpieczenia zdrowotnego lub na jego obrzeżach mieli u Bubby dług. Nie był Robin Hoodem, oczekiwał zysku. Ale nie był też Pfizerem - zadowolala się marżą w wysokości piętnastu, dwudziestu procent, a nie wyjątkowo bandyckim tysiącem procent. Wykorzystując znajomości Bubby w środowisku bezdomnych, potrzebowaliśmy około dwudziestu minut, żeby poznać tożsamość faceta odpowiadającego opisowi typa, który ukradł laptop.

- Chodzi wam o Webstera? - spytał pomywacz w garkuchni w Fields Corner.

- Tego małego czarnego dzieciaka z serialu z lat dziewięćdziesiątych? - zdziwił się Bubba. - Po co mielibyśmy go szukać?

- Nie, człowieku, nie chodzi mi o tamtego dzieciaka z telewizji. Poza tym teraz mamy dwa tysiące dziewiąty, nie słyszałeś? - Skrzywił się. - Webster to biały chłopak, raczej niski, i ma brodę.

- To tego Webstera szukamy - potwierdziłem.

- Nie wiem, czy to jego imię, czy nazwisko, ale gnieździł się w domu przy Sydney, koło...

- Nie, dziś go stamtąd wywiał - przerwałem.

Znów się skrzywił. Jak na pomywacza był zbyt wrażliwy, poczuł się urażony.

- Z domu przy Sydney, koło Savin Hill Avenue?

- Nie, myślałem o drugim końcu Sydney, przy Crescent.

- No to nie myśl. Bo gównu wiesz. Jasne? Więc się zamknij, chłopcze.

Stałem za daleko, żeby go kopnąć, więc się zamknąłem.

- Tak. Mieszka przy końcu Sydney. Gdzie się styka z Bay Street? Tam. Pierwsze piętro, żółty dom, ma w oknie klimatyzator, ale przestał działać jeszcze za Reagana i wygląda, jakby w każdej chwili mógł spaść komuś na łeb.

- Dzięki.

- Mały czarny dzieciak z serialu z lat dziewięćdziesiątych. - Spojrzał na Bubbę. - Człowieku, gdyby nie to, że mam pięćdziesiąt dziewięć i pół roku, skopałbym ci dupę za te bzdury.

Rozdział 7

W miejscu przecięcia z Savin Hill Avenue Sydney Street zmienia nazwę na Bay Street i biegnie nad tunelem metra. Mniej więcej co pięć minut wszystko wokół drży, kiedy pod spodem przejeżdża pociąg. Przesiedzieliśmy dotąd pięć takich trzęsień, co znaczy, że spędziliśmy w zaparkowanym cadillaku Bubby prawie pół godziny.

Bubba nie bardzo lubi siedzieć beczynnie. Przypomina mu to ośrodki zbiorowego zamieszkania, sierocińce i więzienia, czyli miejsca, które nazywał swoim domem przez niemal połowę życia. Pobawił się już GPS-em, wciskając przypadkowe adresy w losowo wybranych miastach, żeby sprawdzić, czy w Amarillo w Teksasie istnieje Groin Street lub czy w Toronto turyści spacerują po Rogowski Avenue. Kiedy wyczerpał rozrywkowy potencjał w szukaniu nieistniejących ulic w miastach, których nigdy nie zamierzaliśmy odwiedzić, skupił uwagę na radiu satelitarnym, ale po trzydziestu sekundach ni to z westchnieniem, ni prychnięciem zmieniał kanał. Po pewnym czasie wyjął spod siedzenia butelkę polskiej wódki z ziemniaków i pociągnął z gwinta.

Podsunał mi butelkę, ale odmówiłem. Wzruszył ramionami i znów przytknął ją do ust.

- Po prostu wyważmy drzwi.
- Nawet nie wiemy, czy on tam jest.
- Zróbmy to, tak czy owak.
- A jeśli on wróci, kiedy będziemy w środku, zobaczy wyłamane drzwi i ucieknie, co zrobimy?
- Zastrzelimy go z okna.

Przyjrzałem mu się z boku. Spoglądał na pierwsze piętro trzykondygnacyjnego budynku, w którym podobno mieszkał Webster. Miał twarz szalonego cherubina; teraz była spokojna, a zwykle przybierała taki wyraz,

kiedy Bubba rozważał użycie przemocy.

- Do nikogo nie będziemy strzelać. Nie tkniemy faceta.
- On cię okradł.
- Jest niegroźny.
- Okradł cię.
- Jest bezdomny.
- No tak, ale cię okradł. Powinieneś dać przykład.
- Komu? Całej reszcie bezdomnych, którzy czekają, żeby ukraść moją torbę, żebym za nimi pognał do jakiegoś domu, gdzie dostanę manto?
- No tak. - Napił się wódki. - I nie wciskaj mi, że jest bezdomny. - Wskazał butelką na budynek po drugiej stronie ulicy. - Przecież tam mieszka, nie?
- Jest squatterem.
- Zawsze to dom. Nie można nazywać kogoś bezdomnym, jeśli ma jakiś pieprzony dom.

Na jakimś osiągalnym tylko dla Bubby poziomie dawałem się nabrać.

Po drugiej stronie Savin Hill Avenue otworzy się drzwi baru Donovan. Szturchnąłem Bubbę, wskazując mu zbliżającego się ku nam Webstera.

- Niby bezdomny, a chodzi do baru. Facet żyje lepiej ode mnie. Pewnie ma pieprzoną plazmę, a co wtorek przychodzi do niego sprzątać młoda Brazylijka.

Bubba otworzył drzwi w momencie, gdy Webster mijał auto. Nie miał żadnych szans na ucieczkę. Bubba pochylił się nad nim, a ja szybko wysiadłem i do nich dołączyłem.

- Pamiętasz go? - spytał Bubba Webstera.
- Ten skulił się, a rozpoznawszy mnie, dodatkowo zmrużył oczy.
- Nie mam zamiaru cię bić, człowieku.
- Ale ja owszem. - Bubba uderzył Webstera otwartą dłonią w bok głowy.
- Hej! - zachnął się złodziejasek.
- Zrobię to znowu.
- Webster. - Starłem się zachować spokój. - Gdzie moja torba?

- Jaka torba?
- Naprawdę nie wiesz? Spojrzał na Bubbę.
- Moja torba - wyjaśniłem.
- Oddałem ją.
- Komu?
- Maksowi.
- Kim jest Maks?
- On mi zapłacił, żebym ci zabrał torbę.
- Ten rudy dupek? - podsunąłem.

- Nie. Ma czarne włosy, jak ty.

Bubba znów palnął go w głowę.

- Po co to robisz?

Bubba wzruszył ramionami.

- Łatwo się nudzi - powiedziałem.
- Ja nic nie zrobiłem.
- Nic? - Wskazałem na swoją twarz.
- Nie wiedziałem, że ci to zrobią. Kazali mi tylko ukraść twoją torbę.
- Gdzie jest rudy?
- Nie znam żadnego rudego.
- Dobra, to gdzie jest Maks?
- Nie wiem.
- Dokąd zabrałeś torbę? Nie wzięłeś jej do tego domu, gdzie cię goni-

łem.

- Nie, człowieku, wzięłem ją do garażu.
- Jakiego garażu?
- Co? Takiego, gdzie naprawiają auta. Mają wystawionych kilka na sprzedaż.

- Gdzie?

- Na Dot Avenue, tuż przed Freeport, po prawej stronie.

- Znam to miejsce - mruknął Bubba. - Nazywa się Castle Automotive, czy jakoś tak.

- Kestle. Przez „K” - sprostował Webster.

Bubba pacnął go tym razem w czubek głowy.

- Ożeż ty...
- Wyjmowałeś coś z torby? - spytałem.

- Nie, człowieku. Maks mi zabronił, nie wyjmowałem.
- Ale zaglądałeś do środka.
- Tak. Nie. - Wywrócił oczami. - Tak.
- Było tam zdjęcie małej dziewczynki.
- Tak, widziałem.
- Odłożyłeś je z powrotem?
- Tak, człowieku, słowo daję.
- Jeśli go tam nie będzie, kiedy znajdziemy torbę, to wrócimy, Webster.

I nie będziemy dla ciebie mili.

- Niby teraz jesteście? - prychnął. Bubba uderzył go po raz czwarty.
- Najmilsi, jak tylko można - powiedziałem.

Zakład „Kestle samochody i naprawy” znajdował się naprzeciwko Burger Kinga w tej części mojego sąsiedztwa, którą miejscowi nazywali „szlakiem Ho Szi Mina”. Był to odcinek Dorchester Avenue długości siedmiu przecznic, gdzie osiedlali się imigranci z Wietnamu, Kambodży i Laosu. Na placu przed garażem stało sześć aut, wszystkie w stanie budzącym wątpliwości; każde miało na przedniej szybie napis: „Zaproponuj cenę”. Wprawdzie automatyczna brama garażu była zamknięta i światła wewnątrz pogaszone, ale z zaplecza dochodziły dźwięki głośnej rozmowy. Obok automatycznej bramy, po lewej stronie, znajdowały się zwykłe ciemnozielone drzwi. Odsunąłem się na bok i spojrzałem na Bubbę.

- Co?
- Zamknięte.
- Nie umiesz już otworzyć zamka?
- Umiem, ale nie noszę przy sobie narzędzi. Gliniarze nie powinni.

Krzywiąc się, wyciągnął z kieszeni małe skórzane etui, otworzył je i wyjął odpowiedni wytrych.

- Ty w ogóle jeszcze coś umiesz?
- Umiem przyrządzać miecznika po prowansalsku - pochwaliłem się.

Pokręcił głową.

- Ostatnio dwa razy był za suchy.
- Moja ryba nigdy nie jest sucha.

Bez trudu sforsował zamek.

- W takim razie jakiś facet podobny do ciebie dwa razy podał suchą rybę u ciebie w domu.

- Cholera, niedobrze - powiedziałem.

Z zaplecza buchnął zapach niewietrzonego pomieszczenia, spalonego oleju silnikowego, dawno palonej trawy i mentolowych papierosów. Zastaliśmy tam czterech ludzi. Dwóch już znałem - grubasa o ciężkim oddechu i Tadea, z dziwnym opatrunkiem na nosie i czole, przy którym mój opatrunek wydawał się trochę mniej śmieszny. Grubas stał w odległym kącie po lewej, Tadeo naprzeciw nas; dolna połowa jego ciała kryła się za biurkiem o barwie skorupki jajka. Trzeci mężczyzna, ubrany w kombinezon mechanika, zaciągał się jointem. Nie był jeszcze pełnoletni i mina mu zrzedła na widok Bubby wchodzącego za mną; pomyślałem, że jeśli strach nie doda mu straceńczego wigoru, co się zdarzało, to nie powinien stanowić problemu.

Czwarty mężczyzna, ciemnowłosa, siedział za biurkiem na prawo od nas. Skóra mu błyszczała od potu; wręcz można było dostrzec świeże kropelki wydostające się z porów. Miał około trzydziestki z widokiem na rychłą wieńcówkę, niemal czuło się, jak heroina buzuje mu w żyłach. Lewą nogą przytupywał pod biurkiem, prawą ręką wybijał rytm na blacie. Przed nim leżał mój laptop. Facet patrzył na nas błyszczącymi oczyma, jakby przybitymi do tylnej ściany czaszki.

- To jeden z nich? - rzucił.

Grubas wskazał na mnie.

- On rozwalił głowę Tadeowi.

- Jeszcze się za to policzymy, dupku. Możesz mi wierzyć. - Tadeo zabił mnie wzrokiem, głos miał jednak niepewny i starał się nie patrzeć na Bubbę.

- Jestem Maks. - Ćpun przy moim laptopie uśmiechnął się szeroko. Głośno wciągnął powietrze nosem, mrugając porozumiewawczo. - Jestem w tym bajzlu od komputerów. Fajny laptop.

Wskazałem ruchem głowy na biurko.

- Mój laptop.

- Że jak? - Sprawiał wrażenie ogłupiałego. - To mój laptop.

- Zabawne. Wygląda zupełnie jak mój.

- To się nazywa model. - Wyrzeczył oczy. - Gdyby każdy wyglądał inaczej, trudno byłoby je produkować, nie sądzisz?

- No właśnie - wtrącił się Tadeo. - Jesteś, kurwa, niedorozwinięty, czy co?

- Jestem dziewczynką, stoję przed chłopcem i szukam swojego laptopa.

- Słyszałem, że wbito ci do głowy, co trzeba - kontynuował Maks. - Mieliliśmy cię więcej nie zobaczyć. I nie byłoby sprawy. Skoro chcesz nas wciągnąć w swoje życie, to chyba, kurwa, nie rozumiesz, jak to się może skończyć. - Zamknął laptop i schował do szuflady po prawej stronie biurka.

- Posłuchaj - zacząłem - nie stać mnie, żeby kupić nowy.

Pochylił się nad blatem, tak że skóra twarzy naciągnęła się na wystających kościach.

- To zadzwoń do swojego pieprzonego towarzystwa ubezpieczeniowego.

- Nie jestem ubezpieczony.

- Co za palant z tego gościa... - Zerknął na Bubbę, po czym sprawdził pozycje swoich ludzi. Znów spojrzał na mnie. - To nie twój interes. Opuść i niech tak zostanie. Wracaj do swojego życia.

- Mam taki zamiar. Chcę tylko dostać z powrotem mój laptop. I zdjęcie mojej córki, które było w torbie. Torba jest wasza.

Tadeo wyszedł zza biurka. Grubas został pod ścianą, dysząc ciężko. Młody mechanik też ciężko oddychał i mrugał jak szalony.

- Wiem, że torba jest moja. - Maks podniósł się z miejsca. - Wiem, że to biuro jest moje, ten sufit i twoja dupa też będzie moja, jak mi się zachce.

- No dobra - powiedziałem. - Ty, a tak nawiasem mówiąc, kto cię wynajął?

- Człowieku, żadnych pytań. - Machnął w moją stronę rękami, jakby występował w teledysku Lila Wayne'a, a potem podrapał się energicznie w tył głowy. - Żadnych żądań. Spierdalaj do domu. - Poruszał palcami, jakby zaganiał kurczaki. - Bracie, wystarczy, że powiem jedno słowo, i będziesz...

Strzał Bubby obrócił go w miejscu. Maks wydał z siebie ostry krzyk i padł na krzesło, które uderzyło o ścianę, a on spadł na podłogę. Krwawił obficie z miejsca w okolicy pasa.

- Jaki bracie, co ty pieprzysz? - Bubba opuścił broń. To była jego nowa ulubiona zabawka, steyr 9 milimetrów. Austriacki. Wyglądał na prawdę groźnie.

- Ja pierdolę! - krzyknął Tadeo. - Ja pierdolę.

Bubba wycelował steyra w Tadea, a potem w grubasa. Ten pierwszy uniósł ręce nad głowę. Grubas zrobił to samo. Obaj stali w miejscu; trzęśli się, czekając na dalsze instrukcje.

Bubba nawet sobie nie zwracał głowy dzieciakiem w kombinezonie, który padł na kolana, opuścił głowę do podłogi i powtarzał szeptem: „Proszę, proszę”.

- Kurwa, zastrześliś go? - Patrzyłem na Bubbę z niedowierzaniem. - Nie za ostro?

- Nie pakuj mnie w takie gówno, jeśli zamierzasz zostawiać swoją parę w domu. - Skrzywił się z niesmakiem. - W pale się nie mieści, jaki z ciebie teraz grzeczny facet.

Maks wypuścił z siebie powietrze z głośnym świstem. Z czołem przy ziemi, walił pięścią w posadzkę.

- Już po nim - stwierdziłem.

- Ledwie go drasnąłem.

- Odstrześliś mu biodro.

- Ma dwa.

Maks zaczął się trząść. Drgawki szybko przeszły w konwulsje. Tadeo zrobił dwa korki w jego stronę, na co Bubba zrobił dwa kroki w stronę Tadea, mierząc mu w pierś.

- Zabiję cię tylko za to, że jesteś niski - ostrzegł.

- Przepraszam. - Tadeo uniósł ręce najwyżej, jak tylko mógł. Maks opadł na plecy. Na przemian głośno łykał powietrze i wypuszczał je z sykaniem.

- Zabiję cię za to, że używasz tego dezodorantu. - Bubba nie spuszczał wzroku z Tadea. - Zabiję twojego kolegę za to, że jest twoim kolegą.

Tadeo opuścił drżące ręce na wysokość twarzy. Zamknął oczy.

- Nie jesteśmy kolegami - odezwał się grubas. - Dokucza mi z powodu mojej wagi.

Bubba uniósł brew.

- Mógłbyś zrzucić parę kilo, ale nie wyglądasz jak orka ani nic. Chole-
ra, człowieku, po prostu nie jedz białego pieczywa i sera.

- Zastanawiam się nad dietą Atkinsa - wyznał grubas.

- Próbowałem jej.

- Tak?

- Przez dwa tygodnie nie wolno tykać alkoholu - powiedział Bubba z niechęcią. - Dwa tygodnie.

Grubas pokiwał głową.

- Mówiłem o tym żonie.

Maks kopnął w biurko. Tyłem czaszki uderzał szybko o podłogę. A potem znieruchomiał.

- Nie żyje? - mruknął Bubba.

- Żyje. Ale wkrótce umrze, jeśli nie będzie miał lekarza.

Bubba wyciągnął wizytówkę.

- Jak się nazywasz? - spytał grubasa.

- Augustan.

- Nie... naprawdę?

- Tak. A bo co?

Bubba obejrzał się na mnie i wzruszył ramionami, nim znów skupił uwagę na grubasie. Podał mu wizytówkę.

- Zadzwoń do tego gościa. Pracuje dla mnie. Zreperuje waszego znajomego. Reperacja będzie za friko, ale lekarstwa już nie.

- W porządku.

Bubba popatrzył na mnie i westchnął.

- Może byś zabrał ten swój laptop?

Zabrałem.

- Tadeo.

Facet opuścił drżące dłonie sprzed twarzy.

- Kto cię wynajął?

- Co? - Mrugnął kilka razy. - A, znajomy Maksa. Kenny.

- Kenny? - Bubba przewrócił oczami. - Wyciągasz mnie z łóżka, żebym strzelał do najaranego dupka z powodu jakiegoś Kenny'ego? To mi, kurwa, uwłacza.

Nie zwracałem uwagi na jego marudzenie. Musiałem się dowiedzieć więcej.

- To ten rudy z opuszczonego domu? - dopytywałem.

- Tak, Kenny Hendricks. Powiedział, że znasz jego kobietę. Mówił, że znalazłeś kiedyś jej dziecko, jak zaginęło. Helene.

Jeśli coś śmierdziało głupotą, to znaczyło, że Helene musi być w pobliżu.

- Kenny - powtórzył Bubba z goryczą.

- Gdzie moja torba? - spytałem.

- W drugiej szufladzie - odpowiedział Tadeo.

- Mogę już dzwonić do twojego lekarza? - Augustan wpatrywał się w Bubbę.

- Zawsze Augustan? - zdumiał się Bubba. - Żadnych zdrobnień? Nigdy Gus?

- Nigdy Gus - odparł grubas.

Bubba zastanawiał się chwilę, zanim skinął głową.

- Śmiało. Dzwon pod ten numer.

Augustan wyjął komórkę i wybrał numer. Ja znalazłem torbę w szufladzie biurka, a w torbie zdjęcie Gabby i moje notatki. Kiedy Augustan mówił lekarzowi, że jego kolega traci dużo krwi, włożyłem laptop do torby i skierowałem się w stronę drzwi. Bubba schował broń do kieszeni i tuż za mną wyszedł z garażu.

Rozdział 8

W moim śnie Amanda McCready miała dziesięć lat, może jedenaście. Siedziała na schodach żółtego bungalowu z kamiennymi schodami, a u jej stóp chrapał biały buldog. Na wąskim pasie trawy oddzielającym chodnik od ulicy rosły wysokie stare drzewa. Byliśmy gdzieś na południu, może w Charleston. Z drzew zwisały strzępy hiszpańskiego mchu, a dom miał blaszany dach.

Jack i Tricia Doyle siedzieli za Amandą w wiklinowych fotelach, rozdeleni szachowym stolikiem. W ogóle się nie zestarzeni.

Wszedłem na podjazd w swoim mundurze listonosza, na co pies uniósł głowę i spojrzął na mnie smutnymi czarnymi oczami. Na lewym uchu miał łatę tak samo czarną jak nos. Oblizał się i przewrócił na grzbiet.

Jack i Tricia podnieśli wzrok znad szachów i patrzyli na mnie.

- Przyniosłem pocztę - wyjaśniłem. - Jestem listonoszem.

Wciąż na mnie patrzyli. Nie odezwali się ani słowem.

Podąłem Amandzie pocztę i czekałem na napiwek. Przeglądała koperty, odrzucając na bok jedną po drugiej. Lądowały w krzakach, gdzie stawały się żółte i mokre.

Nie zatrzymawszy żadnej, popatrzyła na mnie z wyrzutem.

- Nie przyniosłeś nic, co by nam się przydało.

Następnego ranka ledwie mogłem podnieść głowę z poduszki. Kiedy to zrobiłem, coś mi chrupnęło w lewej skroni. Bolały mnie kości policzkowe, czaszka pulsowała. Podczas snu ktoś wsypał mi między zwoje mózgowo ostrą paprykę i tłuczone szkło.

Jakby tego było mało, wszystkie moje członki i stawy protestowały, kiedy się przetaczałem z boku na bok, siadałem, czy choćby oddychałem. Woda z prysznicza raniła mi skórę, mydło tym bardziej. Kiedy próbowałem wetrzeć szampon we włosy, przypadkiem nacisnąłem końcami palców

lewą stronę czaszki, co spowodowało taki ból, że omal nie padłem na kolana.

Wycierając się, spojrzałem w lustro. Górna lewa połowa mojej twarzy przybrała odcień sinofioletowy. Sinizny nie było jedynie w miejscach, które pokrywały czarne szwy. Włosy miałem poprzetykane siwymi nitkami; od czasu, gdy ostatnio zwracałem na nie uwagę, rozprzestrzeniły się również na owłosienie klatki piersiowej. Uczesałem się ostrożnie; kiedy sięgałem po maszynkę do golenia, ból przeszył moje spuchnięte kolano. Prawie się nie ruszałem, jedynie przeniosłem ciężar z nogi na nogę, nic więcej, a bolało, jakbym sobie wbił w rzepkę szewski młotek.

Nienawidziłem się starzec.

Kiedy wszedłem do kuchni, moja żona i córka z krzykiem chwyciły się za głowy i patrzyły na mnie szeroko otwartymi oczyma. Były tak zgrane, że od razu się domyśliłem, iż musiały to przećwiczyć; wyraziłem im uznanie, unosząc w górę kciuki, po czym nalałem sobie kawy. Zadowolone zrobiły żółwika, a potem Angie znów rozpostarła przed sobą poranną gazetę.

- To wygląda zupełnie jak torba na laptop, którą ci dałam na zesłą Gwiazdkę.

Zawiesiłem torbę na oparciu krzesła, siadając do stołu.

- To ta sama.

- A zawartość? - Przewróciła stronę „Heralda”.

- Odzyskana w całości.

Uniosła brwi w wyrazie podziwu. I może odrobiny zazdrości. Spojrzała na naszą córkę, chwilowo zafascynowaną wzorem na plastikowej podkładce pod talerz.

- Czy wystąpiły jakieś... hmm niekorzystne skutki uboczne?

- Pewien dżentelmen może mieć w najbliższym czasie problem z udziałem w wyścigach w workach. Albo... bo ja wiem... - Napilem się kawy. - ...ze spacerowaniem.

- A to dlatego, że?

- Bubba postanowił przyspieszyć załatwianie sprawy.

Gabriella uniosła głowę. Miała uśmiech po matce – szeroki na całą twarz i tak ciepły, że działał jak serdeczny uścisk.

- Wujek Bubba? Widziałeś wujka Bubbę?

- Widziałem. Kazał pozdrowić ciebie i pana Lubble.

- Pójdę po niego. - Wyskoczyła z krzeselka i pobiegła do swojego pokoju, a po chwili usłyszeliśmy jak przerzuca zabawki.

Pan Lubble był pluszakiem większym od Gabby. Dostała go od Bubby na swoje drugie urodziny. Według naszej najlepszej wiedzy pan Lubble był mieszańcem szympansa z orangutanem, choć jest możliwe, że reprezentował jakiś inny okaz z rodzaju ssaków naczelnych, zupełnie nam nieznanymi. Z jakiegoś powodu ubrany był w jaskrawozielony smoking oraz żółty krawat i żółte tenisówki. Gabby nazwała go panem Lubble; żadne z nas nie pamiętało dlaczego, więc mogliśmy się jedynie domyślać, że próbowała powiedzieć „Bubba”, ale w wieku dwóch lat musiała poprzestać na „Lubble”

- Panie Lubble - usłyszeliśmy głos dobiegający z jej pokoju. - Wyjź. Wyjź.

Angie dotknęła mojej dłoni. Była trochę przerażona tym, jak wyglądam na drugi dzień, bo wyglądałem gorzej niż pierwszego dnia po powrocie z pogotowia.

- Powinniśmy się obawiać zemsty?

Pytanie było całkiem uzasadnione. Przy każdym akcie przemocy można się spodziewać odwetu. Jeśli robisz komuś krzywdę, z reguły ten ktoś chce ci odpłacić pięknym za nadobne.

- Nie sądzę - odparłem szczerze. - Mnie by się stawiali, ale nie Bubbie. Nie zabrałem im nic poza tym, co należało do mnie.

- W ich przekonaniu to już nie należało do ciebie.

- Fakt.

Wymieniliśmy poważne spojrzenia.

- Mam śliczną małą beretkę - powiedziała Angie. - Doskonale się mieści w kieszeni.

- Minęło trochę czasu, odkąd ostatnio z niej strzelałaś.

- Czasami, gdy mam wolne, wiesz, „chwila luzu dla mamuśki”...

- Tak?

- Jeżdżę na strzelnicę do Freeport.

- Naprawdę? - Uśmiechnąłem się.

- Uhm. - Też się uśmiechnęła. - Niektóre dziewczyny odreagowują stres jogą, a ja wolę opróżnić ze dwa magazynki.

- Cóż, zawsze byłaś lepszym strzelcem w tej rodzinie.

- Lepszym? - Ostentacyjnie wbiła wzrok w gazetę. Tak naprawdę nie umiałbym trafić w piasek na plaży.

- No dobra. Jedynym.

Gabby wróciła do jadalni, wlokąc pana Lubble za rękaw zielonego smokingu. Usadziła go na krześle za stołem i wdrapała się na swoje miejsce.

- Czy wujek Bubba pocałował pana Lubble na dobranoc? - spytała.

- Owszem. - Czuję się gorzej, okłamując swoje dziecko, gdyby nie wcześniejsze precedensy ze Świętym Mikołajem, Zajączkiem Wielkanocnym i Zębową Wróżką.

- A mnie pocałował na dobranoc?

- Owszem.

- Pamiętam. - Jak widać skłonność do kłamstwa ujawnia się wcześniej, tylko jest nazywana kreatywnością. - I opowiedział mi bajkę.

- O czym?

- O drzewach.

- No tak, oczywiście.

- Powiedział też, że pan Lubble powinien dostawać więcej lodów.

- I czekolady? - podsunęła Angie.

- I czekolady? - Gabby rozważyła wszystkie za i przeciw. - Sądzę, że tak.

- Tak sądzisz? - Rozśmieszyła mnie „dorosłym” tonem. - Spojrzałem na żonę i dodałem: - Ma to po tobie.

Angie opuściła gazetę. Nagle zrobiła się blada, usta jej drżały.

- Mamusiu? - Nawet Gabby to zauważyła. - Co się stało?

Uśmiechnęła się słabo do córki i podsunęła mi gazetę.

- Nic, złotko. Mamusia jest po prostu zmęczona.

- Bo za dużo czytasz - stwierdziła nasza córka.

- Nie ma czegoś takiego jak za dużo czytania - wyjaśniłem. Spojrzałem na gazetę, a potem znów na Angie, nie rozumiejąc, o co jej chodzi.

- W prawym dolnym rogu strony.

Chodziło o kronikę kryminalną, zamieszczaną na ostatniej stronie działu ogłoszeń. Ostatni fragment miał nagłówek: „Kobieta z Maine zabita przez

złodzieja podczas kradzieży samochodu”. Przeczytawszy kilka pierwszych słów, opuściłem gazetę. Angie pogładziła mnie ciepłą dłonią po przedramieniu.

Matka dwójki dzieci została zastrzelona podczas próby kradzieży jej samochodu we wtorek wczesnym rankiem, kiedy skończyła pracę w markecie BJ's w Auburn. Napastnik zaskoczył Peri Pyper, lat 34, zamieszkałą w Lewiston, kiedy próbowała zapalić swoją hondę accord z 2008. Świadkowie twierdzą, że słyszeli odgłosy szamotaniny, a potem strzały. Podejrzany Taylor Biggins, lat 22, zamieszkały w Auburn, został aresztowany po policyjnym pościgu półtora kilometra od miejsca zdarzenia. Oddał się w ręce funkcjonariuszy, nie stawiając oporu. Panią Pyper odwieziono helikopterem ratunkowym do Maine Medical Center, ale jak twierdzi rzeczniczka szpitala Pamela Dunn, o 6.34 stwierdzono zgon. Pani Pyper osierociła syna i córkę.

- To nie twoja wina - szepnęła Angie.
- Nie wiem tego. Nic już nie wiem.
- Patrick.
- Nic już nie wiem - powtórzyłem.

Do Auburn w stanie Maine było trzy godziny jazdy i w tym czasie mój adwokat Cheswick Hartman wszystko zorganizował. Zjawiłem się w kancelarii prawnej Dufresne, Barrett i McGrath i zostałem wprowadzony do gabinetu Jamesa Mayfielda, młodszego partnera, który zajmował się większością spraw, kiedy chodziło o obronę w procesie karnym.

James Mayfield był czarnym mężczyzną o szpakowatych włosach i takich samych wąsach, wysokim i postawnym. Miał niedźwiedzi uścisk dłoni i swobodny sposób bycia, który wydawał się autentyczny i niewymuszony.

- Dziękuję, że zechciał się pan ze mną spotkać, panie Mayfield.
- Może mnie pan nazywać Trenerem, panie Kenzie.
- Trenerem?
- Jestem trenerem baseballu, koszykówki, golfa i piłki nożnej w tym mieście. Ludzie nazywają mnie Trenerem.

- Dlaczego nie? Niech będzie Trener.
- Kiedy adwokat rangi Cheswicka Hartmana dzwoni do mnie i mówi, że będzie mnie wspierał w procesie, za darmo, to staję na baczność.
- Rozumiem.
- Powiedział, że jest pan człowiekiem, który nigdy nie łamie danego słowa.
- Miło z jego strony.
- Miło czy nie miło, ale chcę mieć pańskie słowo na papierze.
- To całkowicie rozumiałe - przyznałem. - Wziąłem nawet własne pióro.

Trener Mayfield podsunął mi plik papierów, a ja zacząłem je podpisywać. On tymczasem sięgnął po telefon.

- Przyjdź tu natychmiast, Janice, i przynieś pieczętkę - polecił.

Kiedy skończyłem podpisywać stronę, sekretarka potwierdziła ją notarialnie. W sumie przybiła pieczętki na czternastu stronach. Umowa była w istocie całkiem prosta - potwierdzałem, że pracuję dla firmy Dufresne, Barrett i McGrath jako śledczy z ramienia Taylora Bigginsa. Zobowiązywała mnie do zachowania w tajemnicy wszystkiego, co usłyszę od swego klienta pana Bigginsa. Gdybym kiedykolwiek komukolwiek zdradził treść naszych rozmów, mogłem zostać oskarżony, osądzony i skazany.

Pojechałem do ratusza z Trenerem Mayfieldem. Niebo miało ten charakterystyczny mlecznoniebieski odcień, który zwykle zwiastował zimową burzę, ale było dość ciepło. W mieście unosił się zapach dymu z kominów i mokrego asfaltu.

Areszt znajdował się w podziemiach ratusza. Spotkaliśmy się z Taylorem Bigginsem, ja i Trener Mayfield, siedząc po drugiej stronie krat, gdzie strażnicy ustawili dla nas ławkę.

- Czołem, Trenerze - powitał nas Taylor Biggins. Wyglądał na mniej niż dwadzieścia dwa lata. Chudy czarny dzieciak w za dużym białym podkoszulku i opadających džinsach, które bezustannie podciągał na wystających górą bokserkach, dlatego że zabrano mu pasek.

- Bigs - odpowiedział trener Mayfield, po czym zwrócił się do mnie: - Bigs był moim pomocnikiem. W futbolu i baseballu. Jak Pop Warner.

- Kto to taki? - Bigs wskazał na mnie.

Mayfield wyjaśnił.

- Nic nikomu nie powie?

- Ani słowa.

- Bo jeśli powie, to go wrzucą do lochu? - I to bez latarki, Bigs.

- No dobra. - Przez chwilę krążył po celi z kciukami zatkniętymi za szlufki spodni. - Co pan chce wiedzieć?

- Ktoś ci zapłacił, żebyś zabił tę kobietę?

- Coś pan?

- Słyszałeś pytanie.

Przekrzywił głowę.

- Twierdzi pan, że zostałem wrobiony w to gównno?

- Właśnie.

- Kto by, kurwa, zrobił coś takiego na trzeźwo? Byłem nagrany jak pszczoła, człowieku. Od trzech dni brałem towar.

- Towar?

- Amfę, spid, prochy, nazywaj pan jak chcesz.

- Aha. To dlaczego do niej strzelałeś?

- Nie zamierzałem do nikogo strzelać. Nie słuchasz mnie, człowieku? Nie chciała mi oddać kluczyków. Kiedy mnie chwyciła za ramię... puk. I puściła. Chciałem tylko zabrać jej samochód. Mam kumpla, Edwarda, skupuje auta. Tyle.

Patrzył na mnie przez kraty, bliski ataku delirium tremens; skóra mu lśniła od potu, oczy miał szersze od głowy, oddech szybki i urywany.

- Opowiedz mi wszystko po kolei.

Popatrzył na mnie z urazą i niedowierzaniem, jakbym mu bez potrzeby zwracał głowę.

- Hej, Bigs, poza obecnym tu Trenerem jeden z najlepszych obrońców w kraju zajmuje się twoją sprawą, bo go o to poprosiłem. Może obciąć twój wyrok o połowę. Rozumiesz?

Bigs po namyśle pokiwał głową.

- Więc odpowiadaj na pytania, matole, albo mu powiem, żeby dał sobie spokój.

Chwycił się za brzuch, wydając z siebie przeciągłe syknięcia. Kiedy skurcze ustąpiły, wyprostował się i spojrzał na mnie przez kraty.

- Nie ma o czym gadać. Potrzebowałem auta, które łatwo opchnąć. Hondy albo toyoty. Robią części latami, można wymieniać, rocznik dziewięćdziesiąt osiem na dwa tysiące trzy i nie ma problemu. Wszystko, kur-na, do wszystkiego pasuje. No więc jestem na parkingu, w czarnej bluzie z kapturem i w tych spodniach, nikt mnie nie widzi. Ona wyszła i idzie do hondy. Podbiegam, pokazuję jej twarz i moją dziewiątkę. Powinno wystarczyć. Ale ona gada jakieś pierdoły i nie chce puścić kluczyków. Cały czas je trzyma, a potem nagle wali mnie w ramię. I wtedy, jak już mówiłem, puk. Pada. Jestem spietrany, ale potrzebuję towaru, więc zabieram kluczyki. Wskakuję do auta i spadam stamtąd, ale zaraz zleciały się psy i nie ujechałem nawet mili, kiedy mnie zgarnęli. - Wzruszył ramionami. - I tyle. Do dupy. Gdyby mi dała te kluczyki... - Wbił wzrok w podłogę. Gdy znów podniósł głowę, z oczu płynęły mu łzy.

Udawałem, że ich nie widzę.

- Powiedziałaś, że gadała jakieś pierdoły. Co mówiła?

- Nic, człowieku.

Podszedłem do krat i z bliska spojrzałem mu w twarz.

- Co mówiła?

- Mówiła, że potrzebuje tego auta. - Znów spuścił wzrok i kilka razy pokiwał głową, jakby do siebie. - Powiedziała, że potrzebuje tego auta. Można aż tak bardzo potrzebować auta?

- Znasz jakiś autobus, który by jeździł o trzeciej nad ranem, Bigs?

Zaprzeczył ruchem głowy.

- A ta kobieta miała dwa etaty. Pracowała w Lewiston i w Auburn. Jej zmiana w Lewiston kończyła się pół godziny przed rozpoczęciem zmiany w Auburn. Rozumiesz teraz?

Przytaknął. Łzy ciekły mu z oczu strumieniami, cały się trząsł.

- Peri Pyper. Tak się nazywała.

Stał ze zwieszoną głową. Milczał.

- Skończyłem - zwróciłem się do Mayfielda.

Stałem przy drzwiach, kiedy przez kilka minut konferował ze swoim klientem. Mówili szeptem. Wreszcie Trener podniósł z ławki aktówkę i ruszył w moją stronę.

Kiedy strażnik otwierał nam drzwi, Bigs zawołał:

- To było tylko pieprzone auto!
- Nie dla niej.

- Nie będę panu wciskał kitu, jaki to z Bigsa wspaniały dzieciak i tak dalej - powiedział Trener Mayfield. - Zawsze był narwany i krótkowzroczny w życiowych sprawach. Jeśli czegoś chciał, musiał to mieć zaraz. - Machnął ręką przez okno swojego chryslera 300. Przejeżdżaliśmy ulicami, przy których wznosiły się kościoły o smukłych białych wieżach, rozpościerały się rozległe trawniki i stały eleganckie pensjonaty. - Gdyby zajrzeć pod fasadę, którą to miasto pokazuje światu, znalazłoby się wiele pęknięć. Dwucyfrowe bezrobocie, a ci co zatrudniają, nie płacą. Świadczenia? - Zaśmiał się. - Nie ma mowy. Ubezpieczenie? - Pokręcił głową. - To wszystko, co nasi ojcowie mieli zapewnione, jeśli tylko uczciwie pracowali, system zabezpieczeń socjalnych, przyzwoite pensje i złoty zegarek przy przejściu na emeryturę? To wszystko się tu dawno skończyło, przyjacielu.

- W Bostonie także.
- Wszędzie się skończyło, pewnie.

Przez jakiś czas jechaliśmy w milczeniu. Podczas naszej wizyty w areście niebo z mleczno-błękitnego zmieniło barwę na szare. Temperatura spadła o dobrych kilka stopni. Miało się wrażenie, że powietrze jest z mokrej metalowej folii. Zanosilo się na śnieg.

- Bigs przymierzał się do Colby. Powiedzieli mu, że jeśli przez rok poprawi oceny na trochę wyższe, przyjmą go i będzie mógł studiować jako zawodnik drużyny baseballowej. Więc się zawiązał. - Spojrzał na mnie spod uniesionych brwi. - W dzień chodził do szkoły, nocami pracował.

- I co się stało?

- Firma, w której pracował, wszystkich zwolniła. Po miesiącu zaproponowała im powrót. To jest fabryka konserw. - Kiedy przejeżdżaliśmy przez niewielki most, wskazał zabudowania z beżowej cegły, wzdłuż brzegu rzeki Androscoggin. - Propozycję dostali tylko niewykwalifikowani pracownicy, wykwalifikowanych pominieli. Mieli wrócić na poprzednie stanowiska, tylko że za połowę wcześniejszej stawki za godzinę. Żadnych świadczeń, żadnego ubezpieczenia, nic. Za to mnóstwo godzin nadliczbowych, pod

warunkiem że nie będą stawiać żądań co do czasu pracy i się buntować. Więc Bigs wraca do pracy. Żeby zapłacić za czynsz i szkołę, pracuje po siedemdziesiąt godzin tygodniowo. I chodzi na wszystkie lekcje. Niech pan zgadnie, jak mu się udaje na nich nie zasnąć?

- Amfetamina.

- Zgadza się - mruknął, wjeżdżając na parking przed kancelarią.

- Fabryka konserw nie jest wyjątkiem. Tak działają firmy w całym mieście, w całym stanie. A biznes narkotykowy? Cóż, ten kwitnie.

Wysiedliśmy z auta na zimny parking. Podziękowałem Trenerowi, na co on tylko wzruszył ramionami. Jak widać, lepiej znosił krytykę niż pochwały.

- Bigs zrobił straszną rzecz, ale zanim zaczął brać, nie był złym dzieckiem.

Pokiwałem głową.

- Nic nie usprawiedliwia jego postępuku - dodał - ale to się nie wzięło znikąd.

Uścisnęliśmy sobie dłonie.

- Cieszę się, że pan się zajmuje jego sprawą.

To też skwitował wzruszeniem ramion.

- Przez pieprzony samochód.

- Przez pieprzony samochód. - Wsiadłem do swojego auta i odjechałem.

Na postoju tuż za granicą stanu Massachusetts kupiłem kanapkę i jedząc ją w samochodzie, otworzyłem laptop na siedzeniu pasażera. Stuknąłem w klawiaturę, żeby wyrwać urządzenie z uśpienia. Przyjemny dreszczyk przebiegł mi przez czaszkę. Kiedy ukazała się strona wyszukiwarki, wstukałem swoją nazwę użytkownika i hasło, żeby wejść na indywidualną ścieżkę dostępu. Na ekranie pojawiła się zielona ramka. Pokazało się pytanie o nazwisko lub pseudonim. Wstukałem nazwisko.

Angie by mnie zabiła. Miałem skończyć z tym gównem. Odzyskałem laptop. Odzyskałem też torbę i zdjęcie Gabby. Dowiedziałem się czegoś o Peri Pyper. Było po wszystkim i mogłem się spokojnie wycofać.

Przypomniałem sobie, jak popijaliśmy z Peri w barze w Lewiston albo w T.G.I. Friday's w Auburn. Zaledwie przed rokiem. Wymienialiśmy się anegdotami z dzieciństwa, kłóciliśmy o drużyny sportowe, docinaliśmy sobie nawzajem z powodu różnic w poglądach politycznych i przytaczaliśmy sceny z filmów, które oboje uwielbialiśmy. Nie było żadnego związku pomiędzy jej śledztwem w Branch Federated a śmiercią z rąk naćpanego dzieciaka na parkingu o trzeciej nad ranem. Żadnego związku.

Ale przecież wszystko jest ze sobą jakoś powiązane.

Głos w mojej głowie przekonywał: „Nie ma się czego czepiać. Jesteś po prostu wkurzony. A kiedy jesteś wkurzony, zaczynasz się miotać”.

Odchyliłem się na oparcie fotela i zamknąłem oczy. Zobaczyłem Beatrice McCready - zbolałą, przedwcześnie postarzałą i być może szaloną.

Inny głos mówił: „Nie rób tego”.

Ten głos był niepokojąco podobny do głosu mojej córki.

„Odpuść”.

Otworzyłem oczy. Wszystkie te głosy miały rację.

Zobaczyłem Amandę z mojego porannego snu i koperty, które rzuciła w krzaki.

Wszystko jest ze sobą powiązane.

„Nie, wcale nie jest”.

Co powiedziałem we śnie?

„Jestem tylko listonoszem”.

Nachyliłem się, żeby zamknąć komputer. Zamiast tego wpisałem do ramki: KENNETH HENDRICKS.

Kliknąłem „enter” i czekałem.

Część II

Mordwiński rhythm & blues

Rozdział 9

Kenneth James Hendricks miał kilka pseudonimów. Znany był, w różnych okresach, jako KJ, K Boy, Richard James Stark, Edward Toshen i Kenny B. Urodził się w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym dziewiątym w Warrensburgu w Missouri jako syn mechanika lotniczego obsługującego maszyny 340. Skrzydła Bombowego w bazie sił powietrznych w Whiteman. Stamtąd brykał po całych Stanach - od Biloxi przez Tampę, Montgomery, po Great Falls. Pierwszy raz został aresztowany jako nieletni w King Salmon na Alasce, drugi w Lompoc w Kalifornii. W wieku osiemnastu lat trafił do aresztu w Lompoc pod zarzutem napaści z pobiciem i miał odpowiadać jak dorośli. Ofiarą był jego ojciec. Sprawę umorzono z powodu wycofania się poszkodowanego z zeznań. Dwa dni później znów napaść z pobiciem, ta sama ofiara. Tym razem ojciec podtrzymał zarzuty, może dlatego, że syn próbował mu odciąć ucho. Wrzaski ojca zaalarmowały sąsiada. Hendricks odsiedział półtora roku, a przez kolejne trzy lata pozostawał pod policyjnym nadzorem. Ojciec zmarł, kiedy on był w więzieniu. Następne aresztowanie nastąpiło w Sacramento, za szwendanie się w okolicy popularnej wśród męskich prostytutek. Sześć tygodni później, również w Sacramento, znów wylądował w areszcie za napaść. Tym razem za pobicie jakiegoś człowieka w motelu przy trasie międzystanowej 1-80. Ofiara, diakon zielonoświątkowców, prominentny działacz polityczny, miał trudności z wyjaśnieniem, dlaczego przebywał nagi w pokoju motelowym z męską prostytutką, więc nie wniósł zarzutów. Stan Kalifornia mimo to odwieścił Kenny'emu poprzedni wyrok, ponieważ w chwili aresztowania znajdował się pod wpływem alkoholu i kokainy.

Kiedy wyszedł z więzienia w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym czwartym, zrobił sobie na karku tatuaż Waffen SS, na cześć swoich nowych kolegów z Bractwa Aryjskiego. Dokonał także wyboru specjalizacji

w kryminalnym rzemiośle - przez następne lata aresztowany był zawsze z powodu podejrzenia lub stwierdzenia kradzieży. Kenny rozwijał się, stawał się coraz mądrzejszy, zupełnie tak samo jak osobiste komputery. Nie da się jednak do końca wyplenić starych nawyków, więc w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym dziewiątym zatrzymano go za gwałt i pobicie nieletniej w Peabody w stanie Massachusetts. Miała siedemnaście lub szesnaście lat, w zależności od tego, w której części nocy nastąpił gwałt. Obrońca Kenny'ego dwoił się i troił. Prokurator zdał sobie sprawę, że jeśli postawi ofiarę na miejscu dla świadków, to ten człowiek pożre do szczytu to, co z niej jeszcze zostało. Ostatecznie Kenny przyznał się do seksualnej napaści na dorosłą kobietę. Ponieważ stan tak poważnie traktował gwałt, dostał dwa lata, mniej niż w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym pierwszym za wciągnięcie kilku działek w Sacramento i popicie ich sześciopakami budweisera. Ostatnie aresztowanie nastąpiło w dwa tysiące siódmym. Został przyłapany, gdy przyjmował telewizory warte pięćdziesiąt tysięcy dolarów; kupił je, podszywając się pod inną osobę. Planował sprzedać po pięćset dolarów mniej, niż zapłacił, posługując się kartą kredytową niejakiego Olivera Orina, właściciela sieci sportowych barów, z których kilka przeszło gruntowną renowację. Trzeba przyznać, że jeśli ktoś mógł zamówić pięćdziesiąt telewizorów plazmowych po tysiąc dolarów za sztukę, nie wzbudząc podejrzeń, to tylko ktoś taki jak Oliver Orin. Z powodu wcześniejszych zaszłości Kenny został skazany na pięć lat. Odsiedział niecałe trzy. Od tamtej pory był na wolności.

- Mimo wszystko to miły człowiek - stwierdziła Angie.
- Bez wątpienia czarujący.
- Potrzebuje tylko trochę czułości.
- I hantli.
- No tak, jasne - zgodziła się Angie. - Przecież nie jesteśmy barbarzyńcami.

Znajdowaliśmy się w wolnej sypialni-garderobie, gdzie trzymaliśmy służbowe biurko. Było po dziewiątej; Gabby zasnęła około ósmej i od tamtej pory grzebaliśmy w życiorysie Kenny'ego Hendricksa.

- Zatem to jest chłopak Helene.
- Właśnie.

- No i dobrze.

Opadła na krzesło i głośno wypuściła powietrze, co było nieomylnym znakiem, że zaraz wybuchnie.

- Kurczę, nie oczekiwałam, że Helene stanie się wzorową matką, ale nie przypuszczałam, że ta kokainowa dziwka będzie niewiarygodnie głupio postępować ze swoim dzieckiem.

- Spokojnie, spokojnie. Według mnie gustuje bardziej w amfie niż w koce. A więc jest amfetaminową dziwką.

Angie posłała mi mordercze spojrzenie. Żarty się skończyły. Cieniem na naszym związku wciąż kładło się to, co zrobiliśmy, kiedy Amanda McCready zniknęła po raz pierwszy. Postawiona przed wyborem pomiędzy prawem a dobrem czterolatki, Angie nie miała trudności z podjęciem decyzji: pieprzyć prawo.

Ja natomiast wybrałem klasyczne wyjście i pomogłem władzom stanowym zwrócić zaniedbywane dziecko zaniedbującej matce. Zerwaliśmy ze sobą z tego powodu. Prawie przez rok ze sobą nie rozmawialiśmy. Niektóre lata są dłuższe niż inne; tamten rok trwał jakieś dziesięć i pół roku. Odkąd znów się zeszliliśmy, imiona Amandy i Helene McCready nie padały w naszym domu aż do tamtego porannego telefonu. Przez te trzy dni za każdym razem, gdy ktoś z nas wymawiało jedno z tych imion, miało się wrażenie, jakby ktoś odbezpieczał granat.

Przed dwunastu laty nie miałem racji. Każdy dzień, jaki minął od tamtej pory, a zebrało się ich jakieś cztery tysiące czterysta, bardziej mnie w tym utwierdzał.

Ale dwanaście lat temu postąpiłem słusznie. Pozostawienie Amandy z porywaczami, chociaż dbali o jej dobro, byłoby pozostawieniem jej z porywaczami. W ciągu tych paru tysięcy dni, odkąd im ją odebrałem, byłem pewien, że właśnie tak należało postąpić. Skąd więc moje rozterki?

Z powodu żony, która wciąż nie zmieniała zdania; uważała, że wtedy spieprzyłem sprawę.

- Ten Kenny... - Postukała w mój laptop. - Wiemy, gdzie on mieszka?

- Znamy jego ostatni adres.

Przeczesała palcami długie ciemne włosy.

- Wyjdę na chwilę na ganek.

- Jasne.

Włożyliśmy kurtki. Na ganku od podwórza starannie zamknęliśmy drzwi domu i Angie zdjęła pokrywę z ogrodowego grilla, w którym trzymała paczkę papierosów i zapalniczkę. Przysięgała, że pali tylko parę dziennie, ale czasami paczka była o wiele lżejsza, niż powinna. Jak dotąd udawało jej się ukrywać dowody przestępstwa przed Gabby, ale zegar tykał, o czym oboje dobrze wiedzieliśmy. Jednak choć bardzo bym chciał mieć żonę bez wad, to normalnie nie znośłem ludzi bez wad. Łączyli narcystyczny instynkt samozachowawczy z poczuciem wyższości moralnej. Poza tym potrafili zepsuć każdą imprezę. Angie wiedziała, że wołałbym, by nie paliła, i ona też wołałaby nie palić. Ale na razie paliła, a ja jakoś sobie z tym radziłem i jej się o to nie czepiałem.

- Jeśli Beatrice nie jest szalona - zaczęła Angie - a Amanda naprawdę zniknęła, mamy drugą szansę.

- Nie, nie mamy.

- Nawet nie wiesz, co chciałam powiedzieć.

- Owszem, wiem. Chciałaś zasugerować, że gdyby nam się jakimś cudem udało znaleźć Amandę McCready, tym razem możemy zadośćuczynić grzechom z przeszłości.

Uśmiechnęła się do mnie smutno, wydmuchując smużkę dymu ponad balustradą.

- Jednak wiedziałeś, co chciałam powiedzieć.

Wciągnąłem trochę tego dymu z drugiej ręki i pocałowałem swoją żonę w obojczyk.

- Nie wierzę w odkupienia.

- Myślałam, że nie wierzysz w ostateczne rozwiązania.

- W nie też.

- W takim razie w co wierzysz?

- W ciebie. W nią. W to.

- Skarbie, musisz złapać więcej równowagi.

- A czym ty jesteś, mój sensei?

- *Hai*. - Szturchnęła mnie lekko. - Mówię poważnie. Możesz snuć się po domu i rozmyślać, co się przydarzyło Peri Pyper i o tym, jak pomogłeś klasycznemu dupkowi, jakim jest Brandon Trescott, uniknąć odpowiedzialności za swoje czyny, albo możesz zrobić coś dobrego.

- A to jest dobre, co?
- Żebyś wiedział, że jest. Uważasz, że ktoś taki jak Kenny Hendricks powinien mieszkać z Amandą McCready?

- Nie, ale to nie wystarczy, żeby włączyć z brudnymi buciorami w czyjeś życie.

- A co wystarczy?

Zachichotałem. Ona nie.

- Amanda zniknęła.

- Chcesz, żebym się dobrał do Kenny'ego i Helene.

Pokręciła głową.

- Chcę, żebyśmy się razem dobrali do Kenny'ego i Helene. I żebyśmy znów razem odnaleźli Amandę. Choć może nie mam zbyt dużo wolnego czasu.

- W ogóle nie masz czasu.

- No dobrze, nie mam, ale wściekle znam się na komputerach, mój drogi.

- Powiedziałaś, że „wściekle” znasz się na komputerach?

- Przenoszę się znów w czasy sprzed dziesięciu lat.

- Pamiętam tamte czasy... Zarabialiśmy wówczas pieniądze.

- I byliśmy ładniejsi, a ty miałaś gęstsze włosy. - Oparła się rękami o moją pierś i stanęła na palcach, żeby mnie pocałować. - Bez urazy, skarbie, ale co innego robisz teraz?

- Jesteś zimną suką. Kocham cię. Ale jesteś zimną suką.

Roześmiała się tym niskim, gardłowym śmiechem, od którego krew zaczynała mi szybciej krążyć.

- Uwielbiasz to.

Pół godziny później Beatrice McCready siedziała przy stole w naszej jadalni i piła kawę. Nie wyglądała na załamana, zagubioną jak tamtego dnia na stacji metra, ale mogła tak się czuć.

- Nie powinnam była kłamać, mówić, że Matt żyje. Przepraszam.

Uniosłem dłoń.

- Jezus, Beatrice, nie trzeba żadnych przeprosin.

- On... To jedna z tych rzeczy, z którymi nie da się pogodzić, ale człowiek musi jakoś funkcjonować, wykonywać codzienne obowiązki. Prawda?

- Mój pierwszy mąż został zamordowany - mówiła Angie. - To nie znaczy, że wiem, co ty czujesz, Bea, ale ja nauczyłam się, że znalezienie w ciągu dnia choćby jednej sekundy bez żalu nie jest grzechem.

Beatrice pokiwała głową.

- Dziękuję. - Rozejrzała się po naszej niewielkiej jadalni. - Macie małą córeczkę?

- Tak. Gabriellę.

- Och, piękne imię. Podobna do ciebie? - zwróciła się do mojej żony.

Angie spojrzała na mnie, a ja potwierdziłem skinieniem.

- Bardziej do mnie niż do niego - przyznała. - Wskazała zdjęcie na kredensie. - To jest Gabby.

Beatrice popatrzyła na fotkę i wreszcie się uśmiechnęła.

- Wygląda przebojowo.

- Bo taka jest - przytaknęła ochoczo Angie. - Mówi się, że dwulatki są nieznosne?

Beatrice pochyliła się ku niej.

- Wiem, wiem. To się zaczyna około półtora roku i trwa do trzech i pół.

Angie przytaknęła skwapliwie.

- Była niesamowita. To znaczy, Boże, tu się działo...

- Okropne, co? - podchwyciła Beatrice. Przez moment miała minę, jakby zamierzała opowiedzieć jakąś anegdotę o swoim synu, ale ugryzła się w język. Z dziwnym uśmiechem wbiła wzrok w blat stołu i zakotłosała się na krześle. - Ale dzieciaki z tego wyrastają.

Angie popatrzyła na mnie, ale ja też nie wiedziałem, co powiedzieć.

- Bea - zaczęła Angie - policja twierdzi, że sprawdziła twoje doniesienie i znalazła Amandę w domu.

Beatrice pokręciła głową.

- Od kiedy się wyprowadziły, Amanda dzwoniła do mnie codziennie. Nie opuściła ani dnia, dopiero dwa tygodnie temu przestała... Tuż po Święcie Dziękczynienia. Od tamtej pory się nie odezwała.

- Wyprowadziły się?

- Jakies cztery miesiące temu. Helene ma dom w Foxboro. Z trzema sypialniami.

Foxboro było przedmieściem, trzydzieści kilometrów na południe od centrum miasta. Może to jeszcze nie Belmont Hill, ale sąsiedztwo na pewno lepsze niż parafia Świętego Bartłomieja w Dorchester.

- Jak Helene obecnie zarabia na życie?

Parsknęła śmiechem.

- Zarabia? Ostatnio, kiedy słyszałam o jej pracy, obsługiwała maszynę do Lotto w sklepie na Dorchester Avenue, ale to jakiś czas temu. Jestem pewna, że wywalili ją stamtąd, tak jak z każdej innej roboty. Udało jej się wylecieć nawet z gazowni. A kogo wyrzucają z takiego miejsca jak gazownia?

- Cóż, skoro się nie przepracowuje...

- To jak ją stać na dom? - Beatrice wzruszyła ramionami. - Kto to może wiedzieć?

- Nie dostała nic od miasta w tych procesach, prawda?

- Wszystko poszło na fundusz powierniczy dla Amandy. Helene nie może tknąć tych pieniędzy.

- Dobrze - powiedziała Angie. - Sprawdzę, ile wynosi podatek od nieruchomości za ten dom.

- A co z zakazem zbliżania się, który dostałaś? - spytałem najdelikatniej jak mogłem.

Popatrzyła na mnie.

- Helene manipuluje ludźmi. Robi to od czasu, gdy była nastolatką. Dwa lata temu Amanda chorowała. Na gripę. Helene miała nowego chłopaka, barmana, który nalewał jej darmowe drinki, więc zapomniała o zajmowaniu się córką. Mieszkały wtedy jeszcze w dawnym miejscu przy Columbia Road. Ja miałam klucz, więc zaczęłam przychodzić i opiekować się Amandą. W przeciwnym razie dostałaby zapalenia płuc.

Angie popatrzyła na zdjęcie Gabby, a potem znów na Beatrice.

- Helene cię tam zastała i wniosła o zakaz zbliżania się.

- Tak. - Bea przesunęła palcem po krawędzi filiżanki. - Piję teraz więcej niż kiedyś. Czasami głupieję i dzwonię po pijanemu. - Popatrzyła na mnie. - Tak jak do ciebie tamtej nocy. Zadzwoiłam też do Helene parę razy. Po ostatnim telefonie wniosła o kolejny zakaz. To było trzy tygodnie temu.

- Dlaczego ją... nie chcę użyć określenia „nękałaś”, ale...

- Słowo jest w porządku. Czasami lubię nękać Helene. - Uśmiechnęła

się. - Rozmawiałam z Amandą. To dobre dziecko. Jest twarda. Dojrzała, niżby wynikało z wieku.

Pomyślałem o czterolatce, którą oddałem do tego domu. Teraz była „twarda”. Teraz była „dojrzała, niżby to wynikało z wieku”.

- Amanda prosiła mnie, żeby sprawdzać skrzynkę na listy w starym miejscu zamieszkania, na wypadek, gdyby poczta czegoś nie przekierowała. Ciągłe im się to zdarza. Poszłam więc tam i wyjęłam te reklamowe śmieci. - Sięgnęła do torebki. - Także i to.

Podawała mi kartkę koloru kości słoniowej: akt urodzenia wydany przez stan Massachusetts, hrabstwo Suffolk, należący do Christiny Andrei English, urodzonej czwartego sierpnia tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego trzeciego roku.

Angie zerknęła na dokument.

- Podobny wiek.

- Christina English byłaby o rok starsza - sprostowałem.

Myśleliśmy dokładnie to samo. Angie położyła akt urodzenia obok laptopa i jej palce zatańczyły po klawiaturze.

- Jak Amanda zareagowała, kiedy jej powiedziałaś, że to znalazłaś? - spytałem.

- Przestała dzwonić. A potem zniknęła.

- Więc zaczęłaś dzwonić do Helene.

- I żądać odpowiedzi. Zgadza się.

- I bardzo dobrze - uznała Angie. - Żałuję, że mnie przy tobie nie było.

- Więc dzwoniłaś do Helene? - upewniłem się.

- Parę razy. I zostawiłam jej kilka ostrych wiadomości.

- Które Helene zachowała - podsunęła domyślnie Angie.

- I przedstawiła sędziemu.

- Dokładnie - potwierdziła Bea.

- Jesteś pewna, że Amandy nie ma w domu w Foxboro?

- Jestem pewna. Obserwowałam dom przez trzy dni.

- Obserwowałaś. - Uśmiechnąłem się do niej. - Mając zakaz zbliżania.

A niech mnie. Niezła jesteś, Bea.

Wzruszyła ramionami.

- Nie wiem, z kim rozmawiała policja, ale to nie była Amanda.

Angie na moment oderwała wzrok od komputera, nie przestając przebierać palcami po klawiszach.

- Christiny English nie ma wśród uczniów miejscowych gimnazjów. Nie figuruje w opiece społecznej. Ani w aktach szpitali.

- Co to znaczy? - spytała Bea.

- Że Christina English mogła się wyprowadzić z tego stanu. Albo...

- Mam - przerwała mi Angie. - Data śmierci szesnastego września tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąt trzy.

- ...nie żyje - dokończyłem.

- Wypadek samochodowy - uściśliła Angie. W Wallingford, Connecticut. Oboje rodzice zginęli w tym samym dniu.

Bea patrzyła na nas, nie rozumiejąc, co mamy na myśli.

- Amanda próbowała przyjąć tożsamość Christiny English, Bea - wyjaśniła jej Angie. - Ty się wtrąciłaś. W archiwach Massachusetts nie ma aktu zgonu, będę musiała poszperać głębiej, ale istnieje duża szansa, że ktoś mógłby udawać, że jest Christina English, i nigdy by się to nie wydało. Taki ktoś mógłby dostać numer ubezpieczenia, wymyślić historię zatrudnienia i pewnego dnia, gdyby mu przyszła ochota, udać wypadek w takiej nieistniejącej pracy i dostać stanową rentę inwalidzką.

- Albo - podjąłem wątek - w ciągu trzydziestu dni obkupić się za sześciocyfrową sumę, używając różnych kart kredytowych, i nigdy nawet nie zacząć ich spłacać, bo... nie istnieje.

- Zatem Amanda może pracować dla matki i Kenny'ego przy jakimś oszustwie - rozmyślała głośno Angie - albo...

- Próbuje zostać kimś innym - odpowiedziałem.

- Ale wówczas nie dostałaby tych dwóch milionów, które miasto ma jej wypłacić w przyszłym roku.

- Słuszna uwaga - pochwaliłem.

- Jednak to, że przybierze nową tożsamość, nie oznacza, że porzuci prawdziwą.

- Ale ja przechwyciłam akt urodzenia - przypomniała Bea - więc nie może już być nikim poza sobą, prawda?

- Cóż, tożsamość Christiny English prawdopodobnie jest nieaktualna - przyznałem.

- Ale?

- Ale - włączyła się Angie - to jest tak jak z awatarami w grach komputerowych. Jeśli jest bystra, może mieć ich kilka. Amanda jest bystra?

- Niesamowicie - zapewniła Bea.

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu. Przyłapałem Beę, że gapi się na zdjęcie Gabrielu. Zrobiliśmy je poprzedniej jesieni. Gabby siedziała na stercie liści, z szeroko rozpostartymi ramionami, uśmiechnięta od ucha do ucha, jakby prezentowała swoje trofeum. Miliony takich zdjęć zdobiły gzymsy nad kominkiem i kredensy, stały na półkach i telewizorach na całym globie. A Bea wpatrywała się w to jedno jak zaczarowana.

- Wspaniały wiek - mówiła cicho. - Cztery, pięć lat. Wszystko zachwyca, wszystko się zmienia.

Nie potrafiłem spojrzeć w oczy swojej żonie.

- Rozejrzę się - powiedziałem.

Angie posłała mi uśmiech szerszy od hrabstwa Suffolk. Bea wyciągnęła do mnie ręce nad stołem. Ucisnąłem je; nabrały ciepła od filiżanki z kawą.

- Znajdziesz ją i tym razem.

- Obiecałem tylko, że się rozejrzę, Bea. Wbiła we mnie natchnione spojrzenie.

- Znajdziesz ją i tym razem - powtórzyła. Nie odezwałem się.

- Znajdziemy ją, Bea. Choćby nie wiem co - zdecydowała za nas oboje Angie.

Po jej wyjściu siedzieliśmy w salonie, a ja wpatrywałem się w trzymane na kolanach zdjęcie Bei z Amandą. Zostało zrobione rok wcześniej w siedzibie Rycerzy Kolumba. Stoją na tle obitej boazerią ściany. Bea spogląda na Amandę, a miłość bije z jej oczu niczym promień z latarki. Amanda patrzy prosto w obiektyw. Ma dumny uśmiech, twarde spojrzenie i szczękę lekko przekrzywioną w prawo. Jej niegdyś jasne włosy są ciemne, z wiśniowymi pasemkami, długie i proste. Nosi je rozpuszczone. Jest niewysoka i szczupła i ma na sobie szary podkoszulek z nadrukiem, granatową kurtkę Red Sox i ciemnoniebieskie dżinsy. Na lekko garbatym nosie widać plamki jasnych piegów, a zielone oczy są bardzo małe. Ma wąskie usta, wyraźnie zarysowane kości policzkowe i trochę spłaszczony podbródek. Jej nad wyraz żywe spojrzenie pozwala stwierdzić, że na zdjęciu dziewczyna wygląda gorzej niż w rzeczywistości. Prawdopodobnie twarz jej się zmieniła trzydzieści razy na kwadrans. Nie zachwycała urodą, ale przyciągała uwagę.

- O kurczę, to dziecko już nie jest dzieckiem - zauważyła słusznie Angie.

- Wiem. - Przymknąłem na moment oczy.

- Czego się można spodziewać? Przy takiej matce jak Helene? Jeśli Amandzie uda się uniknąć kłopotów do dwudziestych urodzin, to będzie wielki sukces.

- Czemu ja znowu to robię? - zastanowiłem się głośno.

- Bo jesteś dobry.

- Nie aż tak dobry.

Pocałowała mnie w ucho.

- Kiedy córka cię spyta, co osiągnąłeś, nie będziesz zadowolony, że możesz jej odpowiedzieć?

- Pewnie, że tak. Ale jest recesja, depresja, czy jak zwać to gównu. I szybko nie minie.

- Minie - zapewniła Angie. - Kiedyś. A to, na czym stoisz, tu i teraz? To jest na zawsze. - Obróciła się na kanapie, podniosła nogi do góry i chwyciła je w kostkach. - Dołącz do ciebie na dwa lub trzy dni. Będzie fajnie.

- Fajnie. Ale jak zamierzasz...

- PR jest mi winna przysługę z zeszłego lata, kiedy pilnowałam Bestii. Popilnuje Gabby, kiedy ja się będę z tobą szlajać.

Bestia był synem przyjaciółki Angie, Peggy Rose - czyli PR. Gavin Rose miał pięć lat i z tego co wiedziałem, nigdy nie sypiał i nigdy nie przestawał rozrabiać. Lubił też wrzeszczeć bez powodu. Jego rodzice uważali, że to urocze. Kiedy PR przed rokiem urodziła drugie dziecko, poród zbiegł się w czasie ze śmiercią jej teściowej i dlatego my z Angie spędziliśmy z Bestią pięć najdłuższych dni znanych ludzkości.

- Rzeczywiście jest nam winna - potwierdziłem.

Angie spojrzała na zegarek.

- Za późno, żeby teraz dzwonić, ale złapię ją rano. A ty zadzwoń do mnie po południu, żeby się dowiedzieć, czy masz partnerkę.

- Miło z twojej strony, ale to nam nie przyniesie więcej pieniędzy. A tego potrzebujemy. Mógłbym poszukać jakiejś dorywczej pracy. Zawsze można coś tam zarobić. Może w porcie? Mógłbym wyładowywać auta ze

statków w Southie. Mógłbym... - Zamilkłem, przerażony desperacją, którą usłyszałem w swoim głosie. Oparty o poduszki kanapy patrzyłem na płatki mokrego śniegu klejące się do szyby. Kłębiły się pod ulicznymi lampami, wirowały wokół drutów telefonicznych. Spojrzałem na żonę.

- Możemy zostać bez grosza.

- To ci zajmie parę dni, najwyżej tydzień. A jeśli w tym czasie zadzwonią od Duhamela-Standiforda i zaproponują ci inną sprawę, to odejdiesz. Ale na razie spróbuj poszukać Amandy.

- Nie będziemy mieć na jedzenie.

- Pożywimy się darmową zupą.

Rozdział 10

Jeszcze przed trzema tygodniami Amanda McCready uczęszczała do Szkoły dla Dziewcząt Caroline Howard Gilman. Szkoła była usytuowana przy bocznej uliczce odchodzącej od Memorial Drive w Cambridgeport, o kilka pociągnięć wiosłami w górę rzeki Charles od MIT. Rozpoczęła działalność jako liceum dla dziewcząt z bogatych domów. W tysiąc osiemset czterdziestym trzecim rekomendowała się w taki sposób: „Wychodząc naprzeciw potrzebom niepewnych czasów, Szkoła dla Dziewcząt Caroline Howard Gilman zamieni twoją córkę w młodą damę o nienagannych manierach. Kiedy mąż będzie brał jej rękę w dniu ślubu, twoją uściśnie w podziękowaniu za kobietę niezrównanego wychowania i wdzięku”.

Szkoła Caroline Howard Gilman trochę się zmieniła od tego czasu. Nadal zabiegała o dzieci bogaczy, ale jej uczniowie stali się znani nie tyle ze swoich manier, ile z ich braku. Obecnie, jeśli się miało dość pieniędzy i znajomości, żeby posłać dziecko do Winsor lub St. Paul, ale dziecko albo miało kiepskie wyniki w nauce, albo co gorsza, problemy z zachowaniem - posyłało się je do Gilman.

- Nie lubimy być określani, nawet życzliwie, jako szkoła „terapeutyczna” - oznajmiła dyrektorka Mai Nghiem, prowadząc mnie do swojego gabinetu. - Wolimy wierzyć, że jesteśmy o ten jeden stopień wyżej. Sporo naszych młodych wychowanek będzie studiować na uniwersytetach Ivy League i w college'u Seven Sisters, mają jedynie nieco mniej tradycyjną drogę do edukacji niż ich rówieśniczki. A ponieważ osiągamy wyniki, otrzymujemy dotacje, dzięki którym możemy przyjmować także inteligentne młode kobiety z mniej uprzywilejowanych środowisk.

- Jak Amanda McCready.

Mai Nghiem przytaknęła i wprowadziła mnie do gabinetu. Była niska, miała trzydzieści kilka lat i długie proste włosy, tak czarne, że wydawały

się niemal niebieskie. Poruszała się w taki sposób, jakby podłoga po jej stopami była miększa i gładsza niż pod moimi. Nosiła kremową bluzkę odstaniającą ramiona i czarną spódnicę. Wskazała mi miejsce, po czym okrążyła biurko i usiadła naprzeciw mnie. Kiedy Beatrice zadzwoniła do niej poprzedniego wieczoru, żeby mnie umówić, nie była zachwycona, ale jak wiedziałem z własnego doświadczenia, Beatrice umiała szybko przelać niechęć.

- To Beatrice powinna być matką Amandy. - Mai Nghiem pokiwała głową. - Święta kobieta.

- Podzielam pani zdanie.

- Nie chcę być nieuprzejma, ale muszę podczas tej rozmowy robić też inne rzeczy. - Patrząc w ekran komputera, stuknęła w kilka klawiszy.

- Nie szkodzi.

- Matka Amandy dzwoniła do nas i powiedziała, że córki nie będzie w szkole przez kilka tygodni, ponieważ wyjeżdża w odwiedziny do ojca.

- Nie miałem pojęcia, że zna swojego ojca.

Czarne oczy Mai Nghiem na moment oderwały się od ekranu. Uśmiechnęła się sprytnie.

- Nie zna. Helene jest jaka jest, ale jeśli rodzic nie dopuszcza się przemocy wobec dziecka, a my nie mamy stosownej dokumentacji, niewiele możemy zrobić, musimy przyjmować to, co nam mówią.

- Amanda mogła uciec?

Zastanowiła się, zanim odpowiedziała.

- Nie jest typem dziecka, które ucieka. Takie dzieci jak ona zdobywają nagrody, coraz więcej nagród i dostają stypendia na dobrych uczelniach. I kwitną.

- Więc ona tu kwitła.

- Na poziomie naukowym zdecydowanie tak.

- A na innych poziomach?

Powróciła wzrokiem do ekranu; wpisała parę zdań, używając tylko jednej ręki.

- Co pan potrzebuje wiedzieć?

- Wszystko. Cokolwiek.

- Nie rozumiem.
- Wygląda, że była praktyczną osobą.
- Bardzo.
- Myślącą racjonalnie?
- Wyjątkowo.
- Jakies hobby?
- Słucham?
- Hobby. Coś, co lubiła robić, poza racjonalnym myśleniem.

Kliknęła „enter” i wyprostowała się na krześle. Spojrzała w sufit, stukając końcem długopisu w blat biurka.

- Lubiała psy.
- Psy.
- Wszystkie, bez wyjątku. Była wolontariuszką w schronisku w East Cambridge. Wykazanie się działalnością społeczną jest niezbędne do uzyskania dyplomu.

- A co z presją, żeby się dopasować do otoczenia? Pochodzi z trudnego środowiska. Tutejsze dziewczyny jeżdżą lexusami tatusiów. Ona nie ma nawet tatusiowego biletu na autobus.

Dyrektorka zamyśliła się.

- Pamiętam, że w pierwszym roku nauki kilka dziewcząt jej dokuczało. Wytykały jej brak biżuterii, markowych ubrań.

- Nosiła się niemodnie?

- Proszę mnie źle nie zrozumieć, ubierała się odpowiednio. Tyle że metki na jej ubraniach to Gap albo Aeropostale, nie Nordstrom czy Barneys. Okulary słoneczne Polaroid, podczas gdy koleżanki z klasy preferowały Maui Jim i D&G. Amanda miała torbę Old Navy...

- A inne dziewczyny od Gucciego.

- Raczej Fendi lub Marc Jacobs, ewentualnie Juicy Couture. Gucci bardziej się podoba starszym - sprostowała z uśmiechem.

- Jestem tragicznie opóźniony, jeśli chodzi o modę.

- W tym rzecz - my możemy sobie żartować. Dla nas to głupstwa. Ale dla piętnasto- i szesnastoletnich dziewcząt?

- Sprawa życia i śmierci.

- Mniej więcej.

Pomyślałem o Gabby. Czy dla takiego świata ją wychowywałem?

- Ale potem te zaczepki ustały.
- Tak po prostu.

Znów przytaknęła skinieniem.

- Amanda należy do tych wyjątkowych dzieci, których naprawdę nie obchodzi, co kto o nich myśli. Czy się ją chwali, czy krytykuje, zawsze odpowiada tym samym nieprzeniknionym spojrzeniem. Może dziewczyny się zniechęciły, widząc, że wszystko po niej spływa jak woda po kaczce. - Rozległ się dzwonek; dyrektorka wyjrzała przez okno - właśnie przebiegała grupka nastoletnich dziewcząt.

- Wie pan, źle się wyraziłam na początku.
- To znaczy?

- Powiedziałam, że Amanda by nie uciekła, i wierzę, że fizycznie by tego nie zrobiła. Ale... cóż, ona właściwie jakby cały czas uciekała. Dlatego zaczęła u nas naukę. Dlatego miała celujące oceny. Z każdym dniem starała się zwiększyć dystans pomiędzy sobą i swoją matką. Wiedział pan, że Amanda sama postarała się, by ją przyjęto do tej szkoły?

Nie wiedziałem.

- Złożyła podanie, wypełniła formularze potrzebne do uzyskania pomocy finansowej. Ubiegała się nawet o rzadko przyznawane granty, o których mało kto wie. Zaczęła się przygotowywać już w siódmej klasie. Matka o niczym nie miała pojęcia.

- Tak mogłoby brzmieć epitafium Helene.

Na dźwięk tego imienia Mai Nghiem przewróciła oczami.

- Kiedy pierwszy raz spotkałam się z Amandą i jej matką, Helene była zła. Córka miała zacząć naukę w prestiżowym liceum, z pełnym stypendium socjalnym, a Helene rozejrzała się po moim gabinecie i stwierdziła, że jej zdaniem wystarczyłaby szkoła publiczna.

- Z pewnością ona sama jest wizytówką bostońskich szkół publicznych.

Mai Nghiem skwitowała uwagę uśmiechem.

- Stypendia socjalne wystarczą na pokrycie prawie wszystkich kosztów, jeśli się wie, jak się o te pieniądze postarać, a Amanda wiedziała. Pokrywała koszt nauki i podręczników, ale nie czesne. Amanda płaciła swoje co semestr gotówką. Pamiętam, że jednego roku czterdzieści dolarów było w bilonie - napiwki zarobione przez nią w sklepie z pączkami. W swojej karierze zawodowej spotkałam niewielu uczniów, którzy by dostawali mniej

od rodziców, a tak bardzo się starali, że nic ich nie mogło powstrzymać.

- A jednak coś ją zatrzymało.

- I to mnie martwi. Wybierała się na Harvard. Szła jak burza. Mogła też wybrać Yale. Lub Brown. Co pan sobie życzy. A teraz, jeśli szybko nie wróci i nie nadrobi braków z trzech tygodni, nie uzupełni zaległych prac i nie uzyska doskonałej średniej, jaką miała wcześniej, to dokąd pójdzie? - Znów pokręciła głową. - Ona nie uciekła.

- Cóż, nie wygląda to dobrze.

- Ponieważ musi pan zakładać, że została porwana. Po raz drugi.

- No właśnie. Po raz drugi.

W komputerze rozległ się dźwięk przychodzącego mejla. Dyrektorka przeczytała go, wykonując przy tym ledwie zauważalny ruch przeczenia, po czym znów spojrzała na mnie.

- Wychowałam się w Dorchester. Tuż przy Avenue. Między Savin Hill i Fields Corner.

- To niedaleko miejsca, gdzie ja się wychowałem.

- Wiem. - Stuknęła parę razy w klawisze. - Byłam na pierwszym roku w Mount Holyoke, kiedy pan ją znalazł pierwszy raz. Miałam bzika na punkcie tej sprawy. Co wieczór pędziłam do akademika, żeby zdążyć na wiadomości o szóstej. Wszyscy myśleliśmy, że ona nie żyje, tak było przez całą zimę i część wiosny.

- Pamiętam. Choć wolałbym nie pamiętać.

- A potem pan ją znalazł.. I przywiózł do domu.

- Co pani wtedy myślała?

- O tym, co pan zrobił?

- Tak.

- Że zrobił pan to, co należało.

- Och. - Omal nie uśmiechnąłem się z wdzięcznością.

Popatrzyła mi w oczy.

- Ale popełnił pan błąd.

Otworzywszy szafkę Amandy, zobaczyłem podręczniki ułożone od największego do najmniejszego, tak że grzbietami sięgały dokładnie brzegu półki. Na haczyku przymocowanym do drzwiczek wisiała bluza Red Sox, ciemnoniebieska z czerwonymi lamówkami i czerwoną dziewiętnastką na

plecach. Poza tym nic. Żadnych zdjęć przyklejonych do drzwi, żadnych dekoracyjnych nalepek, żadnych błyszczyków do ust ani bransoletek.

- Więc lubi psy i drużynę Red Sox.
- Dlaczego powiedział pan o Red Sox? - zdziwiła się Mai Nghiem.
- Na zdjęciu, które dostałem, ma na sobie kurtkę tej drużyny.
- Często ją widywałam w tej bluzie. Czasami chodziła w podkoszulku.

Kurtkę też widziałam. Jestem ich fanką, wie pan? Mogę rozprawiać aż do zadyszki o systemie szkolenia i o logice... albo braku logiki w ostatnich posunięciach Theo i tak dalej.

- Ja też - przyznałem się z uśmiechem.

- Ale Amanda? Nic z tych rzeczy. Parę razy próbowałam ją zagadywać, dopóki się nie zorientowałam, że nie potrafi wymienić zawodników pierwszej linii. Nie miała pojęcia, ile sezonów był w drużynie Wakefield.

- Czyli marny z niej kibic?

- Gorzej. Nosila te rzeczy wyłącznie ze względu na modę. Podobały jej się kolory. To wszystko.

- Poganka.

- Była świetną uczennicą - powiedziała Stephanie Tyler. - Naprawdę świetną. - Panna Tyler uczyła historii Europy na poziomie zaawansowanym. Wyglądała na mniej więcej dwadzieścia osiem lat. Platynowoblond włosy miała obcięte na pazia i uczesane tak, że ani jeden kosmyk nie śmiał się wyrwać z szeregu. Sprawiała wrażenie osoby przyzwyczajonej, by jej nadskakiwano. - Nigdy się nie odzywała, kiedy jej nie pytałam, i zawsze przychodziła na lekcje przygotowana. Nigdy jej nie przyłapałam na pisaniu SMS-ów ani graniu w gry wideo na BlackBerry, czy co tam miała.

- Miała BlackBerry?

Nie odpowiedziała od razu, musiała się zastanowić.

- Amanda nie. Teraz sobie przypominam, że miała zwykłą komórkę. Ale zdziwiłby się pan, ile dziewcząt ma kieszonkowe komputery. Nawet najmłodsze dziewczynki. Niektóre mają i komórki, i BlackBerry. Jeżdżą bmw i jaguarami. - Pochyliła się ku mnie.

- Dzisiejsze liceum to zupełnie nowy świat, nie uważa pan? - spytała konspiracyjnym szeptem.

Zachowałem obojętny wyraz twarzy. Nie byłem pewien, czy liceum aż tak bardzo się różniło od tego, jakie było kiedyś; tylko akcesoria się zmieniły.

- Zatem Amanda...

- Świetna - powtórzyła z przekonaniem panna Tyler. - Nie opuszczała lekcji, zawsze odpowiadała na pytania, zazwyczaj poprawnie, po lekcjach szła do domu i przygotowywała się na następny dzień. Nie można oczekiwać więcej.

- Miała jakieś przyjaciółki?

- Tylko Sophie.

- Sophie?

- Sophie Corliss. Jej ojciec jest miejscową sławą od fitness. Brian Corliss. Czasami udziela rad w wiadomościach na Kanale 5.

Pokręciłem głową.

- Oglądam tylko *The Daily Show*.

- To skąd pan wie, co się dzieje na świecie?

- Czytam o tym.

- No tak - powiedziała z nagłym błyskiem w oku. - Tak czy inaczej mnóstwo ludzi go tutaj zna.

- Jasne. A jego córka?

- Sophie. Ona i Amanda były jak bliźniaczki.

- Podobne z wyglądu?

Stephanie Tyler lekko przekrzywiła głowę.

- Nie, ale musiałam sobie przypominać, która jest która. Nie dziwne? Amanda to ta niższa i miała jaśniejszą karnację, Sophie wyższa o smagłej cerze, ale wciąż musiałam sobie przypominać różnice.

- Zaprzyjaźniły się.

- Od pierwszego dnia pierwszej klasy.

- Co je łączyło?

- Obie były buntowniczkami, choć w przypadku Sophie to bardziej sprawa mody niż natury. Chodzi o to, że... Amanda jest outsiderką, bo nie umie być nikim innym, przez co inne dzieciaki ją szanują. Natomiast Sophie chciała uchodzić za outsiderkę, ale to była...

- Tylko poza.

- Chyba tak.
- Więc inne dzieci szanowały Amandę.

Panna Tyler potwierdziła.

- A lubiły ją?
- Nie można powiedzieć, żeby jej nie lubiły.
- Ale...

- Myślę, że nikt tak naprawdę jej nie znał. Poza Sophie. W każdym razie nikt inny nie przychodzi mi do głowy. Ta dziewczyna jest jak wyspa.

- Wspaniała uczennica - ocenił Tom Dannał. Uczył makroekonomii, ale wyglądał na trenera futbolu. - Trafia się taka jedna na milion. Chcielibyśmy, żeby wszystkie nasze dzieciaki były takie. Grzeczne, skupione, bystre. Zawsze zachowywała się nienagannie, nie sprawiała najmniejszych kłopotów.

- Ciągłe to słyszę - powiedziałem. - Idealny dzieciak.
- Zgadza się. Ale to, kurna, chyba nie najważniejsze?
- Tommy - rzuciła karcąco Mai Nghiem.

- Nie, no naprawdę. - Podniósł dłoń. - Amanda, okay, miła dziewczyna. Ale znacie to powiedzenie, że ktoś jest, a jakby go nie było? O niej można tak powiedzieć. Uczyłem ją mikroekonomii w zeszłym roku i makroekonomii teraz, i w jednym, i w drugim roku była moją najlepszą uczennicą. I co? Nie potrafię powiedzieć o niej nic poza tym, jaką była uczennicą. Nic. Kiedy się jej zadawało osobiste pytanie, po prostu odbijała piłeczkę. Pytałem: „Jak leci?”, odpowiadała: „Dobrze. A u pana?”. Wydawało się, że zawsze jest w dobrej formie, zawsze zadowolona. Ale kiedy zająrzało się jej w oczy, miało się wrażenie, że jakby przyswaja sobie zachowanie. Obserwowała ludzi, próbowała naśladować czyjś sposób bycia, ale przez cały czas pozostawała z boku.

- Chce pan powiedzieć, że była wyobcowana.
- Uważam, że była jedną z najbardziej samotnych osób, jakie znałem.
- A jej przyjaciółka?
- Sophie? - Zaśmiał się bez wesołości. - Przyjaciółka to za duże słowo. Popatrzyłem na dyrektorkę Nghiem. Wzruszyła ramionami.

- Słyszałem od innej osoby z grona pedagogicznego, że Amanda i Sophie były nierozłączne.

- Nie przeczę. Powiedziałem tylko, że nie nazwałbym tego przyjaźnią. To raczej układ jak z filmu „Sublokatorka”.

- Kto grał rolę sublokatorki?

- Sophie - włączyła się do rozmowy Mai Nghiem. - Tak, teraz, kiedy Tom o tym wspomniał... Myślę, że Amanda nie zdawała sobie z tego sprawy, ale Sophie ją idealizowała.

- A im bardziej Amanda nie zwracała uwagi - wtrącił Dannel - tym wyżej Sophie wpychała ją na piedestał.

- No to chyba mam nowe pytanie za milion dolarów.

- Gdzie jest Sophie? - domyślił się Tom.

Spojrzałem pytająco na dyrektorkę Nghiem.

- Zrezygnowała ze szkoły.

- Kiedy? - Nie potrafiłem ukryć zaskoczenia.

- Na początku roku szkolnego.

- I nie sądzi pani, że może być jakiś związek?

- Pomiędzy tym, że Sophie Corliss postanowiła nie wracać na ostatni rok nauki, a tym, że Amanda McCready nie pokazała się w szkole od czasu Święta Dziękczynienia?

Rozejrzałem się po pustej klasie, próbując nie okazywać rozczarowania.

- Mógłbym jeszcze z kimś porozmawiać?

W świetlicy dla uczniów spotkałem się z siedmioma koleżankami z klasy Amandy i Sophie. Usiedliśmy z dyrektorką Mai Nghiem pośrodku pomieszczenia, a dziewczynki otoczyły nas półkolem.

- Amanda była po prostu... no wie pan - powiedziała Reilly Moore.

- Nie wiem.

Rozległy się chichoty.

- Jakby, no wie pan.

Wywracanie oczami. Znowu chichoty.

- A, ona była jakby wie pan. Teraz rozumiem.

Zaskoczone spojrzenia, żadnych chichotów.

- Kiedy się do niej mówiło - zaczęła Brooklyn Doone - ona jakby słuchała. Ale kiedy się chciało, żeby coś powiedziała, na przykład kto jej się

podoba albo jakie ma programy na swoim iPadzie, albo coś w tym rodzaju, to trzeba było długo czekać.

Dziewczyna obok niej, Coral czy Crystal, wyróciła oczami.

- Jakby wieki.

- Jakby całe wieki - poparła ją inna dziewczyna, po czym wszystkie pokiwaly głowami.

- A jej przyjaciółka, Sophie? - zapytałem.

- Ych!

- Ta niechlujna suka?

- Ta laska mogłaby się nazywać „chciałabym-kropka-com”.

- Kropka-org.

- No przecież mówię.

- Słyszałam, że ona jakby próbowała umieścić pana na liście swoich znajomych na Facebooku.

- Blee!

- No mówię.

Po narodzinach mojej córki zastanawiałem się nad kupnem strzelby, żeby odganiać potencjalnych zalotników w wieku od czternastu lat w górę. Teraz, słuchając paplaniny dziewczyn, wyobraziłem sobie Gabby mówiącą podobne głupoty tak samo koszmarnym językiem i znów pomyślałem o kupnie strzelby, żeby sobie palnąć w łeb.

Pięć tysięcy lat cywilizacji, mniej więcej, dwa tysiące trzysta lat od założenia biblioteki w Aleksandrii, ponad sto lat od wynalezienia samolotu, mamy cienkie jak wafel komputery, które dają dostęp do intelektualnych bogactw świata, a gdyby sądzić po dziewczynach w tym pokoju, jedynym postępem, jaki ludzkość uczyniła od czasu ookiełznania ognia, było nadanie słowu „jakby” nowych właściwości - mogło służyć jako czasownik, rzeczownik, przymiotnik, a w razie potrzeby nawet jako całe zdanie.

- Znaczy że nikt dobrze nie znał żadnej z nich? - dopytywałem.

Siedem par oczu bez wyrazu patrzyło na mnie w milczeniu.

- Rozumiem, że nie.

- Pamiętacie tego chłopaka? - Pierwsza odezwała się Brooklyn.

- Wyglądał trochę jak Joe Jonas.

- No, jakby. Niezły jest.

- Ten chłopak?

- Joe Jonas.
- Myślę, że wygląda, jakby trochę homo.
- Aha.
- Yhm.

Skupiłem się na dziewczynie, która podniosła temat.

- Ten chłopak był sympatią Amandy?

Brooklyn wzruszyła ramionami.

- Nie wiem.
- A co wiesz?

Moje pytanie ją wkurzyło. Prawdopodobnie słońce ją wkurzało, że świeci.

- Nie wiem. Tylko raz ją widziałam z jakimś chłopakiem w South Shore.
- W South Shore Plaza? W tym centrum handlowym?
- No tak - prychnęła, zirytowana moją dociekliwością.
- Byłaś w tym centrum i...
- Byłam z Tishą i Reilly. - Wskazała na dwie dziewczyny. - I wpadłyśmy na nich, wychodząc z Diesla. Ale nic nie kupili.
- Nic nie kupili - powtórzyłem.

Opuściła wzrok na swoje paznokcie, założyła nogę na nogę i westchnęła.

- Coś jeszcze? - rzuciłem w przestrzeń.

Nic. Nawet pustych spojrzeń. Wszystkie postanowiły skupić się na oglądaniu swoich paznokci, butów lub odbić w szybie okiennej.

- No to dziękuję wam. Byłyście bardzo pomocne.
- Spoko - powiedziały dwie z nich.

Na schodach wejściowych wymieniłem wizytówkę z dyrektorką Mai Nghiem i uścisnąłem jej drobną, delikatną dłoń.

- Dziękuję. Bardzo mi pani pomogła.
- Mam nadzieję. Powodzenia.

Ruszyłem w dół po schodach.

- Panie Kenzie.

Obejrzałem się, przystając. Wyszło słońce, ostre i mocne. Zmieniło śnieg, spadły ostatniej nocy, w strumyk, który gulgotał w rynsztoku, płynąc w stronę kratki ściekowej.

Mai Nghiem ostoniła oczy.

- Wie pan, te niezdane egzaminy... Nieoddanie prace. Jeśli sprowadzi pan ją tu szybko, znajdziemy jakiś sposób, żeby mogła wszystko nadrobić i nie psuć sobie wyników potrzebnych na studia. Dostanie stypendium w dobrej uczelni, obiecuję.

- Muszę ją tylko szybko znaleźć. Pokiwała głową.
- Znajdę ją szybko.
- Wiem.

Jeszcze raz kiwnęła głową. Oboje zdawaliśmy sobie sprawę z powagi sytuacji, ale wyczuwałem w tej wymianie zdań coś jeszcze, coś ciepłego i trochę smutnego, nad czym lepiej się nie zastanawiać.

Odwróciła się i weszła do szkoły; ciężkie zielone drzwi zamknęły się za nią. Przeszedłem kawałek ulicą do miejsca, gdzie zostawiłem jeepa. Kiedy nacisnąłem na pilota, żeby otworzyć drzwi, zza samochodu wyłoniła się dziewczyna.

Była jedną z tych siedmiu, które dopiero co przepytywałem. Miała ciemne, podkrążone oczy, długie ciemne włosy i cerę białą jak styropian. Była jedną z tych siedmiu, która nic nie powiedziała.

- Co pan zrobi, jeśli ją pan znajdzie?
- Przywiozę ją do domu.
- Do jakiego domu?
- Nie może tułać się gdzieś tam, w dodatku sama.
- Może nie jest sama. Może „gdzieś tam” nie jest tak źle.
- Czasami bywa bardzo źle.
- Widział pan, gdzie ona mieszka? - Zapaliła papierosa.

Pokręciłem głową.

- No to niech pan tam kiedyś wpadnie. I na początek sprawdzi mikrofalówkę.

- Mikrofalówkę.
- Mi-kro-fa-lów-kę - powtórzyła, wydmuchując kółka dymu.

Zajrzałem w jej ciemne oczy, obwiedzione jeszcze ciemniejszym cieniem.

- Amanda nie sprawiła na mnie wrażenia dziewczyny, która zaprasza koleżanki do domu.

- Nie mówiłam, że to Amanda zaprosiła mnie do siebie.

Potrzebowałem paru sekund, żeby zrozumieć.

- Poszłaś tam z Sophie?

Dziewczyna nie odpowiedziała, zagryzła tylko kącik górnej wargi.

- Okay. Sophie tam jest?
- Może być.
- A Amanda... gdzie jest?
- Naprawdę nie wiem. Przysięgam.
- Dlaczego ze mną rozmawiasz, jeśli nie chcesz, żebym ją znalazł?

Skrzyżowała ramiona, tak że lewą dłonią obejmowała prawy łokieć. Kiedy znów podniosła papierosa do ust, zauważyłem na wewnętrznej stronie ramienia różowe blizny, równo oddalone od siebie jak podkłady kolejowe.

- Słyszałam pewną historię o Amandzie i Sophie. Słyszałam, że pięć osób weszło do pokoju podczas Święta Dziękczynienia. Chwyta pan?

- Chyba nadążam.

- Dwie osoby w tym pokoju umarły. Ale wyszły z powrotem cztery. Zaśmiałem się z niedowierzaniem.

- Co jeszcze popalasz poza papierosami?
- Niech pan pamięta, co powiedziałam.
- Nie da się jeszcze bardziej tajemniczo?

Wzruszyła ramionami zaciskając zęby na paznokciu.

- Muszę iść.

Kiedy mnie mijała, spytałem:

- Dlaczego ze mną rozmawiasz?

- Bo Zippo był moim przyjacielem. A w zeszłym roku... Był więcej niż przyjacielem. Był moim pierwszym więcej niż przyjacielem.

- Kim jest Zippo?

Maska chłodnej apatii nagle spadła; miałem wrażenie, że stoi przede mną dziewięciolatka. Dziewięciolatka porzucona przez rodziców w centrum handlowym.

- Mówi pan poważnie?

- Owszem.

- Chryste... - Głos jej się załamał. - Pan nic nie wie.

- Kim jest Zippo? - powtórzyłem pytanie.

- Już po dzwonku. - Rzuciła niedopałek na ulicę. - Muszę iść kontynuować edukację. Bezpiecznej jazdy.

Oddaliła się w stronę szkoły. Stopiony śnieg dalej gulgotał w rowku wzdłuż chodnika, a niebo poszarzało. Kiedy zniknęła za tymi samymi drzwiami; co wcześniej dyrektor Nghiem, uświadomiłem sobie, że nie znam jej imienia.

Wsiadłem do jeepa i znów przejechałem przez rzekę.

Rozdział 11

Kiedy spędzałem rano na przepytywaniu irytujących nastolatek, przyjaciółka Angie, PR, zgodziła się popilnować Gabby przez kilka popołudni. Żona mogła więc dołączyć do mnie w pracy nad sprawą, po raz pierwszy od niemal pięciu lat. Jechaliśmy na północ, żeby się spotkać z ojcem Sophie.

Brian Corliss mieszkał w Reading przy ulicy wysadzonej klonami, z szerokimi białymi chodnikami i trawnikami, które wyglądały jakby je strzyżono dwa razy dziennie. Ta część miasta należała do solidnej klasy średniej, może nawet aspirującej do wyższej, ale bez przesady. W garażach mieściły się dwa samochody, nie cztery, i były to audi i terenowe toyoty, a nie lexusy czy bmw 740s. Na dobrze utrzymanych domach połyskiwały bożonarodzeniowe światełka i dekoracje. Najwięcej na domu Corlissa, białym, w stylu kolonialnym, z czarnymi okiennicami, obramieniami okien i drzwiami wejściowymi. Sznury białych lampek zwisały z rynien, kolumn werandy i poręczy. Nad drzwiami garażu wisiał wieniec ogromny jak słońce. Na tle krzewów na frontowym trawniku stała replika stajenki, a wokół niej figury trzech króli, Marii i Józefa oraz cała menażeria otaczająca pustą żłób. Na prawo od stajenki znajdowała się inna gromada postaci, trochę niespójna w charakterze, bałwany, elfy, renifery, święty Mikołaj z małżonką oraz złośliwie uśmiechnięty Grinch. Na dachu koło komina stały sanie ze światełkami ułożonymi w napis: „Wesołych Świąt”. Słupek pod skrzynką na listy wyglądał jak pasiasta cukrowa laseczka, jakie się wiesza na choince.

Kiedy wjechaliśmy na podjazd, Brian w garażu wypakowywał zakupy z bagażnika swojego SUV-a Infiniti. Powitał nas machnięciem ręki i uśmiechem szerokim jak preria. Był szczupłym mężczyzną ubranym w rozpiętą koszulę na białym podkoszulku upchniętym w nienagannie wyprasowane

spodnie khaki. Jego kurtka safari miała kolor bordo i kołnierz z czarnej skóry. Jak na swoje czterdzieści kilka lat zachował doskonałą formę, co nie dziwiło, ponieważ przez ostatnie dziesięć lat zarabiał na życie najpierw jako trener fitness, potem jako fitness guru. Podróżował po Nowej Anglii i przekonywał małe firmy, że mogą podnieść swoją produktywność, nakłaniając pracowników do poprawienia kondycji fizycznej. Napisał nawet książkę, „Zrzuc tłuszcz i całą resztę”, która przez parę tygodni była lokalnym bestsellerem, a pobieżna lektura stron internetowych Corlissa oraz autobiografii pozwalała odnieść wrażenie, że jeszcze nie osiągnął szczytu kariery. Przywitał się z nami przez podanie ręki, nie przesadzając z siłą uścisku, co się zdarza maniakom ćwiczeń siłowych, podziękował nam za przybycie i przeprosił, że nie mógł się z nami spotkać w połowie drogi.

- Korki, sami wiecie. Po drugiej lepiej się nigdzie nie wybierać.

Ale kiedy wspomniałem o tym Donnie, tylko zapytała: „A czy detektywi nie będą musieli wracać w tych samych korkach?”.

- Donna to pańska żona?

Przytaknął skinieniem głowy.

- Miała rację. Dlatego czuję się winny.

- Ale my się panu narzucamy.

Machnął ręką.

- Jeśli możecie pomóc odnaleźć moją córkę, to z całą pewnością się nie narzucacie.

Miał sześć toreb z zakupami; sięgnąłem po dwie. Angie też wzięła dwie.

- O, nie, sam wniosę.

- Niechże pan da spokój - powiedziała Angie. - Przynajmniej tyle możemy zrobić.

- Jezu. - Westchnął. - Uprzejmie z waszej strony. Dzięki.

Kiedy zamknął klapę bagażnika swojego infiniti, ze zdumieniem ujrzałem na tylnej szybie idiotyczną naklejkę „9/11 POZWOLENIE NA POLOWANIE NA TERRORYSTÓW”. Zapewne powinienem się czuć bezpieczniej, wiedząc, że gdyby bin Laden wpadł pożyczyc filizankę cukru, Brian Corliss jest gotów go zgładzić dla dobra Ameryki, ale najbardziej złościło mnie, że producenci jakichś głównianych nalepek wykorzystują

tych, którzy zginęli jedenastego września. Zanim zdążyłem sobie narobić kłopotów nieprzemyślaną wypowiedzią, podążaliśmy za Brianem Corlissem ścieżką do czarnych drzwi, przez które weszliśmy do jego dwustuletniego domu.

Stojąc przy granitowej ladzie kuchennej, czekaliśmy, aż wypakuje zakupy do lodówki i szafek. Parter był gruntownie odnawiany niedawno, czuło się jeszcze zapach trocin. Miałem wątpliwości, czy dwieście lat temu budowniczy domu widziałby potrzebę obniżenia podłogi w salonie, wytłaczania miedzianego sufitu w jadalni czy wbudowania lodówki w kuchni. Wszystkie okna były nowe, w jednakowym beżowym kolorze. Mimo wszystko dom robił wrażenie źle urządzonego. Salon cały w bieli - biała sofa, białe dywany, biały gzyms nad kominkiem i nawet białe polana w metalowym koszu o barwie kości słoniowej. Nad tym wszystkim górowała wielka biała choinka ustawiona w kącie. Kuchnia była ciemna - wiśniowe szafki, ciemne granitowe blaty i czarna granitowa ściana nad blatami. Wbudowana lodówka i okap nad kuchenką też czarne. W jadalni królowały nowoczesne duńskie meble - prosty, jasny stół o ostrych krawędziach, otoczony kanciastymi krzesłami o wysokich oparciach. Chyba dom urządzano, korzystając ze zbyt wielu katalogów.

Na gzymsie kominka, na kredensie i na lodówce stały fotografie Briana Corlissa, jasnowłosej kobiety i jasnowłosego chłopca. Wykonane z nich kolaże wisiały na ścianach. Można było prześledzić rozwój chłopca od urodzenia do mniej więcej czwartego roku życia. Blondynka na zdjęciach to zapewne Donna. Była atrakcyjna, tak jak atrakcyjne mogą być hostessy z barów sportowych i przedstawicielki firm farmaceutycznych - gęste włosy w kolorze rumu, zęby białe jak słońce na Bermudach. Wyglądała na kobietę, która odbywa codzienne konsultacje ze swoim chirurgiem plastycznym. Biust wyeksponowany na większości zdjęć przypominał idealnie okrągłe piłki do softballu. Czoło miała nieskazitelnie gładkie, jak ktoś, kogo niedawno zabalsamowano, a uśmiech jak osoba poddawana elektrowstrząsom. Na paru fotografiach - ale tylko paru - stała ciemnowłosa dziewczynka o niespokojnych oczach i mięsistym podbródku. Sophie.

- Kiedy ją pan widział ostatni raz? - spytałem.
- Kilka miesięcy temu.

Angie i ja spojrzeliśmy na niego.

Uniósł dłonie w geście obrony.

- Wiem, wiem. Ale były okoliczności... - Skrzywił się, a potem uśmiechnął. - Zgódźmy się, że niełatwo być rodzicem. Ma pan dzieci?

- Jedno. Córkę.

- W jakim wieku?

- Cztery lata.

- Małe dziecko, mały kłopot. Duże dziecko, duży kłopot. - Popatrzył na Angie. - A pani?

- Jesteśmy małżeństwem. - Wskazała na mnie ruchem głowy. - Mamy tę samą czterolatkę.

Sprawiał wrażenie zadowolonego. Uśmiechał się pod nosem, a nawet coś nucił, wkładając do lodówki dwanaście jajek i pół galona chudego mleka.

- Była takim szczęśliwym dzieckiem. - Skończył opróżniać torbę i złożył ją starannie przed schowaniem do szafki. - Radość każdego dnia. Przyznaję, że nie byłem przygotowany na dzień, w którym zmieniła się w Sul-len Sally.

- A co ją zmieniło w... tę postać? - Angie obserwowała go bacznie.

Na moment znieruchomiał, wpatrzony w bakłażana, którego wyjął z drugiej torby.

- Jej matka. Niech jej Bóg odpuści. Ale tak, ona... - Oderwał wzrok od warzywa, jakby zdziwiony naszą obecnością. - Odeszła.

- W jakim wieku była Sophie, kiedy odeszła?

- Ona odeszła z Sophie.

- Więc odeszła od pana. Nie odeszła od Sophie. - Angie posłała mi szybkie spojrzenie. - Trochę się pogubiłam, Brianie.

Odłożył bakłażan do szuflady na jarzyny w lodówce.

- Odzyskałem prawo do opieki, kiedy Sophie miała dziesięć lat. Ona... Trudno mi o tym mówić... Matka Sophie popadła w uzależnienie od leków. Najpierw od Vicodinu, potem był OxyContin. Przestała się zachowywać jak odpowiedzialna dorosła osoba. A potem mnie zostawiła i zamieszkała z kimś innym. Stworzyła zupełnie nieodpowiednie środowisko dla dziecka, proszę mi wierzyć. - Patrzył na nas, jakby czekał na znak, że się z nim zgadzamy.

Otrzymał ode mnie najbardziej empatyczne skinienie, na jakie było mnie stać, oraz współczujące spojrzenie.

- Dlatego wystąpiłem do sądu o przyznanie mi prawa do opieki. I wygrałem.

- Ile lat Sophie była z matką, zanim to nastąpiło? - dociekała Angie.

- Trzy.

- Trzy...

- Matka Sophie przez cały ten czas brała środki przeciwbólowe? - spytałem.

- Pod koniec. To znaczy przestała brać, tak przynajmniej twierdziła. Na całe trzy lata.

- W takim razie co tworzyło niebezpieczne środowisko?

Uśmiechnął się ciepło.

- Nic, o czym chciałbym w tej chwili rozmawiać.

- W porządku.

- Zatem przywiózł pan tu Sophie, kiedy miała dziesięć lat?

Przytaknął.

- Z początku było trochę dziwnie, bo nie uczestniczyłem na stałe w jej życiu przez sześć lat, ale potem, muszę wam powiedzieć, że doszliśmy z tym do ładu. Złapaliśmy rytm. Naprawdę.

- Sześć lat. - Angie zamyśliła się. - Chyba mówił pan o trzech.

- Nie, nie. Jej matka i ja zdecydowaliśmy się na separację, kiedy Sophie skończyła siedem lat, i od tamtego momentu musiałem przez trzy lata walczyć o prawo do opieki, ale te sześć lat, o których mówię, to pierwsze sześć lat jej życia. Większość tego czasu spędziłem za granicą. A Sophie i jej matka mieszkały tutaj.

- Więc tak naprawdę nie było pana przy córce przez całe jej życie. - Ton Angie nie bardzo mi się podobał.

- Co? - Szczerze oblicze Corlissa pociemniało.

- Za granicą? - włączyłem się. - Jak z misją wojskową?

- Zgadza się...

- A co pan tam robił?

- Chroniłem ten kraj.

- Bez wątplenia. Dziękuję. Szczerze. Dzięki. Chciałbym tylko wiedzieć, gdzie pan służył.

Zamknął lodówkę, po czym poskładał i schował resztę toreb. Posłał mi ten swój ciepły uśmiech.

- Żeby pan mógł po swojemu ocenić skalę moich zasług?
- Absolutnie nie. To tylko pytanie.

Po kilku sekundach niezręcznej ciszy podniósł ręce, uśmiechając się jeszcze szerzej.

- Oczywiście, oczywiście. Przepraszam. Pracowałem jako inżynier budowlany Bechtela w Dubaju.

- Zdawało mi się, że wspomniał pan nam o wojsku? - wtrąciła Angie z udawaną obojętnością.

- Nie. - Wpatrywał się w jakiś nieokreślony punkt. - Zgodziłem się z określeniem użytym przez pani partnera, kiedy powiedział „jak z misją wojskową”. W Emiratach, kiedy się pracuje dla rządu zaprzyjaźnionego z naszym, można się czuć jak na misji wojskowej. Jest się celem każdego uprawiającego dżihad muzułmanina, który tylko czyha, żeby cię rozzerwać na kawałki, bo w jego chorym pojęciu uosabiasz całe zło znieawidzonego Zachodu. Nie chciałem, żeby moja córka wychowywała się w czymś takim.

- Więc dlaczego podjął pan tę pracę?

- Powiem pani, Angelo. Zadawałem sobie to pytanie tysiąc razy i odpowiedź nie przynosi mi chluby. - Wzruszył ramionami z wdziękiem skruszonego dziecka. - Zarobki były zbyt dobre, żeby się oprzeć. To był powód, przyznaję się. I do tego brak podatków. Wiedziałem, że jeśli będę pracował w pocie czoła przez pięć lat, przywiozę pokazną sumę, którą będę mógł wykorzystać dla rodziny, inwestując we własną firmę fitness.

- Co, oczywiście, pan zrobił - dopowiedziałem. - Z niezłym skutkiem. - Dzisiaj byłem dobrym gliną. Może nawet gliną-lizusem. Cel uświęca środki.

Patrzył znad swojego kuchennego blatu na salon, niczym współczesny Aleksander Wielki, któremu nie zostało już nic do podbicia.

- No tak, choć myśl, że mogłbym być z rodziną, podczas gdy dzieliło nas blisko dziewięć tysięcy kilometrów, wcale nie należała do przyjemnych. Ponoszę winę za to, co się stało. Naprawdę tak czuję. Ale kiedy wróciłem, żona była uzależniona od leków i wyznawała poglądy, które wydały mi się...

- Rozłożył ręce. - Odpychające. Dużo się kłóciliśmy. Nie potrafiłem uświadomić Cheryl, jak destrukcyjnie działa na Sophie. Im bardziej się starałem, by przejrzała na oczy, tym bardziej ona się wypierała. Któregoś dnia wróciłem do pustego domu. - Wzruszył ramionami. - Przez następne trzy lata walczyłem o swoje ojcowskie prawa i w końcu wygrałem. Wygrałem.

- Został pan jedynym opiekunem?

Zaprowadził nas do części salonu z obniżoną podłogą. Ja i Brian usiedliśmy na kanapie, Angie na mniejszej sofie naprzeciw nas. Na stoliku pomiędzy nami stało białe miedziane wiaderko wypełnione butelkami z wodą. Zachęceni przez Briana wzięliśmy z Angie po jednej butelce. Na etykiecie znajdowała się reklama książki Briana o odchudzaniu.

- Po śmieci Cheryl tak.

- Aha - mruknęła Angie. Oczy miała większe niż zwykle i wyraźnie starała się ukryć rozczarowanie. - Więc pańska żona umarła. I wtedy pan... wygrał prawo do opieki?

- Właśnie. Miała raka żołądka. Jestem pewny, że to przez uzależnienie od leków. Nie można maltretować swojego ciała w taki sposób i oczekiwać, że wciąż będzie się regenerować.

- Zatem przyznano panu wyłączną opiekę. - Angie pokiwała głową.

Przytaknął.

- Dzięki Bogu mieszkaliśmy w New Hampshire. A gdybyśmy byli w Vermoncie albo tutaj? Prawdopodobnie musiałbym walczyć przez następne trzy lata.

Angie popatrzyła na mnie. Posłałem jej najbardziej nieprzeniknione spojrzenie z mojego repertuaru, zarezerwowane dla sytuacji, gdy włos mi się jeżył na karku.

- Brianie, proszę mi wybaczyć, jeśli zbyt pochopnie wyciągam wnioski - powiedziała Angie - ale czy mówimy o małżeństwie osób jednej płci?

- Nie o małżeństwie. - Położył palce na stoliku i naciskał tak, że ciało przybrało jaskraworóżowy kolor. - Nie małżeństwo. Nie w New Hampshire. Ale zgadza się, związek o takim charakterze istniał na oczach mojej córki. Gdyby im pozwolono się pobrać, kto wie, jak długo by trwała walka o prawo do opieki?

- Dlaczego? - spytałem.

- Słucham?

- Czy partnerka pańskiej żony... - zaczęła Angie.

- Elaine. Elaine Murrow - przerwał jej Brian. -

Elaine, dziękuję. Czy Elaine adoptowała Sophie?

- Nie.

- Czy w ogóle podejmowała w tym celu jakieś kroki?

- Nie. Ale gdyby znalazły, powiedzmy, nadgorliwego sędziego aktywi-
stę? O to tutaj nietrudno. Kto wie, czy by nie wykorzystał mojej sprawy do
obalenia całej teorii na temat praw biologicznych rodziców?

Angie znów na mnie spojrzała.

- To chyba trochę naciągane, Brianie.

- Czyżby? - Odkręcił kapsel ze swojej butelki. Pociągnął długi łyk. -
Nie dla mnie. Ja to przeżyłem.

- Zgoda - powiedziałem. - Więc kiedy Sophie zamieszkała z panem i
wylizaliście rany, dobrze wam się układało?

- Tak. - Postawił butelkę z wodą na stoliku i przez moment twarz mu
promieniała, rozjaśniona jakimś odległym wspomnieniem. - Tak. Przez
jakieś trzy lata żyło się nam bardzo dobrze. Oczywiście bywały gorsze
momenty związane z odejściem matki i wyprawdawką z New Hampshire,
ale tak ogólnie? Było w porządku. Nie sprawiała kłopotów, codziennie rano
ścieliła łóżko, polubiła Donnę, świetnie się uczyła.

Uśmiechnąłem się, wyczuwając ciepło jego wspomnień.

- A o czym rozmawialiście?

- Rozmawialiśmy?

- No tak. Wie pan, ja i moja córka lubimy aparaty fotograficzne. Ja
mam czarną lustrzanekę, a ona różową dziecięcą cyfrówkę i...

- My lubiliśmy robić różne rzeczy razem - przerwał mi, zmieniając po-
zycję na kanapie. - Namówiłem ją, żeby biegła albo ćwiczyła jogę i pilates
z Donną, to lepiej się zżyją. Przychodziła do centrum fitness, które prowa-
dzą w Woburn. Tego, od którego zaczęła się moja kariera. Stamtąd nada-
jemy nasze programy w niedzielę rano i odpowiadamy na listy. Świetnie
się spisywała, pomagając mi w tym. Naprawdę świetnie.

- A potem?

- Wojna. Pewnego dnia przestało się układać, nie wiadomo z jakiego
powodu. Ja mówiłem czarne, a ona białe. Podawałem kurczaka na obiad, a
ona nagle oświadczała, że została weganą. Niechętnie wykonywała swoje
obowiązki albo w ogóle je lekceważyła. A kiedy urodził się BJ, wszystko
już wymknęło się spod kontroli.

- BJ?

Wskazał małego chłopca na zdjęciach.

- Brian Junior.
- Aha. BJ.

Odwrócił się do mnie, zaciskając palce na kolanach.

- Nie jestem typem nadzorcy. W tym domu panuje tylko kilka zasad, ale są nienaruszalne. Rozumie pan?

- Oczywiście. Kiedy ma się dziecko, trzeba też mieć zasady.

- Więc tak. - Zaczął wyliczać na rozpostartych palcach. - Żadnych wulgaryzmów, żadnego palenia, żadnych chłopców w domu pod moją nieobecność, żadnych narkotyków, alkoholu i buszowania w Internecie. Muszę wiedzieć, co robisz.

- Całkiem rozsądnie - pochwaliłem.

- Ponadto żadnych ciemnych szminek, żadnych czarnych pończoch z wzorkiem, żadnych znajomych z tatuażami czy kolczykiem w nosie, żadnego śmieciowego jedzenia, produktów wysoko przetworzonych i napojów gazowanych.

- O... - wydukałem ze zdumieniem.

- Racja - powiedział, jakbym go entuzjastycznie poparł. Pochylił się ku mnie jeszcze bardziej. - Od śmieciowego jedzenia miała trądzik. Mówiłem jej to, ale nie chciała słuchać. A przez cukier była nadaktywna i nie mogła się skupić w szkole. Dlatego jej oceny poszły w dół, natomiast waga w górę. Stanowiła fatalny przykład dla BJ.

- Czy on nie ma dopiero... trzech lat? - spytała Angie.

Przytaknął energicznie.

- Trzy lata to wiek dużej podatności na wpływy. Nie sądzi pani, że to się wcześniej zaczyna? Mam na myśli narodową plagę otyłości? Poza tym zastanówmy się nad kryzysem narodowej edukacji. Angelo, to wszystko się ze sobą łączy. Sophie, pobłażająca sobie we wszystkim, skłonna do ciągłych wybuchów złości, dawała naszemu synowi zły przykład.

- Weszła w okres dojrzewania - przypomniała mu Angie. - I chodziła do gimnazjum. Dość dużo jak na dziewczęcą głowę.

- Brałem to pod uwagę. Ale badania wykazały, że nasza pobłażliwość dla dorastającej młodzieży psuje ją i wpływa na wzrost liczby aresztowań w późniejszym wieku.

- Wciąż nie mogę uwierzyć, że zrezygnowali z tego programu. Był genialny.

- Co?

- Proszę wybaczyć - mruknąłem. - Myślałem o czymś innym.

Angie pewnie by mnie zastrzeliła, gdyby jej się udało pozbyć świadków.

- Proszę mówić dalej - zachęciłem.

- Owszem, Sophie przechodziła okres dojrzewania, brałem to pod uwagę. Naprawdę. Ale to nie zwalnia od przestrzegania zasad. Tak? A ona nie chciała ich przestrzegać. Wreszcie postawiłem sprawę ostro: zrzuć pięć kilo w ciągu czterdziestu dni albo wynoś się z domu.

Coś pod nami stęknęło, coś mechanicznego, a potem usłyszeliśmy szum powietrza wydmuchiwanego zza listew przypodłogowych.

- Przepraszam, ale nie do końca rozumiem. - Angie zmarszczyła brwi. - Postawił pan córce warunek, że będzie mogła dalej tu mieszkać i jeść, tylko jeśli przejdzie na dietę?

- To nie takie proste.

- Zatem nie dostrzegłam sedna sprawy? A więc w czym rzecz, Brianie?

- Nie chodziło o to, czy pozbawię jej pewnych rzeczy...

- Jedzenia i dachu nad głową - sprecyzowałem.

- Tak. Nie chodziło o to, że ją pozbawię tych rzeczy, jeśli nie przejdzie na dietę. Ja tylko groziłem, że ją pozbawię tych rzeczy, jeśli nie odzyska szacunku do samej siebie i nie zacznie żyć tak, jak tego oczekujemy. Chodziło o to, by zrobić z niej silną, dumną Amerykankę, z trwałym systemem wartości i autentyczną pewnością siebie.

- Ile pewności siebie można zyskać, żyjąc na ulicy? - Angie pokręciła głową.

- Cóż, nie sądziłem, że do tego dojdzie. Jak widać się myliłem.

Angie spojrzała w stronę kuchni, potem hallu. Zamrugła kilka razy. Poprawiła na ramieniu pasek torebki i podniosła się z sofy. Uśmiechnęła się do mnie bezradnie, zaciśniętymi ustami.

- Nie mogę. Po prostu nie mogę już tu siedzieć. - Z trudem nad sobą panowała. - Wyjdę na zewnątrz i poczekam na ciebie przed domem. Dobrze?

- W porządku.

Wyciągnęła rękę do zdezorientowanego Corlissa.

- Miło było pana poznać, Brianie. Jeśli zobaczy pan smużkę dymu za

oknem, proszę nie wzywać straży pożarnej. Będę palić papierosa na podjeździe.

Wyszła. Odprowadziliśmy ją wzrokiem. Ogrzewanie syczało, rozpruwając ciepło po domu.

- Ona pali? - zdziwił się Brian.

Potwierdziłem skinieniem.

- Lubi też cheeseburgery i colę.

- I wygląda tak, jak wygląda?

- Niby jak, człowieku?

- Tak dobrze? Musi mieć trzydziestkę ze sporym okładem?

- Ma czterdzieści dwa. - Nie zaprzeczę, wyraz osłupienia na jego twarzy sprawił mi przyjemność.

- Miała jakieś operacje?

- Boże, nie! To kwestia genów i wielkich zasobów energii. Jeździ też dużo na rowerze, ale nie jest fanatyczką.

- Chce pan przez to powiedzieć, że ja jestem fanatykiem.

- Broń Boże. To pańska praca i pański wybór stylu życia. I bardzo dobrze. Mam nadzieję, że dożyje pan stu pięćdziesięciu lat. Zauważyłem tylko, że czasami ludzie myślą styl życia z moralnością.

Przez chwilę obaj milczeliśmy, popijając wodę.

- Wciąż myślę, że ona wróci - powiedział cicho Corliss.

- Sophie.

Patrzył na swoje dłonie.

- Po paru latach jej wybryków, kiedy próbowaliśmy wychowywać niemowlaka, pomyślałem, że może warto wrócić do starych dobrych zwyczajów. Dawniej dzieci nie miały zaburzeń trawienia, nie miały ADHD, nie pyskowały i nie słuchały muzyki gloryfikującej seks.

Skrzywiłem się mimowolnie.

- Nie sądzę, żeby tak było, człowieku. Niech pan posłucha *Wake up, Little Susie* albo *Hound Dog* i powie mi, o czym oni śpiewają. ADHD, zaburzenia trawienia? Pamięta pan ósmą klasę? To, że tych rzeczy nie leczono, nie znaczy, że ich nie było.

- No dobrze. A kultura? Nie miał pan tych wszystkich czasopism i reality show w telewizji, propagujących głupotę i tchórzostwo. Nie miał pan pornografii w sieci i natfoku informacji - pozbawionej jakiegokolwiek

szerszego kontekstu - na każdy, nawet najbzdurniejszy temat. Nie wciskano panu, że nie tylko może pan zostać gwiazdą czegoś tam, ale wręcz ma pan do tego prawo. Nieważne, że nawet pan nie wie-, co by to miało być, odłóżmy na bok, że nie ma pan żadnego talentu. Co z tego? Zasluguje pan na wszystko. Popatrzył na mnie, nagle jakby zagubiony. - Ma pan córkę? No to coś panu powiem: nie możemy konkurować z tamtym.

- Z tamtym?

Wskazał za okno.

- Ze światem zewnętrznym.

Podążyłem wzrokiem za jego ręką. Miałem ochotę mu przypomnieć, że to nie świat zewnętrzny wyrzucił jego córkę z domu, tylko zrobił to jak najbardziej ich wewnętrzny świat. Jednak nic nie powiedziałem.

- Po prostu nie możemy. - Westchnął ciężko i wygiął się na kanapie, sięgając po portfel. Pogrzebał w środku i wręczył mi wizytówkę.

ANDRE STILES
OPIEKUN SPOŁECZNY
WYDZIAŁ DZIECI I RODZIN

- Opiekun Sophie. Pracował z nią do niedawna, dopóki nie skończyła siedemnastu lat. Nie jestem pewien, czy nadal się z nim spotyka, ale chyba warto sprawdzić.

- Jak pan sądzi, gdzie ona może być?

- Nie wiem.

- A gdyby pan koniecznie musiał zgadywać?

Zamyślił się, chowając portfel do kieszeni.

- Tam gdzie zawsze. Z tą swoją przyjaciółką, tą, której pan szuka.

- Amandą.

Pokiwał głową.

- Z początku myślałem, że ma pozytywny wpływ na Sophie, ale potem dowiedziałem się więcej o środowisku, z jakiego pochodzi. O menelskim środowisku.

- Tak, rzeczywiście.

- Nie lubię meneli. Nie ma dla nich miejsca w porządnym życiu.

Rozejrzałem się po jego białym salonie z białą choinką.

- Zna pan kogoś o imieniu Zippo?

Zamrugał.

- Sophie wciąż się z nim spotyka? - Nie krył zdziwienia.

- Nie wiem. Po prostu składam dane, próbując je ułożyć w logiczną całość.

- To część pańskiej pracy, co?

- Na tym polega moja praca.

- Zippo, zapalniczka to ksywka, naprawdę nazywa się James Lighter. - Uniósł rękę odwróconą wnętrzem dłoni ku górze. - Stąd przezwisko. Nie wiem o nim nic prócz tego, że gdy go widziałem, tylko raz, cuchnął marihuaną i wyglądał jak śmieć. Wypisz, wymaluj typ, jakiego miałem nadzieję nigdy nie ujrzeć u boku córki - wszędzie tatuaże, opadające spodnie z wystającymi bokserkami, kolczyki w brwiach, kosmyk zarostu pomiędzy dolną wargą a podbródkiem. - Twarz jakby mu się skurczyła. - Zupełnie nieodpowiednie towarzystwo dla Sophie.

- Wie pan o jakimś miejscu, gdzie pańska córka z Amandą i może nawet Zippo mogliby przebywać? O jakichkolwiek miejscach, o których ja nie wiem?

Zastanawiał się długo, zdążyliśmy do końca opróżnić butelki.

- Nie. Naprawdę nie wiem - odparł.

Otworzyłem notepad, znalazłem stronę zapisaną wcześniej tego dnia.

- Jedna z koleżanek szkolnych Amandy i Sophie powiedziała mi, że Sophie i cztery inne osoby weszły do pewnego pokoju. Dwie osoby zmarły w tym pokoju, ale...

- O mój Boże.

- ...cztery osoby wyszły z powrotem. Czy to ma dla pana jakiś sens?

- Co? Nie. Jakiś bełkot. - Wstał z kanapy i obracając w palcach klucze, kołysał się na piętach w przód i w tył. - Moja córka nie żyje?

Przez moment mierzyliśmy się spojrzeniami.

- Nie mam pojęcia.

Odwrócił wzrok, a potem znów na mnie spojrzął.

- Na tym polega problem kiedy chodzi o dzieci, prawda? Nie mamy pojęcia. Nikt z nas.

Rozdział 12

Paląc papierosa, Angie zadzwoniła pod 411, żeby się dowiedzieć, jaki numer telefonu ma Elaine Murrow z Exeter w stanie New Hampshire. Następnie zadzwoniła do Elaine, która zgodziła się z nami spotkać.

Przez pierwszą część półgodzinnej jazdy do granitowego stanu oboje milczeliśmy. Angie patrzyła przez okno na nagie brązowe drzewa wzdłuż autostrady, na szybko malejące plamy śniegu na ziemi.

- Miałam ochotę przejść przez ten stolik i wydlubać mu oczy z tej jego pieprzonej, tępej głowy - odezwała się wreszcie.

- Dziwne, że nigdy nie byłaś zaproszona na bal debutantek - powiedziałem.

- Mówię serio. - Odwróciła się od okna. - Siedzi tam i gędzi o „wartościach”, jednocześnie każąc córce spać na ławce na jakimś dworcu autobusowym. I nazywa mnie po imieniu, jakby mnie, kurna, znał. Nienawidzę, po prostu, kurna, nienawidzę, gdy ludzie to robią. Jezu, słyszałeś, jak pieprzył o „nieodpowiednim środowisku” jej zmarłej matki? Bo co, bo jadała granole i lubiła oglądać serial „The L Word”?

- Skończyłaś?

- Co?

- Czy skończyłaś. Bo ja tam byłem, żeby zebrać informacje o zaginionej dziewczynce, która może mnie doprowadzić do innej zaginionej dziewczynki. Wykonywałem swoją pracę, że tak powiem.

- Och, a ja myślałam, że polerujesz mu buty językiem.

- A co powinienem być zrobić? Zapłonąć świętym oburzeniem i rzucić się na niego?

- Nie rzuciłam się na niego.

- Byłaś nieprofesjonalna. Mógł wyczuć, że go osądzasz.

- To ci zarzucają w Duhamel-Standiford? Cholera. Nieźle.

- Ale nigdy nawet w jednej dziesiątej nie byłem tak nieprofesjonalny, jak ty u Corlissa.

- W jednej dziesiątej?
- Jednej dziesiątej.
- Więc powinnam siedzieć spokojnie i pozwolić, by jakiś gówniany rodzic płał się w przekonaniu o własnej nieomyślności?
- Owszem.
- Nie potrafię.
- Zauważyłem.
- Więc o to chodzi? Na tym polega ta praca? Czyżbym zapomniała, że wymaga rozmów z ludźmi, po których masz ochotę wyszorować sobie skórę drucianką do mycia garnków?
- Czasami. - Spojrzałem na nią. - No dobrze, zazwyczaj.

W miarę zbliżania się do granicy New Hampshire ruch na drodze stawał się coraz słabszy. Przyśpieszyłem, drzewa za oknem zlały się w brązową smugę.

- Chcesz zakończyć rok jeszcze jednym mandatem za przekroczenie prędkości?

Jeśli tylko w samochodzie nie było mojej córki, zawsze jeździłem szybko. A Angie dawno się z tym pogodziła, jak ja pogodziłem się z jej palieniem. Tak mi się przynajmniej zdawało.

- Wstałaś dziś lewą nogą, skarbie?

Zapadła cisza, tak gęsta, że zastanawiałem się, czy nie opuścić szyb, lecz nagle Angie walnęła tyłem głowy o zagłówek, jednocześnie kopiąc w pokrywę schowka pod przednią szybą.

- Ych! - wyrzuciła z siebie z przeciągłym westchnieniem. - Przepraszam. Szczerze. Miałaś rację. Byłam nieprofesjonalna.

- Mogłabyś powtórzyć? Bym sobie nagrał.

- Mówię poważnie.

- Ja też.

Wzniosła oczy ku niebu.

- Już dobrze. - Poszedłem na ugodę. - Przepraszam przyjęte. I docenione.

- Spieprzyłam sprawę.

- Nie. Ale niewiele brakowało. Wyprostowałem co trzeba. I jest w porządku.

- Ale nie było.
- Nie robiliśmy tego przez jakiś czas, więc mózgi nam trochę zardzewiały.
- Tak. - Przeczesiała włosy palcami. - Mój jest przeżarty przez rdzę.
- Ale wciąż masz te, jak im tam, wściekle umiejętności komputerowe. Uśmiechnęła się.
- Tak?
- Tak. Więc na pewno możesz sięgnąć po swój BlackBerry i sprawdzić w Google'u Jamesa Lightera?
- Kim...
- To Zippo. Sprawdźmy, czy się pokaże.
- Aha. - Przez chwilę stuknęła w klawisze, a potem oznajmiła: - Pokazał się, i owszem. Całkiem niezły.
- Bez jaj.
- Bez jaj. - Przeczytała mi na głos wiadomość z ekranu.

Ciało Jamesa Lightera, lat osiemnaście, znaleziono na polu za sklepem monopolowym w Allston podczas weekendu po Świącie Dziękczynienia. Został dwukrotnie postrzelony w pierś. Policja nie ma żadnych podejrzanych ani żadnych świadków.

W połowie notatki przytoczono jego ponury, jak można się było spodziewać, życiorys: Kiedy miał sześć lat, samotna matka powierzyła go opiekunce i nigdy więcej nie wróciła do domu. Do dziś nie wiadomo nic na temat losów Heather Lighter. James dorastał w kilku rodzinach zastępczych. Ostatni zastępczy rodzic, Carol „Weezy” Louise, twierdzi, jakoby „wiedziała, że chłopak tak skończy, odkąd mając czternaście lat, ukradł jej samochód”.

- Ukradnij Weezy auto - powiedziałem - a zasłużysz na dwie kulki w pierś.

- Jaka szkoda. - Angie się zadumała. - Taki młody i tak marnie skończył.

- Nie twierdę, że Sophie była idealnym dzieckiem, zanim pojawił się jej ojciec i wszystko zepsuł. - Elaine Murrow siedziała na czerwonej metalowej sofie bez poduszek na środku stodoły przebudowanej na pracownię, w której tworzyła rzeźby. My siedzieliśmy na czerwonych stołkach naprzeciw niej.

Też były metalowe i bez poduszek, a siedziało się na nich tak samo wygodnie, jak na butelce wina. Choć w stodole było ciepło, rzeźby, wszystkie z metalu i chromu, odbierały jej przytulność; nie potrafiłem rozpoznać, co przedstawiają. Gdybym musiał zgadywać, powiedziałbym, że większość przypominała ponadwymiarowe kudłate kości do gry. Bez kudłów. Był też stolik kawowy, to znaczy ja sądzę, że to był stolik kawowy, w kształcie piły łańcuchowej. Mówiąc wprost, nie rozumiem sztuki nowoczesnej i jestem pewien, że ona też mnie nie rozumie, więc staramy się nie wchodzić sobie w drogę.

- Była jedynaczką - mówiła Elaine - więc trochę rozpuszczona i skupiona na sobie. Jej matka miała skłonność do teatralnych gestów, a to udzielało się Sophie. Ale Brian, proszę mi wierzyć, w ogóle nie przejmował się córką, dopóki jej matka go nie opuściła. A nawet wówczas najbardziej zależało mu na tym, żeby Cheryl do niego wróciła, żeby nie musiał żyć z tym, co mu uświadomiło jej odejście.

- Kiedy zaczął wykazywać zainteresowanie uzyskaniem prawa do opieki? - spytałem.

Zachichotała.

- Kiedy odkrył, dla kogo Cheryl go zostawiła. Przez pół roku nie miał pojęcia. Sądził, że mieszka z przyjaciółką, nie z partnerką. Spójrzcie na mnie, czy ja wyglądam, jakbym była hetero choć przez jeden dzień w życiu?

Miała mocno nażelowane sterczące włosy w odcieniu matowej bieli korektora do papieru. Ubrana była w luźną roboczą koszulę bez rękawów, spod której wystawały czarne dżinsy i brązowe martensy. Nie trzeba było pytać, by sporo wiedzieć o Elaine Murrow.

- Nie. Nie dla mnie - powiedziałem.

- Dziękuję. Ale dla tego głaba Briana? Z początku w ogóle się nie zorientował.

- A kiedy wreszcie zrozumiał? - spytała Angie.

- Pojawił się tu wściekły i wrzeszczał: „Nie możesz być lesbijką, Cheryl. Nie zgadzam się”.

- On się na to nie zgadzał - mruknęła Angie - więc nie mogło tak być.

- Właśnie. Kiedy do niego dotarło, że Cheryl nie tylko do niego nie wróci, ale że mnie bardzo kocha i to nie jest żaden kryzys tożsamości? Cóż... - Odetchnęła parę razy, wydymając policzki. - Cała wściekłość Briana, poczucie nieprzystosowania i niechęci do samego siebie, które dręczyły

go od... bo ja wiem, pewnie od urodzenia, wiecie jaką przybrały formę? Moralnej kruczaty w celu ratowania córki, której prawie nie znał, przed zgubnymi skutkami niemoralnego stylu życia. Od tamtej pory przychodził po Sophie w koszulkach z różnymi uroczymi nadrukami, na przykład: BÓG STWORZYŁ ADAMA I EWE, NIE ADAMA I STEFANA albo EWOLUCJA WSPAK i rysunki mężczyzny leżącego z kobietą, następnie mężczyzny z mężczyzną i na końcu mężczyzny z... sami zgadnijcie.

- Założę się, że z jakimś zwierzakiem.

Przytaknęła.

- Owca. - Otarła kącik oka. - Nosił to przy dziecku, a nam prawił kazania o grzechu.

Wielki pies, skrzyżowanie owczarka szkockiego collie z... nie wiadomo czym, wszedł do stodoły przez specjalny otwór w tylnych drzwiach. Slalomem wyminął rzeźby i oparł pysk na udzie Elaine, która podrapała go za uchem.

- Brian zarzucał nam dosłownie wszystko. Każdy dzień był bitwą. Co rano otwieraliśmy oczy i nasze serca wypełniały się strachem. Tak, strachem. Pokaże się w pracy u którejś z nas z cytatem z Biblii na transparenecie i będzie nas wyzywał od deprawatorek dzieci? Wniesie do sądu jakieś absurdalne oskarżenie, oparte na rzekomej rozmowie, którą odbył z Sophie na temat naszego picia i palenia trawy czy też uprawiania seksu na oczach dziecka? Zmienić walkę o prawo do opieki w taki koszmar może jedynie osoba, w której nie ma miłości do dziecka. A Brian był gotów złożyć każde oświadczenie, nawet wysrane z palca, wymyślać najbardziej niedorzeczne kłamstwa i wkładać je w usta Sophie. Miała siedem lat, kiedy to się zaczęło. Siedem. Koszty sądowe nas zrujnowały, przez ten jego idiotyczny pozew, który od początku nie miał szans, co otwarcie zostało powiedziane. Ja... - Zorientowała się, że drapie psa trochę za mocno.

Cofnęła rękę i dopiero wtedy było widać, że drży.

- Proszę się nie śpieszyć - wtrąciła łagodnie Angie.

Elaine podziękowała ruchem głowy i przyknęła oczy.

- Kiedy Cheryl zaczęła narzekać na zgagę, myślałyśmy, że to skutek stresu, w jakim bezustannie żyłyśmy. Pamiętam, że gdy zdiagnozowano u niej raka żołądka, stałam tam w gabinecie lekarza i wyobrażałam sobie tępą głębę Briana uśmiechniętą triumfalnie. Pomyślałam wtedy: „Kurczę, ci źli

naprawdę wygrywają”.

- Nie zawsze - powiedziałem, choć nie do końca w to wierzyłem.

- Tamtej nocy, kiedy Cheryl umarła, Sophie i ja byliśmy z nią, dopóki nie wydała ostatniego tchnienia. Opuściliśmy szpital o trzeciej nad ranem, i zgadnijcie, kto czekał na parkingu?

- Brian.

- Miał minę, której nigdy nie zapomnę. Usta w podkówkę, czoło zmarszczone, sam smutek i żal. Ale te oczy...

- Promieniały, co?

- Jakby właśnie wygrał jakieś pieprzone zawody. Dwa dni po pogrzebie zjawił się tutaj z dwoma policjantami i zabrał Sophie.

- Miałyście potem ze sobą jakiś kontakt?

- Z początku nie. Straciłam partnerkę, a potem dziecko, które traktowałam jak własną córkę. Brian zabronił jej do mnie dzwonić. Nie miałam do niej żadnych praw, więc po tym, kiedy drugi raz pojechałam do Bostonu, żeby ją odwiedzić w szkole podczas przerwy, wystąpił o sądowy zakaz zbliżania się.

- Zmieniłam zdanie - oświadczyła Angie. - Żałuję, że dobitnie nie dałam temu dupkowi do zrozumienia, co o nim myślę. Żałuję, że nie skopałam mu dupy.

Elaine próbowała się uśmiechnąć.

- Zawsze można wybrać się do niego drugi raz.

Angie wyciągnęła rękę i dotknęła jej dłoni. Elaine uściśnęła palce mojej żony, bez słowa kiwając głową. Łzy kapaly jej na dzinsy.

- Sophie zaczęła się znów ze mną kontaktować, kiedy miała jakieś czternaście lat. Była wówczas tak skołowana, pełna gniewu i żalu, iż miałam wrażenie, że rozmawiam z zupełnie inną osobą.

Mieszkała z beznadziejnym dupkiem nienadającym się na ojca, jego durną żoną nienadającą się na matkę i rozpuszczonym gnojkiem - jej przyrodnim bratem, który jej nienawidził. Tak więc zgodnie z logiką ludzkiej natury ja stanowiłam idealny cel: Dlaczego pozwoliłam jej odejść? Dlaczego nie zdołałam uratować jej matki? Dlaczego nie przeprowadziłyśmy się do stanu, gdzie mogłabym wziąć z Cheryl ślub i adoptować Sophie? A przede wszystkim dlaczego byliśmy pieprzonymi lesbijkami? - Wzięła

drżący oddech. - To było brutalne. Jak zrywanie naraz wszystkich strupów. Po jakimś czasie przestałam odbierać od niej telefony, bo nie mogłam znieść jej złości i oskarżeń o zbrodnie, których nie popełniałam.

- Nie trzeba się za to obwiniać. - Próbowałam jakoś ukoić jej żal.

- Łatwo mówić. Trudniej z tym żyć.

- Więc nie miała pani od niej wiadomości już od dłuższego czasu? - upewniła się Angie.

Elaine jeszcze raz poklepała jej dłoń, a potem puściła.

- Dzwoniła parę razy w zeszłym roku. Za każdym razem była na haju.

- Na haju?

Popatrzyła na mnie.

- Owszem. Nie biorę niczego od dziesięciu lat. Wiem, kiedy rozmawiam z osobą, która coś wzięła.

- Co?

Wzruszyła ramionami.

- Sądzę, że coś z górnej półki. Była nienaturalnie gadatliwa, jak po kocke. Mogła użyć koki albo czegoś o podobnym działaniu.

- Wspominała kiedyś o Zippie?

- Swoim chłopaku, tak. To chyba niezły numer. Opowiadała z dumą o jego powiązaniach z jakimiś Rosjanami.

- Z rosyjskiej mafii? - spytała Angie.

- Tak to odebrałam.

- Coraz weselej - mruknąłem. - A Amanda McCready? Wspominała kiedyś o niej?

Elaine zagwizdała.

- O tej bogini? Chodzącym ideale? Uosobieniu wszystkiego, czym Sophie pragnęła być? Nigdy jej nie spotkałam, ale wydawała się... niesamowita jak na szesnaście lat.

- Też mamy takie wrażenie. Czy Sophie jest typem dziewczyny, która szuka autorytetu?

- Większość z nas szuka. Przez całe życie ludzie czekają na kogoś, kto powie, co robić i kim być. Tylko tego pragną. Czy to polityk, współmałżonek czy przywódca religijny, wszyscy pragną, żeby znaleźć osobnika alfa.

- A Sophie? - spytała Angie. - Znalazła?

- O tak. - Elaine podniosła się z sofy. - Z pewnością. Nie dzwoniła do mnie od... czerwca? Mam nadzieję, że choć trochę pomogłam.

Zapewniliśmy ją, że dużo nam pomogła.

- Dzięki, że przyjechaliście.

- My dziękujemy, że zechciała pani z nami rozmawiać.

Uścisnęliśmy sobie ręce, po czym wyszliśmy za Elaine i jej psem ze stodoły i gruntową ścieżką dotarliśmy do samochodu. Zmierzch osiadał na nagich koronach drzew, powietrze miało zapach sosen i butwiejących liści.

- Kiedy już znajdziecie Sophie, co zrobicie?

- Wynajęto mnie, żebym znalazł Amandę.

- Więc nie będzie się pan czuł zobowiązany, żeby odwiedzić Sophie do domu.

Pokręciłem głową.

- Ma siedemnaście lat. Nie mógłbym nic zrobić, nawet gdybym chciał.

- Ale pan nie chce.

- Nie - powiedzieliśmy jednocześnie z Angie.

- Zrobilibyście coś dla mnie, gdybyście ją znaleźli?

- Jasne.

- Powiedzcie jej, że ma gdzie zamieszkać. Może przyjść o każdej porze dnia i nocy. Nawet jeśli będzie na haju. I wściekła. Nie dbam już o swoje uczucia. Chcę tylko wiedzieć, że jest bezpieczna.

A potem objęły się z Angie tym niewymuszonym gestem, do jakiego zdolne są tylko kobiety. Mężczyznom jest niedostępny, nawet tym, którzy nie mają nic przeciwko braterskim uściskom. Czasami dokuczałem żonie z powodu takiego zachowania. Nazywałem je „telewizyjnym uściskiem życia”, ale w tym nie było żadnej łzawej rzewności, tylko uznanie i chyba przyrzeczenie.

- Ona zasługuje na panią. - Angie nie kryła wzruszenia.

Elaine bezgłośnie szlochła jej w ramię. Angie położyła jej rękę na głowie i przez chwilę kołysała ją w ramionach, tak samo jak często kołysała naszą córkę.

- Zasługuje na panią - powtórzyła.

Rozdział 13

Spotkaliśmy się z Andre Stilesem przed biurami opieki społecznej na Farnsworth Street i w lekko prószącym śniegu poszliśmy we trójkę przez Seaport do tawerny na Sleeper Street. Kiedy już nas usadzono przy stoliku i kelnerka przyjęła zamówienia, powiedziałem:

- Jeszcze raz dziękujemy, że zechciał się pan z nami tak od razu spotkać, panie Stiles.

- Proszę nie nazywać mnie panem Stilesem. Jestem po prostu Dre.

- Niech będzie Dre.

Miał jakieś trzydzieści sześć lub osiem lat, krótko obcięte ciemne włosy z ledwie widocznymi początkami siwizny na skroniach i brzegach koziej bródki. Jak na pracownika opieki społecznej był wyjątkowo dobrze ubrany - w czarną bawełnianą bluzę i ciemnoniebieskie dżinsy, bez wątplenia pochodzące z drogiego, markowego sklepu, a na to kaszmirową kurtkę z czerwoną podszewką.

- A więc chodzi wam o Sophie.

- Sophie.

- Poznaliście jej ojca.

- Taaa... - Angie zmarszczyła brwi.

- I co o nim sądzicie?

Kelnerka przyniosła drinki. Dre wyłowił ćwiartkę cytryny ze swojego toniku z wódką, zamieszał zawartość szklanki, po czym odłożył mieszadełko obok cytryny. Jego palce poruszały się z delikatną precyzją jak u pianisty.

- Ten ojciec to niezły egzemplarz - zagadnąłem.

- Jeśli cymbała można uznać za niezły egzemplarz, to owszem.

Angie zaśmiała się, podnosząc do ust kieliszek z winem.

- Nie owijaj w bawełnę, Dre.
- Nie owijaj - poparła mnie Angie.

Spróbował toniku, zatrzymując w ustach kostkę lodu.

- W wypadku wielu dzieci, którymi się zajmuję, problem nie leży w dziecku. Dziecko po prostu wylosowało jakiegoś dupka w rodzicielskiej loterii. Albo dwoje dupków. Mógłbym wam teraz wcisnąć cały ten politycznie poprawny kit, ale mam go dosyć na co dzień w pracy.

- Politycznie poprawny kit to ostatnia rzecz, jakiej byśmy chcieli - stwierdziłem. - Docenimy jednak wszystko, co zechcesz nam powiedzieć.

- Od jak dawna jesteście prywatnymi detektywami?

- Byłam na pięcioletnim urlopie naukowym.

- Do kiedy?

- Do dziś rano.

- Brakowało ci pracy?

- Sądziłam, że tak. Ale już nie jestem tego pewna.

- A ty? Jak długo się tym zajmujesz?

- Za długo. - Zaniepokoiło mnie, że te słowa brzmiały aż tak prawdziwie. - Od kiedy miałem dwadzieścia trzy lata.

- Braliście kiedyś pod uwagę robienie czegoś innego?

- Z każdym dniem coraz bardziej. A ty?

Pokręcił głową.

- To jest mój drugi zawód.

- A pierwszy?

Dopił drinka i machnął do kelnerki. Ja wciąż miałem połowę szkockiej, a z kieliszka Angie ubyła zaledwie jedna trzecia zawartości, więc wskazał na swoją szklankę, jednocześnie pokazując jeden palec.

- Pierwszy zawód... Byłem lekarzem, możecie wierzyć lub nie.

Nagle zrozumiałem, skąd ten delikatny wdzięk w ruchach jego dłoni.

- Człowiek myśli, że najważniejsze jest ratowanie ludzkiego życia, ale szybko się przekonuje, że chodzi o generowanie zysku, jak w każdym interesie. Ile usług można wykonać za najwyższą cenę przy najmniejszym nakładzie środków i pracy? Zaopatrzyć pacjenta, odprawcie go i żądajcie najwyższej stawki, kiedy nadarzy się okazja.

- Rozumiem, że nie zachowywałaś politycznej poprawności - domyśliła się Angie.

Kelnerka przyniosła drinka.

- Zwolnili mnie z czterech szpitali na obszarze ośmiu kilometrów kwadratowych za niesubordynację. To swego rodzaju rekord, jestem pewien. Nagle okazało się, że nie znajdę zatrudnienia w swoim mieście. Oczywiście mogłem się przeprowadzić do, bo ja wiem, New Bedford czy gdzieś. Ale ja lubię to miasto. Obudziłem się pewnego ranka i zdałem sobie sprawę, że nienawidzę swojego życia. Nienawidzę tego, co robię. Straciłem wiarę. - Wzruszył ramionami.

- Kilka dni później zobaczyłem ogłoszenie, że szukają pracownika socjalnego w wydziale dzieci i rodzin.

- Tęsknisz za poprzednią pracą?

- Czasami. Ale czy bardzo? Niekoniecznie. Jak w każdym dysfunkcyjnym związku - z pewnością są w nim też dobre strony, bo inaczej przecież byśmy weń w ogóle nie weszli, prawda? Jednak w przeważającej części był dla mnie zabójczy. Teraz mam stałe godziny urzędowania, wykonuję pracę, z której jestem dumny, i w nocy śpię jak niemowlę.

- A praca, którą wykonałeś z Sophie Corliss?

- To tajemnica. Zwróciła się do mnie o pomoc, więc próbowałem pomóc. Cholernie zagubiony dzieciak.

- A powód, dla którego porzuciła szkołę?

Skrzywił się przepaszająco.

- Obawiam się, że to też poufne.

- Jakoś nie mogę jej sobie wyobrazić - wyznałem.

- Bo też trudno o jednoznaczny obraz Sophie. Weszła w dorosłość bez żadnych umiejętności, żadnych ambicji, z zerowym poczuciem własnej tożsamości. Jest wystarczająco bystra, by wiedzieć, że ma braki, ale nie dość bystra, by wiedzieć jakie. A nawet gdyby widziała, co mogłaby zrobić? Człowiek nie może sobie postanowić, że będzie się czymś pasjonował. Nie można wypracować powołania. O takich jak Sophie mówi się, że dryfują, czekają, aż ktoś wskaże im kierunek.

- Spotkałeś kiedyś jej przyjaciółkę, Amandę? - spytała Angie.

- Och, Amandę?

- Poznałeś ją?
- Jeśli się zna Sophie, zna się też Amandę.
- Tak właśnie słyszałem.
- Poznałeś Amandę?
- Znałem ją dawno temu, kiedy była...
- Zaraz... - Cofnął się razem z krzesłem. - To ty jesteś tym facetem, który ją znalazł w latach dziewięćdziesiątych? Zgadza się? Jezu! Wiedziałem, że skądś znam to nazwisko.
- No?? Wszystko jasne.
- A teraz szukasz jej po raz drugi? Ironia losu. - Pokręcił głową. - Cóż, nie wiem, jaka była kiedyś, ale teraz? Świetny dzieciak. Może nawet zbyt świetny? Nie spotkałem jeszcze tak opanowanej osoby w jej wieku. Nawet sześciolatki rzadko dobrze się czują we własnej skórze, a co dopiero szesnastolatka. Amanda dokładnie wie, kim jest.
- A kim?
- Nie rozumiem.
- Słyszeliśmy od wielu ludzi o tym opanowaniu Amandy, a ty opisujesz ją jako osobę, która dokładnie wie, kim jest. Moje pytanie brzmi: kim jest?
- Tym, kim chce być. Jest uosobieniem przystosowalności.
- A Sophie?
- Sophie jest... plastyczna. Przyjmie każdą filozofię, która ją zbliży do tego, co myśli większość. Natomiast Amanda adaptuje się do oczekiwań grupy. I zrzuca to z siebie natychmiast, kiedy się znajdzie poza grupą.
- Podziwiasz ją.
- Podziwiam to może za dużo, ale przyznaję, że robi wrażenie. Nie ulega wpływom. Nic nie jest w stanie zmienić jej woli. I ma szesnaście lat.
- Rzeczywiście, robi wrażenie. Żałuję jednak, że żadna z osób, z którymi rozmawiałem, nie powiedziała o niej nic zabawnego lub ciepłego lub, sam nie wiem... byle jakiego.
- Żadne z tych określeń nie pasuje do Amandy.
- A dzieciak o przyzwisku Zippo? Słyszałeś o nim?
- Chłopak Sophie. Wydaje mi się, że naprawdę nazywa się chyba David Lighter. Albo Daniel. Nie jestem pewien.
- Kiedy ostatnio widziałeś Sophie?

- Dwa tygodnie temu, może trzy.
- A Amandę?
- Mniej więcej w tym samym czasie.
- A Zippa?

Dopił swojego drinka.

- Chryste.
- Co?
- Jego też trzy tygodnie temu. Oni wszyscy... - Spojrzał na nas pytająco.
- Zniknęli - potwierdziła Angie.

Nasza córka wspięła się do domku na palach pośrodku placu zabaw. Od poprzedniego wieczoru padał śnieg. Pod spodem była prawie półmetrowa warstwa piasku, lecz mimo to wolałem ją asekurować.

- Detektywie - odezwała się Angie.
- Słucham, młodszy detektywie.
- O, jestem młodszym detektywem? Czyżby rzeczywiście istniało zjawisko szklanego sufitu?
- Będziesz młodszym detektywem przez tydzień. Potem cię awansuję.
- Za co?
- Za solidną pracę nad sprawą i, powiedzmy, nocną pomysłowość przy zgaszonym świetle.
- To molestowanie, łajdaku.
- W zeszłym tygodniu od tego molestowania zapomniałaś, jak się nazywasz.
- Mamusiu, dlaczego zapomniałaś, jak się nazywasz? Uderzyłaś się w głowę?
- No to ładnie - mruknęła Angie. - Nie, mamusia nie uderzyła się w głowę. Ale ty spadniesz, jeśli nie będziesz ostrożna. Uważaj na ten drążek. Jest oblodzony.

Moja córka popatrzyła na mnie, wywracając oczami.

- Słuchaj szefa - przypomniałem.
- Czego się dziś dowiedzieliśmy? - spytała Angie, kiedy Gabby znów zajęła się wspinaczką.
- Dowiedzieliśmy się, że prawdopodobnie to Sophie była dziewczyną,

która rozmawiała z policją, podając się za Amandę. Dowiedzieliśmy się, że Amanda jest bardzo opanowana. A Sophie wręcz przeciwnie. Dowiedzieliśmy się, że pięć osób weszło do jakiegoś pokoju, dwie umarły, ale cztery wyszły. Cokolwiek to znaczy. Dowiedzieliśmy się, że jest na tym świecie dzieciak o przezwisku Zippo. Dowiedzieliśmy się, że być może Amanda została porwana, ponieważ nikt nie sądzi, by uciekła, skoro tak wiele trzymało ją w szkole. - Popatrzyłem na Angie. - To by było na tyle. Zimno ci?

Słyszałem, jak szczeka zębami.

- Wcale nie miałam ochoty wychodzić z domu. Jak to się stało, że trafiło się nam dziecko-Eskimos?

- To przez irlandzkie geny.

- Tatusiu - zawołała Gabby. - Złap mnie.

Dwie sekundy po tym zeskoczyła z drążka, a ja złapałem ją w ramiona. Miała na sobie nauszniki i różową puchową kurtkę z kapturem, pod spodem ze cztery warstwy ubrania łącznie z termicznymi getrami. Opakowane tak szczelnie ciało przypominało mały groszek w strąku.

- Masz zimne policzki. - Dotknąłem jej buzi.

- Wcale nie.

- No dobrze. - Przerzuciłem ją sobie przez ramię i trzymałem za kostki.

- Mamusi jest zimno.

- Mamusi zawsze jest zimno.

- Dlatego, że mamusia jest Włoszką - wyjaśniła Angie, kiedy opuszczaliśmy plac zabaw.

- *Ciao* - zaświergotała Gabby. - *Ciao, ciao, ciao*.

- PR nie może się nią zająć jutro, bo ma dentystę, ale będzie ją zabierać przez kilka następnych dni.

- Świetnie.

- W takim razie co zamierzasz robić jutro? Uważaj na lód.

Przekroczyłem ślizgawkę obok przejścia przez ulicę.

- Wołałabyś nie wiedzieć.

Rozdział 14

Nowe miejsce zamieszkania Helene McCready z zewnątrz wyglądało dostatniej niż dwupiętrowy dom w Dorchester, gdzie do niedawna wychowywała, jakkolwiek to rozumieć, swoją córkę. Obecnie Helene i Kenny Hendricks mieszkali pod numerem 133 przy Sherwood Forest Drive w Nottingham Hill, na ogrodzonym osiedlu trzy kilometry od drogi krajowej numer 1 w Foxboro. O Foxboro wiedziałem tylko tyle, że drużyna Patriotów grała tam osiem razy w roku i że znajdowało się niedaleko od centrum handlowego w Wrentham. Poza tymi dwiema niesprawdzonymi informacjami nie miałem żadnych innych. Koniec listy.

Okazało się, że w Foxboro znajdują się również uroczo nazwane strzeżone osiedla. Po drodze do Nottingham Hill mijałem Wodospady Bedford, Źródła Jowisza, Wichrowe Wzgórza i Wonne Łąki. Wszystko, jak już wspominałem, ogrodzone. Nie mogłem zrozumieć, po co te zasieki, wszak Foxboro miało wyjątkowo niski wskaźnik przestępczości. Nie miałem pojęcia, co złodzieje mogliby chcieć tam ukraść poza miejscem do parkowania w dniu rozgrywek, chyba że nagle by im zabrakło sztućców do grilla czy elektrycznych kosiarek.

Brama w Nottingham Hill okazała się łatwa do sforsowania, jako że nie było przy niej odźwiernego. Na budce przy wjeździe znajdował się napis: W CIĄGU DNIA WZYWAĆ OCHRONĘ WCISKAJĄC *958. Parę długości samochodu za budką główna droga, Robin Hood Boulevard, rozwidlała się. Cztery strzałki na drogowskazie kierowały w lewo do Loxley Lane, Tuck Terrace, Scarlett Street i Sherwood Forest Drive. Droga była prosta, a u jej końca znajdowało się dokładnie to, czego oczekiwałem, czyli podobne do siebie działki.

Strzałki skierowane w prawo obiecywały doprowadzić mnie do Archer Avenue, Little John Lane, Yorkshire Road oraz Maid Marian's Meeting

House, ale tu droga kończyła się na paru pustych wydmach; tylko na jednej stała samotna żółta koparka. Gdzieś pośrodku boomu budowlanego w Nottingham Hill nastąpiło załamanie koniunktury.

Skreśliłem w lewo i znalazłem numer 133 przy końcu Sherwood Forest Drive, która okazała się ślepą uliczką zakończoną małym rondem. Na podwórkach za domami leżał taki sam beżowy piasek, jak na wydmach, gdzie miał stać Maid Marian's Meeting House, a zarówno numery 129, jak i 131 były puste; w zaproszonych trocinami oknach wciąż wisiały pozwolenia na budowę. Jednakże frontowe trawniki były zielone, nawet na niezamieszka-nych posesjach, więc ktoś z firmy zawiadującej osiedlem dbał o ich wła-ściwe utrzymanie. Okrążyłem rondo wolno, by zauważyć, że zasłony w oknach Helene i Kenny'ego są pozaciągane, w tych wychodzących na pół- noc, południe i zachód. Okna od wschodu wychodziły na wydmy, więc nie mogłem ich widzieć. Mógłbym się jednak założyć, że również były zasło- nięte. W drodze powrotnej naliczyłem jeszcze dwa znaki NA SPRZEDAŻ; pod jednym wisiała mniejsza tabliczka, na której napisano: PILNIE SPRZEDAM. CZEKAM NA OFERTY.

Przejechałem na Tuck Terrace i zaparkowałem pod na wpół wykończo- nym bungalowem przy kolejnym rondzie. Domy po prawej i po lewej były gotowe, ale stały puste. Trawniki i świeżo posadzone krzewy zieleniły się jak koniczyna wiosną, mimo grudnia, natomiast podjazdy wciąż czekały na wyłożenie kostką. Przeszedłem przez szkielet bungalowu pod Tuck Terrace 133 i pokonałem akr piachu, w który były zatknięte drewniane paliki po- wiązane niebieskim sznurkiem, wyznaczające granice przyszłego podwór- ka. Znalazłem się za domem Helene i Kenny'ego, jednopiętrową, preten- sjonalną budowlą „w stylu włoskim”, o układzie pomieszczeń tak łatwym do przewidzenia, że oczyma wyobraźni widziałem czarne granitowe blaty w kuchni i wannę w głównej łazience.

Popełniłem chyba ze czterdzieści błędów, obserwując to miejsce. Prze- jechałem przed nim tak wolno, że trójnogi basset z dysplazją biodrową by mnie wyprzedził. Zaparkowałem w sąsiedztwie, wprawdzie przecnicę dalej, ale zawsze. Zbliżyłem się po odkrytej przestrzeni. Nie przyjechałem w nocy. Brakowało tylko tego, żebym stanął przed drzwiami z tabliczką:

BRACIE, UŻYCZYSZ MI KLUCZA? Poza tym nie mogłem się chyba bardziej wystawić.

Najrozsądniej więc było minąć dom i mieć nadzieję, że ktoś patrzący ze środka weźmie mnie za geodetę albo stolarza od wykończeniówki, i zmiatać tam, skąd przybyłem. Zamiast tego uznałem, że jak dotąd szczęście mi sprzyja - była druga po południu, a od momentu, gdy wjechałem na teren osiedla, nie widziałem żywej duszy. Głupotą jest wierzyć w przychyłność losu, ale robimy to za każdym razem, kiedy przechodzimy przez ruchliwą ulicę.

A dla mnie los okazał się łaskawy. Przesuwne szklane drzwi z tyłu nie oparłyby się nawet Gabby. Ani komuś posiadającemu zardzewiałe umiejętności włamywacza. Poradziłem sobie z zamkiem za pomocą karty kredytowej oraz breloczka - otwieracza do butelek. Wszedłem do kuchni i czekałem przy drzwiach na wypadek, gdyby włączył się alarm. Nic się jednak nie stało, więc wbiegłem po wyłożonych chodnikiem schodach na piętro. Sprawdziłem, czy nikogo nie ma w żadnej sypialni, i zszedłem z powrotem na dół.

W salonie naliczyłem dziewięć komputerów. Do najbliższego przyklejona była różowa karteczka z napisem: BCBS, HPil. Następny miał żółtą karteczkę: BOA, Cit. Stuknąłem w klawiaturę pierwszego komputera i ekran się zaświecił. Przez moment patrzyłem na obrazek Pacyfiku służący za tapetę, a potem ekran przybrał kolor żywej zieleni i zatańczyły na nim animowane postacie z głowami aktorów z serialu „Diff'rent Strokes”. Przy głowie Willisa ukazał się „dymek” i kursor drgnął. Arnold powiedział: „O czym ty mówisz, Willis?”. Kimberly wywróciła oczami, zapalając skręta, i odparła: „Hasło, matole”. W dymku nad głową pana Drummonda ukazał się stoper. Odliczał od dziesięciu, podczas gdy Kimberly robiła striptiz, Arnold przebierał się w mundur ochroniarza, a Willis wskoczył do kabrioletu i natychmiast go rozbił. Kiedy auto stanęło w płomieniach, zegar nad głową pana Drummonda eksplodował i ekran zgasał.

Zadzwoiłem do Angie.

- Cała obsada „Diff'rent Strokes”?
- Skoro pytasz... nie było pani Garrett.
- To musiały być lata, kiedy występowała w „Facts of Life”. Co masz?
- Komputer; zabezpieczone hasłem. Jest ich dziewięć.

- To sporo komputerów jak na salon bez mebli. Znalazłeś już pokój Amandy?

- Nie.

- Zobacz, czy w nim jest komputer. Dzieci rzadziej używają haseł.

- Okay.

- Jeśli uda ci się go włączyć, podaj mi adres IP i wchodzące i wychodzące serwery. Większość ludzi, niezależnie od tego, ile mają komputerów, używa jednego serwera. Jeśli sama sobie nie poradzę, to znam kogoś, kto mi pomoże.

- Z kim ty się spotykasz w sieci?

Rozłączyliśmy się i poszedłem na górę. Sypialnia Helene i Kenny'ego wyglądała tak, jak się spodziewałem - toaletka z marketu meblowego i komoda zarzucona wymiętymi ubraniami, materac z ramą zamiast łóżka, żadnych nocnych stolików u wezłowania, kilka pustych puszek po piwie z jednej strony łóżka, a po drugiej kilka pustych kieliszków z resztkami czegoś lepiącego. Popielniczki na podłodze pokrytej wykładziną, już brudną.

Opuściłem sypialnię gospodarzy, uśmiechnąłem się na widok wanny i wszedłem do sąsiedniego pokoju. Schludny i pusty. Komoda z płyt wiórowych w okleinie imitującej włoski orzech, łóżko i nocny stolik; sprzęty, choć niewątpliwie tanie, wyglądały całkiem porządnie. Szuflady zostały opróżnione, łóżko zaścielone. W szafie wisiało ze dwadzieścia wieszaków, rozmieszczonych w równych odległościach od siebie.

Pokój Amandy. Nie zostawiła nic poza wieszakami i pościelą na łóżku. Na ścianie została oprawiona w ramkę bluza Red Sox, podpisana przez Josha Becketta, i kalendarz ze zdjęciami szczeniaków. To była pierwsza oznaka sentymentu, który można by jej przypisać. Poza tym miałem to samo wrażenie precyzji, jakie towarzyszyło mi od początku podążania jej śladem.

Sypialnia po drugiej stronie korytarza to zupełnie inna historia. Wyglądała, jakby ktoś ją wrzucił do blendera i nacisnął guzik, a potem zdjął przykrywkę. Łóżka prawie nie było widać spod patchworkowej kołdry, koca, dzinsów, swetra, bluzy, płóciennej marynarki i spodni rybaczków. Toaletka miała otwarte szuflady i lustro. Sophie zatykała zdjęcia po lewej i po prawej stronie, pomiędzy taflę lustra a ramę. Kilka zdjęć przedstawiało

chłopca przed dwudziestką. Zakładałem, że to Zippo. Zwykle miał na sobie czapkę Soxów z daszkiem przekreślonym na bok. Wąski pasek zarostu sięgał mu od jednego ucha do drugiego, a dopełniała go kępka włosów wystająca pomiędzy dolną wargą a podbródkiem. Z boku szyi miał tatuaż, a w obu brwiach srebrne kolczyki w kształcie kółeczek. Na większości fotografii obejmował ramieniem Sophie. A na wszystkich trzymał w ręku butelkę z piwem albo czerwony plastikowy kubek. Sophie uśmiechała się szeroko, ale jakby „przymierzała” kolejne uśmiechy, szukając takiego, który w jej wyobrażeniu będzie odpowiadał ludziom. Miała oczy wrażliwe na światło - na każdym zdjęciu wyglądała, jakby miała zaraz je zmrużyć. Z jej ust wycierały niepewnie drobne zęby. Trudno ją sobie było wyobrazić szczęśliwą. Nad i pod zdjęciami były zatknięte klubowe pocztówki ze starymi datami, przeważnie z wiosny i wczesnego lata ubiegłego roku. Wszystkie z klubów wpuszczających tylko osoby, które ukończyły dwadzieścia jeden lat.

Sophie z całą pewnością starała się wypracować sobie wygląd osoby dwudziestojednoletniej, ale nie dało się nie zauważyć dziecięcego tłuszczyku pod brodą i na kościach policzkowych. Mimo że nie miała wymaganego wieku, jakoś wchodziła do środka. Większość zdjęć przedstawiała ją i Zippa, z wyjątkiem dwóch dziewcząt, których nie rozpoznawałem. Nie było tam Amandy, jednak obie fotografie zostały obcięte po lewej stronie, w miejscu, gdzie ręka Sophie najprawdopodobniej dotykała czyjś ramienia.

Przeszukałem resztę pokoju i znalazłem jakieś pigułki o nieznanym mi nazwie, z symbolami medycyny holistycznej na nalepkach. Sfotografowałem je komórką i poszedłem dalej. Znalazłem opaski na nadgarstek, tyle, by podejrzewać fetyszystyczne zainteresowanie opaskami albo gromadzenie ich w jakimś szczególnym celu. Przyjrzałem im się dokładniej. Większość leżała ułożona w stos na górnej półce w szafie, ale trochę poniewierało się w ogólnym bałaganie.

Ściągnąłem z łóżka całą pościel, odsuwając też na bok ubrania, i znalazłem laptop, czekał na mnie włączony, mrugał światłem mocy. Po otwarciu zobaczyłem zdjęcie Sophie i Zippa użyte jako tapeta; mieli palce ułożone w „gangsterski” znak, co definiowało ich jako białe dzieciaki należące do gangu. Kliknąłem dwa razy na jabłuszko w górnym lewym

rogu ekranu i wszedłem na panel kontrolny bez potrzeby wstukiwania jakiegokolwiek hasła. Tam odkryłem informacje, o które pytała Angie. Skopiowałem co trzeba na komórkę i wysłałem jej SMS-em.

Wróciłem na stronę główną i kliknąłem na ikonę poczty elektronicznej.

Sophie nieczęsto robiła porządki w swojej skrzynce. Miała dwa tysiące osiemset siedemdziesiąt jeden odebranych mejli, z datami sięgającymi ponad rok wstecz. Folder „wysłane” zawierał tysiąc sześćset siedemdziesiąt trzy mejle, najstarsze również sprzed ponad roku. Zadzwoiłem do Angie i powiedziałem jej, co znalazłem.

- Mając to IP, którego potrzebowałaś, dasz radę dobrać się do tego sprzętu?

- To dla mnie bułka z masłem - zapewniła. - Jak długo już tam jesteś?

- Nie wiem. Jakies dwadzieścia minut.

- Długo. To dom ludzi, którzy nie mają stałych godzin pracy - przypomniała.

- Tak, mamusiu.

Rozłączyła się.

Poukładałem wszystko tak, jak zastałem, i zszedłem po schodach na dół. W jadalni na karcianym stoliku pośrodku pokoju znalazłem kartonowe pudełko wypełnione korespondencją. Na pierwszy rzut oka nie było w niej nic specjalnego, rachunki za utrzymanie domu, wyciągi z kart kredytowych i pisma z banku, natomiast ciekawe okazały się nazwiska i adresy odbiorców. Żaden nie mieszkał w tym domu. Poczta należała do Daryl Bousquet z Westwood, Georgette Bing z Franklin, Miki Griekspoor z Sharon i Virgila Cridlina z Dedham. Przejrzawszy plik kopert, naliczyłem jeszcze dziewięć innych nazwisk, ludzi mieszkających w niedaleko położonych miejscowościach - Walpole, Norwood, Mansfield i Plainville. Zajrzałem do salonu, w którym stała bateria komputerów. Dom urządzony z grubsza sprzętami z najtańszej hurtowni, jakby nikt nie zamierzał w nim zamieszkać na dłużej. Dziewięć komputerów. Skradziona poczta. Gdybym miał do dyspozycji jeszcze godzinę, znalazłbym akty urodzenia dzieci, które umarły dawno temu. Byłem gotów postawić na to wszystkie pieniądze, jakie posiadałem.

Jeszcze raz przyjrzałem się korespondencji. Co za głupota. Zabezpieczać komputery hasłem i zapomnieć włączyć w domu alarm? Jak to możliwe, że ktoś, kto wybrał doskonałe miejsce do tego rodzaju działalności - dom na końcu ślepej uliczki na niewykończonym osiedlu - zostawił stertę skradzionych listów w pudełku?

Rozejrzałem się po kuchni, ale nie znalazłem nic oprócz pustych szafek oraz lodówki wypełnionej styropianowymi pojemnikami na gotowe jedzenie, piwem i dwunastopakiem coca-coli. Zamykając szafkę, przypomniałem sobie, co jedna z koleżanek szkolnych Amandy mówiła o mikrofalówce.

Otworzyłem drzwiczki i zajrzałem do środka. Mikrofalówka. Białe ściany, żółta lampka, obrotowy talerz do podgrzewania. Już miałem zamknąć urządzenie, kiedy poczułem nieprzyjemny zapach i jeszcze raz przyjrzałem się ściankom. Były białe, owszem, ale pokryte dodatkową warstwą bieli. Kiedy przechyliłem głowę i spojrzałem pod innym kątem, dostrzegłem tę samą błonę na żółtej żarówce. Znalazłem nóż do masła i gdy lekko poskrobałem jedną ze ścian, posypał się z niej proszek, biały i lekki jak talk.

Zamknąłem mikrofalówkę, odłożyłem nóż do szuflady i wróciłem do salonu. To tam usłyszałem, jak obraca się gałka we frontowych drzwiach.

Nie widziałem jej z bliska od jedenastu lat. I to mi odpowiadało. Ale teraz była, zrobiła cztery kroki w głąb salonu, zanim nasze spojrzenia się spotkały. Przybrała na wadze, szczególnie w biodrach i na twarzy, po obu stronach szyi. Skórę miała bardziej plamistą. Chabrowo-niebieskie oczy, będące zawsze jej największym atutem, pozostały takie same. Patrzyła na mnie spod wystrzępionej rudej grzywki. Na czubku głowy miała szare odrosty. Zaskoczona najpierw otworzyła usta, a potem ściągnęła je, układając w pierwszą literę mojego imienia.

Raczej nie mogłem twierdzić, że przyszedłem naprawić zsymp. Uśmiechnąłem się więc, w swoim przekonaniu żałośnie, wyciągnąłem przed siebie ręce i wzruszyłem ramionami.

- Patrick?

- Jak się miewasz, Helene?

Rozdział 15

Kenny wszedł tuż za nią. Przez jakieś pół sekundy sprawiał wrażenie ogłupiałego, a potem sięgnął za plecy. Zrobiłem to samo.

- Ho - powiedział.
- Hey - powiedziałem.

Młoda dziewczyna wyszła z za niego; otworzyła usta, ale nie wydała z siebie żadnego dźwięku. Zaciśnęła ręce przy bokach, jakby poraził ją prąd. Kiedy odsunęła się, schodząc z linii strzału, dobrze jej się przyjrzałem. Sophie Corliss. Zrzuciła wagę, tyle, ile domagał się od niej ojciec, a potem jeszcze schudła. Była wymizerowana i spocona; otrząsnąwszy się z szoku, uniosła ręce za głowę i chwyciła się za włosy.

Wyciągnąłem przed siebie wolną rękę.

- Nie musi do tego dojść - stwierdziłem.
- Do czego? - spytał Kenny.
- Do tego, że obaj wyciągniemy broń.
- To co proponujesz, co innego możemy zrobić?
- Mógłbym zdjąć rękę z broni.
- Wtedy ja mógłbym cię zastrzelić.
- Mógłbyś.

- A jeśli ja zdejmę? - Zmarszczył czoło. - Rezultat będzie ten sam, tylko ofiara inna.

- A gdybyśmy to zrobili równocześnie? - podsunąłem.
- Nie damy się oszukać.

Pokiwałem głową, a on wyjął pistolet i wycelował we mnie.

- Sprytnie.
- Pokaż rękę - zażądał.

Wyjąłem rękę z za pleców i uniosłem komórkę.

- Ładna - ocenił Kenny - ale w mojej jest chyba więcej naboju.
- Na pewno, ale czy z twojej broni można do kogoś zadzwonić?

Zrobił najpierw krok w moją stronę potem drugi. „DOM. POŁĄCZENIE 39 SEKUND” przeczytał na wyświetlaczu.

- O... - wyrwało mu się.
- Tak.
- Cholera - powiedziała cicho Helene.
- Odłóżysz broń albo moja żona zadzwoni na policję i powie, gdzie jesteśmy.

- Może...
- Puk, puk - przerwałem. - Nie ma wątpliwości, że kradniecie dane osobowe i popełniacie oszustwa na tysiące dolarów. Produkuje tu gdzieś w pobliżu metaamfetaminę, a potem podgrzewacie zużyte filtry do kawy w mikrofalówce, żeby wycisnąć z nich resztki. Chcecie tu zaraz mieć policję, to wystarczy, żebyś jeszcze przez... trzydzieści sekund potrzymał mnie na muszce, Kenny.

W komórce rozległ się głos Angie:

- Cześć, Kenny. Cześć, Helene.
- Angie?
- Owszem. Jak leci?
- Och, dobrze wiesz.

Kenny nagle zrobił minę, jakby był bardzo zmęczony. Zdjął palec ze spustu i oddał mi pistolet.

- Jesteś upierdliwym sukinsynem - wycedził.

Włożyłem jego broń, S&W Sigma 9 mm, do kieszeni kurtki.

- Dziękuję - zwróciłem się do niego. Następnie odezwałem się do telefonu: - Zdzwonimy się później, skarbie.

- Jadąc do domu, kup butelkowaną wodę, dobrze? Aha, i pełne mleko na rano.

- Jasne. Coś jeszcze?

Kenny wywrócił oczami.

- Tak, ale zapomniałam, co to miało być.
- No to zadzwoń, gdy sobie przypominisz.
- Dobrze. Kocham cię.
- Ja też cię kocham. Przerwałem połączenie.
- Sophie?

Popatrzyła na mnie zaskoczona, że znam jej imię.

- A ty masz?
- Co?
- Pistolet, Sophie. Nosisz broń?
- Nie. Nienawidzę broni.
- Ja też.
- Ale ma pan pistolet w kieszeni.
- To się nazywa ironia. Bardzo jesteś naćpana w tej chwili?
- Nie, dobrze się czuję.
- Źle wyglądasz.
- Kim pan jest?
- To Patrick Kenzie. - Helene zapaliła papierosa. - Znalazł wtedy

Amandę.

Sophie objęła się ciasno ramionami; świeże kropelki potu wyszły jej na czoło.

- Helene? - Nie spuszczałem z niej wzroku.

- Co?

- Poczuję się lepiej, gdybyś położyła torebkę, którą trzymasz w rękach, na kanapie i odsunęła się od niej.

Położyła torebkę na kanapie i z powrotem stanęła obok Kenny'ego.

- Przejdźmy do jadalni.

Usiedliśmy przy karcianym stoliku; Kenny zapalił papierosa, a ja przyjrzałem się uważniej Sophie. Cały czas przesuwiała językiem po górnej wardze, tam i z powrotem, tam i z powrotem. Patrzyła to na prawo, to na lewo, to na prawo, to na lewo, jakby miała gałki oczne na łożyskach. Na zewnątrz było pięć stopni, a ona się pociła.

- Myślałem, że odpuszczisz - odezwał się Kenny.

- To źle myślałeś.

- Ona ci nie zapłaci.

- Kto?

- Bea.

- Ani Amanda - dodała Helene. - Nie będzie miała dostępu do swoich pieniędzy przez jeszcze, powiedzmy, rok.

- W takim razie rezygnuję - oświadczyłem. - Ale skoro już o tym mowa, to gdzie jest Amanda?

- Pojechała odwiedzić ojca w Kalifornii - oznajmiła Helene.

- Ma ojca w Kalifornii? - zdziwiłem się.
- Nie wyskoczyła z kapelusza - powiedziała Helene. - Miała matkę i ojca.
- Jak się nazywa jej ojciec?
- Jakbyś nie pamiętał.
- Pracowałem nad tą sprawą dwanaście lat temu, Helene. Nie, nie pamiętam.

- Bruce Combs.
- Ale przyjaciele nazywają go B Diddy?
- Co?
- Nieważne. Gdzie mieszka Bruce?
- W Salinas.
- Amanda tam poleciała?
- Tak.
- Na jakie lotnisko?
- W Salinas.
- W Salinas nie ma lotniska pasażerskiego. Musiała polecieć albo do Santa Cruz, albo do Monterey.

- Tak.
- Więc gdzie?
- Do Santa Cruz.
- Tam też nie ma lotniska pasażerskiego. Kiepska ta bajeczka o Salinas, Helene.

Kenny wypuścił kłęb papierosowego dymu i spojrzął na zegarek.

- Wybierasz się dokądś? - spytałem.

Pokręcił głową.

Siedząca za nim Sophie splatała i rozplatała palce, wpatrując się w jakiś punkt nad moją głową. Odwróciłem się i zobaczyłem zegar na ścianie. Zauważyłem, że Helene również spogląda w tamtą stronę.

- Nie jesteś nigdzie umówiony - zwróciłem się do Kenny'ego.

- Nie.

- Masz być tutaj - domyśliłem się.

- Trafieś.

- Ktoś przychodzi z wizytą.

Potwierdzenie zbiegło się z pukaniem w szklane drzwi za naszymi plecami.

Odwróciłem się na krzesło, a Kenny powiedział:

- Punktualne sukinsyny, trzeba przyznać.

Dwaj mężczyźni po drugiej stronie szyby nie byli specjalnie wysocy, lecz stanowili ilustrację słowa „barczysty”. Obaj mieli na sobie czarne skórzane kurtki do połowy uda. Ten po lewej ściągniętą paskiem, drugi rozpiętą. Obaj nosili golfy - ten po lewej biały, jego partner niebieski. Ten po lewej miał czarną brodę, ten po prawej jasną. Obaj mieli mnóstwo włosów na głowie, krzaczaste brwi i wąsy tak gęste, że można by w nich ukryć portmonetkę. Ten po lewej zapukał jeszcze raz, pomachał, a potem uśmiechnął się szeroko, pokazując wszystkie zęby. Następnie szarpnął drzwiami, próbując je otworzyć. Nie ustępowały, więc przekrzywił głowę i popatrzył na nas przez szybę; uśmiech powoli zamierał mu na twarzy.

Helene poderwała się z miejsca i odblokowała zamek. Mężczyzna z ciemnymi włosami odsunął drzwi, szybko wszedł do środka i biorąc twarz Helene w dłonie, zapytał:

- Panno Helene, jak się dzisiaj miewasz?

Pocałował ją w czoło. Następnie puścił gwałtownie, aż się zatoczyła. Łącząc z kłaśnięciem potężne dłonie, wszedł do jadalni i znów uśmiechnął się od ucha do ucha. Jego kompan zamknął drzwi, też wszedł do pokoju i zapalił papierosa. Obaj mieli długie włosy, rozdzielone pośrodku przedziałkiem, à la Stallone około 1981, i jeszcze zanim ten ciemnowłosy się odezwał, domyśliłem się, że pochodzą z Europy Wschodniej - na razie nie potrafiłem rozróżnić, czy są Czechami, Rosjanami, Gruzinami, Ukraińcami czy może Słoweńcami, ale akcent mieli tak samo gęsty, jak brody.

- Jak się masz, przyjacielu? - spytał mnie ten z ciemnymi włosami.

- Nieźle.

- Nieźle! - Wyraźnie mu się spodobało. - Znaczy, że dobrze?

- A ty? - odpowiedziałem pytaniem na pytanie.

Uniósł brwi rozbawiony.

- Mam się doskonale, przyjacielu. Po prostu super.

Usiadł na krzesło, które zwolniła Helene, i poklepał mnie po ramieniu.

- Robisz interesy z tym człowiekiem? - Wskazał kciukiem na Kenny'ego.

- Czasami.

- Powinieneś się trzymać od niego z daleka. On równa się kłopoty. Zły człowiek.

- Nie - zaprotestował Kenny.

Ciemnowłosa energicznie pokiwał głową.

- Możesz mi wierzyć. Widzisz, co robi tej biednej dziewczynie?

- Wskazał na Sophie, która stała oparta o lodówkę, drżąca i jeszcze bardziej spocona. - Mała dziewczynka, a dał jej duże prochy. To kawał gnoja.

- Wierzę ci.

- Powinieneś mi wierzyć, chłopie. Ten tu zgrywa kowboja. Nie słucha. Zawala interes.

- Gdybyś mógł powiedzieć Kiryłowi, że szukamy... Szukamy. Nic innego nie robimy.

Czarny uderzył mnie lekko w pierś wierzchem dłoni, szczerze rozba-
wiony.

- Powiedz Kiryłowi. Słyszałeś kiedyś coś tak głupiego? Co? Powiedz Kiryłowi! Jakby można było Kiryłowi coś tak po prostu powiedzieć. Kiryła się prosi. Błaga. Pada się przed nim na kolana. Ale powiedzieć mu? - Odwrócił się ode mnie i wbił wzrok w Kenny'ego.

- Co mu powiedzieć, gnojku? Że szukasz? Że przetrząsaszkrzaki, żeby znaleźć jego własność? - Poczęstował się papierosem z paczki, którą Kenny zostawił na stole. Zapalił go zapalniczką Kenny'ego, a potem rzucił mu ją na kolana. - Kirył powiedział mi dziś rano: „Jefim, skończ z tym. Dostyczekania. Dostyc tego pieprzenia”.

- Jesteśmy już bardzo blisko. Już prawie wiemy, gdzie ona jest - bronisz się Kenny.

Jefim przewrócił stół. Właściwie nie zauważyłem, żeby ruszył ręką, a stół nagle już nie stał przed nami, a co ważniejsze, nie rozdzielał Jefima i Kenny'ego.

- Mówiłem ci, kurwa, żebyś tego nie schrzanił. Robisz dla nas pieniądze, tak, tak, tak. Zawsze dostarczasz, co trzeba, tak, tak, tak. Tylko, kurwa, nie dostarczyłeś tego, czego chciał Kirył. Co więcej, nie dostarczyłeś tego, co chciała żona Kiryła, a jej bardzo na tym zależało. Ona jest... - Pstryknął kilka razy palcami, a potem obejrzał się na mnie przez ramię. - Jak mówimy, przyjacielu, kiedy ktoś nie znajduje już szczęścia w życiu i nic nie może tego zmienić?

- Ja bym powiedział, że taki ktoś jest niepocieszony.

Rozciągnął usta w uśmiechu, z jakim gwiazdy filmowe stąpają po czerwonym dywanie - ta sama moc, ten sam urok.

- Niepocieszona! - Pokazał mi uniesiony kciuk. - Masz rację, przyjacielu, dzięki. - Odwrócił się do Kenny'ego, a potem nagle się rozmyślił i znów spojrzał na mnie. - Nie, naprawdę. Dziękuję - powiedział bardzo łagodnie.

- Bardzo proszę.

- Porządny z ciebie gościu. - Poklepał mnie po kolanie i znów skierował uwagę na Kenny'ego. - Violeta jest niepocieszona, Kenny. Tak, jest niepocieszona, a Kirył kocha ją tak bardzo, człowieku, że też jest niepocieszony. A ty, ty miałeś to załatwić. Ale nie załatwiasz.

- Staram się.

Jefim nachylił się, jednocześnie ściszej głoś.

- Nie załatwiasz.

- Posłuchaj, spytaj kogo chcesz.

- Kogo mam pytać?

- Kogo chcesz. Cały czas szukam. Nic innego nie robię.

- Ale nie załatwiasz. - W ściszym głosie była groźba.

- Daj mi jeszcze parę dni - wyjęczał Kenny.

Jefim pokręcił swoją żubrzą głową.

- Jeszcze parę dni. Paweł, słyszysz, co on mówi?

- Słyszę - odparł blondyn stojący za Kennym.

Jefim przysunął swoje krzesło bliżej Kenny'ego.

- To ty uczysz Amandę wszystkiego, co umie. Więc jak to się stało, że cię przechytrzyła?

- Nauczyłem ją tego, co umie - przyznał Kenny. - Ale nie wszystkiego, co umie.

- No to chyba jest mądrzejsza od ciebie.

- O tak, jest mądra - odezwała się Helene od progu. - W szkole ma same najwyższe oceny. W zeszłym roku dostała nawet...

- Zamknij się, Helene - syknął Kenny.

- Dlaczego odzywasz się do niej w taki sposób? - Jefim spiorunował go wzrokiem. - Jest twoją kobietą. Powinieneś jej okazywać więcej szacunku.

- Zwrócił się do Helene: - Powiedz, co Amanda dostała? Jaką nagrodę?

- Taaak... - odpowiedziała Helene, rozciągając to słowo niemal na trzy sylaby. - Dostała złote wstążki, wyróżnienie za wyniki z trygonometrii, angielskiego i informatyki.

Jefim szturchnął Kenny'ego w kolano wierzchem dłoni.

- Ona dostała złote wstążki. A ty co?

Wstał, rzucił papierosa na dywan i zdeptał czubkiem buciora. Podniósł stolik z podłogi i ustawił na swoim miejscu. Przez dobrą minutę patrzyli na siebie z Pawłem, żaden nie mrugnął, tylko oddychali przez nos.

- Masz dwa dni - powiedział Jefim do Kenny'ego. - A potem lepiej się pożegnaj z matką, człowieku. Rozumiesz?

- Tak, tak, absolutnie. Tak.

Jefim pokiwał głową. Odwrócił się i podał mi rękę, którą uściśniłem. Popatrzył mi w oczy. Jego szafirowe tęczęwki przypominały płomień świecy wpełzający pod powierzchnię stopionego wosku.

- Jak ci na imię, przyjacielu?

- Patrick.

- Patricku. - Przyłożył dłoń do piersi. - Ja jestem Jefim Molkiewski. To jest Paweł Reszniew. Wiesz, kim jest Kirył?

Wolałbym nie wiedzieć.

- Zakładam, że masz na myśli Kiryła Borzakowa.

Potwierdził skinieniem.

- Bardzo dobrze, przyjacielu. A kim jest Kirył Borzakow?

- Biznesmenem z Czeczenii.

Kolejne skinienie.

- Biznesmenem, tak. Bardzo dobrze. Chociaż nie jest z Czeczenii. Jeśli jesteś słowiańskim biznesmenem w tym kraju, wszyscy myślą, że jesteś Czeczenem, albo - splunął na dywan - Gruzinem. Ale Kirył, tak jak ja i Paweł, jest Mordwinem. Zabieramy dziewczynę.

- Co?

Paweł przeszedł przez pokój i oderwał Sophie od ściany. Nie krzyczała, ale zaczęła płakać, potrząsając rękami uniesionymi na wysokość uszu, jakby się oganiała od os. Wolna dłoń Pawła pozostała schowana w kieszeni kurtki.

Jefim pstryknął palcami, po czym wyciągnął w moją stronę otwartą dłoń.

- Dawaj.
- Słucham?

Z jego oczu zniknęło wszelkie światło.

- Patrick, przyjacielu. Do tej pory byłeś mądry. Niech tak zostanie. - Poruszył palcami. - No już. Daj mi pistolet, który masz w lewej kieszeni.

- Puść mnie - powiedziała Sophie, ale bez ognia, z rezygnacją. Nie przestawała płakać.

Paweł stał odwrócony do mnie, z rękami w kieszeniach, czekając na instrukcje. Gdyby Jefim kichnął, Paweł wpakowałby mi kulkę w mózg, zanim ktokolwiek by zdążył powiedzieć: „Na zdrowie”.

Jefim znów poruszył palcami.

Wyjąłem pistolet z kieszeni, trzymając go dwoma palcami za rękojeść, i podałem Jefimowi. Schował go do kieszeni kurtki i skłonił mi się lekko.

- Dziękuję, przyjacielu. - Spojrzał na Kenny'ego. - Zabieramy ją. Może jeszcze raz zrobi nam przysługę. A może wypróbujemy na niej nową broń Pawła? Będziemy do niej strzelać, wiele razy.

Sophie krzyknęła przez łyzy, ale krzyk zabrzmiał jakoś słabo. Paweł przyciągnął ją do siebie, ale nie wyglądał na specjalnie przejętego.

- Tak czy inaczej - Jefim zwrócił się do Kenny'ego i Helene - ona teraz należy do nas. Już nigdy nie będzie wasza. Znajdźcie tę drugą dziewczynę. Znajdźcie własność Kiriya. Macie nam ją zwrócić do piątku. I lepiej, żebyś tego nie spieprzył, gnojku.

Znów pstryknął palcami i Paweł pociągnął Sophie, przede mną i przed Helene, do rozsuwanych szklanych drzwi. Jefim szturchnął mnie lekko pięścią w ramię.

- Bądź zdrow, przyjacielu. - Opuszczając jadalnię, ujął w dłonie twarz Helene i jeszcze raz pocałował ją w czoło, a potem mocno odepchnął. Tym razem upadła.

Stojąc do nas plecami, uniósł w górę palec.

- Nie rób ze mnie durnia, Kenny. Bo ja zrobię z ciebie sito.

I już ich nie było. Po kilku sekundach rozległ się odgłos zapalanej silnika; podbiegłem do kuchennego okna na czas, by zobaczyć furgonetkę Dodge Ram podskakującą na wyboistym terenie za domem.

- Macie jakąś inną broń? - spytałem.

- Co?

Popatrzyłem na Kenny'ego.

- Inny pistolet.

- Nie, człowieku.

Kłamał, oczywiście, ale nie miałem czasu na kłótnie.

- Jesteś dupkiem, Kenny.

Wzruszył ramionami i zapalił papierosa.

- Hej! - wrzasnął dopiero, kiedy zgarnąłem jego kluczyki z granitowego blatu w kuchni i wybiegłem na zewnątrz.

Na kolistym podjeździe stał żółty hummer. Namacalny dowód, jak ci w Detroit potrafią spieprzyć sprawę. Zupełnie bezużyteczne monstrum, tak paliwożerne, że sułtan Brunei bałby się nim jeździć. A my byliśmy zdziwieni, kiedy GM poprosił o dofinansowanie.

Już siedząc w hummerze, przez pół minuty miałem dogde rama w zasięgu wzroku. Podskakiwał, jadąc na przełaj przez pole, to się wynurzał, to zapadał w nierównościach terenu; za kierownicą było widać wyraźnie jasne włosy Pawła. Kiedy zjechali z pola i skierowali się na wschód, w stronę bramy, straciłem ich z oczu, ale miałem co najmniej pięćdziesiąt procent szans, że wjadą na drogę krajową numer 1. Kiedy wytoczyłem się z Sherwood Forest Drive na Robin Hood Boulevard, zobaczyłem ślady ich opon skracające za bramą w prawo, w stronę drogi numer 1. Wcisnąłem pedał gazu, ostrożnie, żeby nie przedobrzyć i nie wjechać im w kufer.

Jednak mało brakowało, bym to zrobił. Kiedy wdrapałem się na szczyt wzniesienia, ujrzałem ich w dole; stali na czerwonym świetle przed sklepem spożywczym, w którym znajdowała się również poczta. Próbowałem zwolnić na tyle płynnie, na ile się dało, opuściłem nisko głowę, jakbym sprawdzał coś na mapie rozłożonej na siedzeniu. Tylko że w żółtym hummerze tak samo trudno nie rzucić się w oczy, jak wchodząc nago do kościoła. Gdy znów podniosłem wzrok, światło zmieniło się na zielone i wystartowali z miejsca szybko, lecz bez palenia opon.

Po mniej więcej piętnastu kilometrach dotarli do drogi numer 1 i skręcili na północ. Odczekałem trzydzieści sekund i ruszyłem ich śladem. Ruch nie był gęsty, ale też nie bardzo mały, więc z łatwością odsunąłem się od nich o kilka długości samochodu i dwa pasy. Kiedy człowiek stara się pozostać niezauważony w żółtym hummerze, każdy najdrobniejszy szczegół może być pomocny.

Tylko samobójca naraża się rosyjskim gangsterom. A ja lubiłem życie. Bardzo lubiłem. Dlatego nie miałem zamiaru robić nic poza tym, że ich śledziłem, by zobaczyć, dokąd zabierają Sophie. Postanowiłem, że gdy tylko poznam adres, zadzwonię pod 911 i będę miał to z głowy.

I to właśnie powiedziałem mojej żonie.

- Zejdz im z ogona - zażądała. - Natychmiast.

- Nie siedzę im na ogonie. Jestem pięć aut za nimi i dzielą mnie od nich dwa pasy. Poza tym wiesz, jaki jestem dobry w te klocki.

- Wiem. Ale oni mogą być lepsi. Jedziesz pieprzonym żółtym hummerem. Po prostu zobacz ich numery rejestracyjne, zadzwoń na policję i spadaj.

- Myślisz, że jeżdżą na prawdziwych tablicach? Daj spokój.

- Ty daj spokój. Mogą być cholernie niebezpieczni. Bubba uważa, że ruska mafia jest zbyt nieprzewidywalna, żeby z nią mieć do czynienia.

- Też tak uważam. Mam zamiar tylko obserwować i zdawać relację. Oni porwali nastoletnią dziewczynę, Angie.

W tym momencie gdzieś w tle rozległ się głos mojej córki.

- Cześć, tatusiu.

- Chcesz, żebym ci ją dała do telefonu?

- To chwyć poniżej pasa.

- Nigdy nie twierdziłam, że walczę uczciwie.

Minąłem Gillette Stadium po prawej. Kiedy w środku nie odbywał się żaden mecz, stadion wydawał się ogromny i opuszczony. Obok było centrum handlowe, na parkingu stało kilka samochodów. Przede mną Paweł włączył prawy kierunkowskaz i zmienił pas.

- Niedługo będę w domu. Kocham cię - powiedziałem, kończąc rozmowę.

Zmieniłem pas na inny, potem na jeszcze inny. Pomiędzy mną i ich dodge ramem był już tylko PT cruiser, więc utrzymywałem odległość co najmniej trzydziestu metrów.

Na następnym skrzyżowaniu furgonetka skręciła w prawo w North Street, a następnie jeszcze raz w prawo na plac pełen przyczep ciężarowych ustawionych wzdłuż długiego białego terminalu załadunkowego. Z drogi widziałem, jak ram jedzie zwirową ścieżką wzdłuż rzędu przyczep, a potem skręca w lewo na tyły terminalu.

Wjechałem na plac i podążyłem za nimi. Po prawej miałem mur oporowy przejazdu nad drogą numer 1. Poniżej biegły tory prowadzące na północ do centrum miasta, a na południe do Providence. Po lewej stały przyczepy ustawione tyłem do ramp, z których odbywał się załadunek. Na jednej z nich paru muskularnych mężczyzn prze-pychało się przez zasłone z gęsto rozmieszczonych pasków plastiku, żeby załadować pudła na przyczepę z tablicami z Connecticut.

Przy końcu ścieżki tory odchodziły na prawo, natomiast brązowa gruntowa droga skręcała w lewo. Ja też skręciłem w lewo, okrążając terminal. Furgonetka stała na środku ścieżki jakieś piętnaście metrów przede mną. Miała zapalone światła parkowania. Silnik pracował na wolnych obrotach. Drzwi od strony pasażera były szeroko otwarte.

Jefim wyskoczył ze środka, dokręcając tłumik do lufy półautomatycznego pistoletu. W czasie, którego potrzebowałem, żeby się rozeznać w sytuacji, zrobił pięć kroków i wyciągnął rękę przed siebie. Pierwszy strzał wybił dziurę w mojej przedniej szybie. Cztery kolejne podziurawiły opony w przednich kołach. Powietrze zaczęło uchodzić z sykiem, kiedy szósty strzał dodał drugą dziurę w przedniej szybie. Od dziury rozeszła się siatka spękań, coraz szersza, aż szyba zaczęła trzaskać jak popcorn w mikrofalówce. A potem się rozsypała. Dwa następne strzały przedziurawiły maskę, jakkolwiek nie mogę być pewny, ile ich było i w co trafiły, bo leżałem skulony na przednim siedzeniu, zasypany szkłem.

- Hej, człowieku - odezwał się Jefim. - Hej, człowieku.

Strząsnąłem grudki szkła z włosów i z twarzy.

Jefim nachylił się do środka, opierając łokcie na ramie okna; pistolet z tłumikiem dyndał mu w prawej dłoni.

- Prawo jazdy i dowód rejestracyjny.

- Niezłe kopyto. - Przyjrzałem się jego broni.

- Żadne kopyto. Mówię serio. Prawo jazdy i dowód rejestracyjny.

- Postukał tłumikiem w karoserię. - Szybko, człowieku.

Usiadłem i zacząłem szukać dowodu rejestracyjnego. Znalazłem, był zatknięty za osłonę przeciwsłoneczną. Podałem mu go razem z moim prawem jazdy. Obejrzał dokładnie dokumenty, po czym oddał mi sam dowód.

- Jest zarejestrowany na tego gnojka Kenny'ego. Gnojek Kenny jeździ głównianym żółtym hummerem. Wiedziałem, że nie jest twój. Masz za dobry gust, człowieku.

Strzepnąłem szkło z kurtki.

- Dzięki.

Pomachał w powietrzu moim prawem jazdy, po czym schował je do kieszeni.

- To zatrzymam. Żebyś zapamiętał, Patricku Kenzie z Taft Street. Teraz wiesz, że ja wiem, kim jesteś i gdzie mieszkasz ze swoją rodziną... Bo masz rodzinę, prawda?

Potwierdziłem.

- No to wracaj do rodziny. I mocno ich wszystkich uściskaj.

Jeszcze raz postukał pistoletem w drzwi auta i wrócił do swojej furgonetki. Wsiadł, zamknął drzwi i odjechali.

Rozdział 16

Dowiedziałem się o hummerze jednej pozytywnej rzeczy - całkiem dobrze się prowadził bez powietrza w przednich kołach. Obserwowany przez kilku dzielnych kierowców ciężarówek i ładowaczy, którzy wyszli z najbliższej rampy, wycofałem się jakieś dwadzieścia metrów, zakręciłem niemal w miejscu, wrzuciłem bieg i ruszyłem w stronę torów. Przednie koła kłapały, zagłuszając okrzyki gapiów, z których żaden jakoś nie próbował mnie gonić; widok SUV-a z ośmioma świeżymi dziurami po kulach nie zachęca do konfrontacji z jego właścicielem.

Czy raczej, jak w tym wypadku, użytkownikiem. To Kenny mógł się spodziewać problemów, kiedy policja znajdzie samochód i sprawdzi, na kogo jest zarejestrowany. Nie moje zmartwienie. Przejechałem kilkaset metrów wzdłuż torów do drogi prowadzącej na parking przy Gillette Stadium. Stały tam jedynie auta zarządu Patriot Place, część przeznaczona dla fanów drużyny świeciła pustkami. Inne samochody było widać dopiero na terenie otaczającego stadion centrum handlowego. Tam doprowadziłem hummera, po drodze zacierając ślady. Wytarłem chusteczką siedzenie, kierownicę i deskę rozdzielczą. Jestem pewien, że nie pozbyłem się wszystkich odcisków palców, jakie tam zostawiłem, ale to nieważne. Wiedziałem, że nikt nie będzie zbyt dokładnie badał wnętrza hummera, skoro jest zarejestrowany na byłego więźnia mieszkającego dwa kilometry od stadionu.

Zaparkowałem w najodleglejszym rzędzie i ruchomymi schodami pojechałem do kina. To było Cinema De Lux, więc mogłem usiąść na balkonie i zostać obsłużony jak w restauracji, płacąc dwadzieścia dolarów za obejrzenie filmu, który za trzy miesiące mógłbym pożyczyć na DVD za dolara, ale moja uwaga skupiona była na czymś innym. Znalazłem toaletę dla

niepełnosprawnych, obszerną i z umywalką. Zamknąwszy drzwi, zdjąłem kurtkę i wytrzeptałem z niej grudki szkła. Zrobiłem to samo z koszulą, a potem używając garści papierowych ręczników, zgarnąłem szkło w kąt pomieszczenia. Włożyłem koszulę, starając się nie zwracać uwagi na drżenie rąk, co było trudne, bo trzęsy się tak, że nie mogłem zapiąć guzików. Chwyciłem się umywalki, zgiąłem w pół i wykonałem parę głębokich oddechów. Za każdym razem, kiedy zamknąłem oczy, widziałem Jefima. Szedł ku mnie, wyciągnął rękę, jakby od niechcenia strzelił w przednią szybę; gdyby sytuacja tego wymagała, bez wahania zakończyłby moje życie. Otworzyłem oczy. Popatrzyłem w lustro, ochlapałem twarz wodą i znów patrzyłem na swoje odbicie trochę dłużej, aż stwierdziłem, że wyglądam w miarę normalnie. Zmoczyłem sobie kark i spróbowałem zapiąć koszulę. Ręce mi się trzęsły, ale już nie tak bardzo, i wreszcie się udało. Pięć minut później opuściłem toaletę.

Wróciłem na dół ruchomymi schodami. Przed kinem zatrzymała się ciemnozielona taksówka. Podałem kierowcy adres dwa domy od miejsca, gdzie zostawiłem swoje auto. Za hummerem stał samochód ochrony z migającymi światłami na dachu. Kiedy wyjeżdżaliśmy z parkingu, minął nas radiowóz miejscowej policji. Kenny'emu zostało niewiele czasu.

Taksówka podwiozła mnie przed dom na Tuck Terrace. Dałem kierowcy sowity napiwek, jednak nie aż tak sowity, by mógł mnie rozpoznać w razie okazania. Kiedy zawracał, podszedłem do domu i udawałem, że wkładam klucz do zamka we frontowych drzwiach. Dopiero gdy odjechał, przeszedłem do miejsca, gdzie zostawiłem jeepa, a potem przez na w pół wykończony bungalow i łąkę piasku dotarłem pod rozsuwane szklane drzwi w domu Kenny'ego i Helene. Nie były zamknięte na klucz, więc wszedłem do środka i stojąc, przyglądałem się, jak Kenny upycha laptopy w płóciennej torbie leżącej na podłodze, a Helene pakuje kable.

Zauważył mnie.

- Masz moje kluczyki? - spytał.

Poklepałem się po kieszeni i znalazłem je, ku swojemu zaskoczeniu.

- Proszę. - Rzuciłem mu kluczyki.

Zasunął zamek w torbie i podniósł ją z podłogi.

- Gdzie jest zaparkowany?
- Taaak... Chodzi o to, że...

- Nie mogę uwierzyć, że zabiłeś moje auto - powiedział Kenny, kiedy mijaliśmy moim jeepem pustą budkę ochrony Nottingham Hill.

- Nie ja. Jefim.
- Jak mogłeś je tam tak po prostu zostawić.

- Kenny, twój hummer wygląda jak autobus na końcu filmu „Wyzwanie”. Mógłby go podstawić pod twój dom jedynie transportowiec powietrzny ONZ.

Dojechaliśmy do świateł, gdzie omal nie wpadłem na furgonetkę Jefima i Pawła. Z przeciwnego kierunku nadciągała w pośpiechu cała armada policyjnych radiowozów. Kiedy przejechawszy na czerwonym świetle, mijają nas z rykiem syren, Kenny i Helene zapadli się w głąb foteli. Po piętnastu sekundach cztery radiowozy zniknęły za wzniesieniem, jakby w ogóle nigdy ich nie było. Spojrzałem na Kenny'ego, skulonego pod deską rozdzielczą.

- Ładnie - mruknąłem.

- Nie lubimy zwracać na siebie uwagi - odezwała się Helene z tylnego siedzenia.

- I dlatego jeździcie żółtym hummerem - domyśliłem się.

Światło zmieniło się na zielone. Wjechawszy na drogę krajową numer 1, znów minęliśmy stadion. Hummera otaczały miejscowa i stanowa policja, czarny samochód techników kryminalistyki i dwa mikrobusy stacji telewizyjnych. Kenny omiółł wzrokiem swój pojazd - przestrelone opony, rozbita szyba, uszkodzona maska. Na parking wjechał kolejny samochód mediów. W górze krążył helikopter.

- Cholera, Kenny, jesteś sławny.

- Nie możesz pozwolić człowiekowi spokojnie pograć się w żałobie?

Zatrzymaliśmy się w Dedham, za hotelem Holiday Inn, przy skrzyżowaniu drogi numer 1 z 1-A.

- Dobrze - powiedziałem. - Na wypadek, gdybyście tego nie wiedzieli, oboje jesteście spaleni. Widziałem, jak zgarniacie komputery, ale jestem pewien, że coś zostało w domu, coś, co was powiąże z oszustwami i

kradzieżami tożsamości. Nie wspominając już o metaamfetaminie w mikrofalówce. Nie jestem w tym tak dobry, jak większość gliniarzy, więc przyjmijmy, że do południa zdążą wam postawić zarzuty, a jeszcze przed kolacją wyruszą na poszukiwania z nakazem przeszukania bez uprzedzenia.

- Nie umiesz blefować. - Helene zapaliła papierosa.

- Tak sądzisz? - Sięgnąłem ponad zagłówkiem, wyjąłem jej papierosa z ust i wyrzuciłem przez okno przed nosem Kenny'ego. - Mam czteroletnią córkę. Jeździ tym autem.

- I co z tego?

- To, że nie chcę, by chodziła na plac zabaw, cuchnąc jak popielniczka.

- Jaki delikatny...

Wyciągnąłem do niej rękę.

- Co?

- Dawaj paczkę.

- Nie. Proszę...

- Dawaj.

- Oddaj mu, Helene. - Kenny machnął ręką.

Podala mi papierosy, a ja schowałem je do kieszeni.

- Więc jak? Masz dla nas jakieś rozwiązanie? - spytał.

- Nie wiem. Powiedz mi, czego Kirył Borzakow chce od Amandy.

- A kto powiedział, że chodzi mu o Amandę?

- Jefim.

- No dobra.

- Co takiego ma Amanda, czego mogą od niej chcieć?

- Rozwaliła paczkę z towarem i uciekła, zabierając ze sobą.

Wydałem dźwięk naśladujący sygnał na meczach NBA, kiedy kończy się czas na rzuty.

- Gówno prawda.

- Nie, serio - potwierdziła Helene, patrząc na mnie wytrzeszczonymi oczami.

- Wysiadać z mojego auta.

- Nie, posłuchaj.

Otworzyłem drzwi od strony pasażera, sięgając Kenny'emu przed nos.

- Do zobaczenia.

- No nie...

- Mamy niecałe dwa dni, żeby wymienić to, co ma Amanda, na Sophie. Wiem, że was nie obchodzi życie nastoletniej dziewczyny, ale jestem pod tym względem staromodny i mnie obchodzi.

- To idź na policję.

Pokiwałem głową, jakby rada była całkiem słuszna.

- Zeznawać przed sądem przeciw rosyjskiej mafii. - Podrapałem się po brodzie. - Nim moja córka będzie mogła wyjść z programu ochrony świadków, skończy pięćdziesiąt cztery lata. - Popatrzyłem na Kenny'ego. - Nikt nie pójdzie na policję.

- Możesz mi oddać papierosy? - upomniała się Helene. - Proszę.

- Masz zamiar palić w moim samochodzie?

- Otworzę drzwi.

Rzuciłem paczkę na siedzenie obok niej.

- Więc na czym stoimy? - spytał Kenny.

- Tak jak mówiłem, musimy dokonać wymiany. Im bardziej oboje będziecie mnie zwodzić i nie powiecie, czego naprawdę chcą od Amandy, tym mniejsze szanse będzie mieć Sophie na doczekanie piątku w jednym kawałku.

- Już ci mówiliśmy - upierał się Kenny. - Amanda rozwaliła ich...

- To klejnot - odezwała się Helene. Otworzyła tylne drzwi na całą szerokość i postawiwszy jedną nogę na ziemi, zapalała papierosa. Wydmuchując dym na zewnątrz, popatrzyła na mnie z taką miną, jakby pytała, czy jestem zadowolony.

- Klejnot.

Potwierdziła skinieniem. Kenny zamknął oczy i oparł głowę o siedzenie.

- Tak. Nie pytaj mnie, jak wygląda ani jak wpadł w jej ręce, ale ukradła ten, jak mu tam, krucyfiks?

- To nie krucyfiks - włączył się Kenny. - Tak przynajmniej sądzę. Ale nazywają go „krzyżem”. - Wzruszył ramionami. - Tylko tyle nam wiadomo.

- Nie wiecie, jakim sposobem krzyż trafił do jej rąk?

Kolejny przeczący ruch głową.

- Nie.

- Zatem nie macie pojęcia, w jaki sposób ten krzyż mógł się dostać w ręce Amandy ani dlaczego zadawała się z rosyjską mafią. To próbujecie mi wciskać?

- Nie ograniczamy jej - odparła Helene tonem wyjaśnienia.

- Co?

- Mówię o Amandzie. Pozwalamy jej samej decydować. Nie kontrolujemy jej cały czas. Okazujemy jej szacunek jako osobie.

Przez chwilę spoglądałem za okno. Przedłużającą się ciszę przerwała Helene.

- O czym myślisz?

Odwróciłem się i spojrzałem na nią ponad zagłówkiem.

- Myślę, że nigdy w życiu nie miałem ochoty uderzyć żadnej kobiety, ale przy tobie zaczynam być jak Ike Turner.

Wyrzuciła niedopałek na parking.

- Jakbym nigdy wcześniej tego nie słyszała.

- Gdzie. Ona. Jest.

- Nie. Wiemy - wycodziła Helene. Wytrzeszczyła oczy jak podkręcona dwunastolatka, co specjalnie nie dziwiło, zważywszy na stopień jej rozwoju emocjonalnego.

- Gówno prawda.

- Człowieku, nauczyłem tę dziewczynę, jak się stwarza nową tożsamość, i to tak dobrze, że może wstąpić do CIA - mówił Kenny. - Całkiem prawdopodobne, że stworzyła kilka, o czym nie wiedziałem, i teraz z którejś korzysta. Założę się, że ma kartę ubezpieczenia społecznego i akt urodzenia, do których nie można się przyczepić. Te dwie rzeczy wystarczą, żeby w cztery godziny stworzyć historię kredytową sięgającą dziesięciu lat. A wtedy? Cholera. Ten kraj jest jednym wielkim bankomatem.

- Powiedziałeś Jefimowi, że jesteś blisko - przypomniałem mu.

- Powiedziałbym sukinsynowi wszystko, co chciał usłyszeć, byle się wyniósł z mojej kuchni.

- Więc wcale nie jesteś blisko.

Pokręcił głową.

Spojrzałem na Helene we wstecznym lusterku. Wykonała ten sam gest.

Znów zapadła cisza.

- Co mi po was? - powiedziałem, włączając silnik jeepa. - Wysiadajcie.

Byłem umówiony na piwo z Mikiem Colette'em, moim kolegą, posiadaczem sieci hurtowni. Podejrzewając defraudację, wynajął mnie, żebym sprawdził jego pracowników. Wykryłem coś, co nie mogło mu się spodobać. Myślałem o odwołaniu spotkania, bo wciąż jeszcze nie wyszedłem z szoku po ośmiu kulach wystrzelonych w moją stronę, ale mieliśmy się spotkać w West Roxbury, a już byłem po tej stronie miasta, więc zadzwoniłem do niego na komórkę i powiedziałem, że jestem w drodze.

Siedział przy stoliku koło okna w restauracji West on Centre i pomachał do mnie, kiedy stanąłem w drzwiach, mimo iż był jedynym klientem w tej części sali. Nic się nie zmienił od czasu, gdy się poznaliśmy na uniwersytecie, poważny, solidny, z wrodzonym poczuciem przyzwoitości. Nie zdarzyło się, żeby ktoś go nie lubił. Pośród naszych kolegów funkcjonowało przekonanie, że jeśli nie lubiłeś Mike'a, to nie mówiło nic o Mike'u, ale wszystko o tobie.

Był niewielkiego wzrostu, miał krótko obcięte kręcone czarne włosy i uścisk dłoni, który czuło się w każdej kości w ciele. Zaprezentował mi go, kiedy podszedłem do stolika, nieprzygotowany na to, co mnie czeka, z powodu rozkojarzenia. Omal nie padłem na kolana, pewny, że czeka mnie leczenie zespołu kanału nadgarstka.

- Zamówiłem dla ciebie. - Wskazał na piwo.

- Dzięki.

- Masz na coś ochotę? Jakąś przekąskę?

- Nie, dziękuję.

- Jesteś pewien? Wyglądasz na skonanego, stary.

Pociągnąłem łyk piwa.

- Zadarłem z pewnymi Rosjanami.

Podniósł do ust oszroniony kufel.

- Są prawdziwą zakałą w branży transportowej, stary. Nie mam na myśli wszystkich Rosjan, tylko ludzi Kiryła Borzakowa. Trzymaj się z daleka od tych typów.

- Za późno.

- Bez jaj? - Odstawił kufel. - Masz na pieńku z ludźmi Borzakowa?

- Yhm.

- Kiry! nie jest zwykłym bandziorem, stary. On jest porąbanym bandziorem. Słyszałeś, że znów został zatrzymany za jazdę po pijaku i do tego po dragach?

- Tak, w zeszłym tygodniu.

- Zeszłej nocy. - Mike podsunął mi zwiniętego „Heralda”. - To już przechodzi ludzkie pojęcie.

Znalazłem notatkę na stronie szóstej: przyprowadził swój samochód z rozsuwanym dachem do myjni. W połowie usługi stracił cierpliwość. Była to zła wiadomość dla auta przed nim. Kirył wjechał w nie. Auto zostało wypchnięte z myjni, ale silnik samochodu Borzakowa zgasł. Policja znalazła go na parkingu, pokrytego pianą, kiedy próbował atakować wycieraczką wyrwaną z własnego pojazdu Panamczyka obsługującego pompę paliwa. Został obezwładniony przez czterech funkcjonariuszy policji stanowej. Alkomat pokazał wynik jak w meczu NBA po pierwszej kwarcie, policjanci znaleźli też pół grama kokainy w samochodzie, w schowku przy siedzeniu. Potrzebował czasu do kolacji, żeby zgromadzić pieniądze na kaucję. Z boku wypisane były nazwiska czterech osób, które zostały zamordowane w ostatnim roku, jak podejrzewano, na jego zlecenie.

Poskładałem gazetę.

- Czyli nie to, że jest zabójcą, powinno mnie martwić, tylko że jest zabójcą przeżywającym jakieś załamanie psychiczne.

- Na początek. - Palcem wskazującym dotknął nosa. - Chodzą słuchy, że sam korzysta z towaru, którym handluje.

Wzruszyłem ramionami. Ludzie, ależ miałem dość tego gówna.

- Patrick, bez urazy, nie myślałeś kiedyś, żeby się zająć czymś innym?

- Jesteś drugą osobą, która mnie dziś o to pyta.

- Po tym lunchu mogę potrzebować nowego kierownika, a ty przecież pracowałeś w transporcie drogowym przez cały college, jeśli dobrze pamiętam.

Nie przyjąłem oferty.

- Mam już pracę. Dziękuję, Mike.

- Nigdy nie mów nigdy. Może warto się zastanowić.

- Doceniam troskę. Pogadajmy o twojej sprawie.

Splótł dłonie i pochylił się nad stolikiem.

- Jak sądzisz, kto cię skubie? - spytałem.
- Kierownik nocnej zmiany, Skip Feeney.
- To nie on.

Brwi Mike'a podjechały w górę.

- Też myślałem, że to on. Nie twierdzą, że jest w stu procentach godny zaufania. Podejrzewam, że od czasu do czasu podbiera paczkę towaru z ciężarówki. Gdybyś poszedł do jego domu, prawdopodobnie znalazłbyś sprzęt stereo właśnie taki, jakiego brakuje, czy coś w tym rodzaju. Ale on może pochachmęcić jedynie z listami przewozowymi. Nie ma możliwości dobrania się do faktur. A faktury, Mike, są tu kluczowe. W niektórych wypadkach jesteś kasowany podwójnie lub potrójnie za przewóz towarów, które ani od ciebie nie wychodzą, ani nie docierają do celu, bo nie istnieją.

- Rozumiem - powiedział wolno.

- Ktoś zamawia pięć palet tłumików Flowmaster. Zgadza się?

- Tak, mniej więcej. Sprzedamy je wszystkie do lipca, ale gdybyśmy czekali z zamówieniem do kwietnia, cena wzrosłaby o kolejne sześć lub siedem procent. To rozsądne ryzyko, chociaż towar zajmuje miejsce.

- Ale masz w hurtowni tylko cztery palety. I faktura opiewa też na cztery. Tymczasem zapłacono za pięć. I sprawdziłem: przysłali pięć. - Wyjąłem z torby na laptop notepadą i otworzyłem. - Co możesz mi powiedzieć o Michelle McCabe?

Odchylił się na krześle, twarz mu spochmurniała.

- Kierowniczką działu windykacji. Żona mojego kolegi. Bliskiego kolegi.

- Przykro mi, stary. Naprawdę mi przykro.

- Jesteś pewien?

Sięgnąłem do torby i wyjąłem papiery dotyczące sprawy. Przesunąłem je po blacie w jego stronę.

- Przyjrzyj się pierwszym dwudziestu fakturom. Te są trefne. Dołączyłem faktury dostarczone firmom, żebyś mógł porównać.

- Dwadzieścia?

- Może być więcej, ale te wystarczą dla każdego sądu, gdyby kiedyś chciała cię pozwać. Albo gdyby złożyła skargę do sądu pracy czy próbowała cię oczernić. Jeśli chcesz, żeby ją aresztowano...

- Ależ skąd!

Właśnie takiej reakcji mogłem się po nim spodziewać.

- Wiem, wiem. Ale gdyby jednak, wszystkie dowody, jakich potrzebujesz, są tutaj. Mike, powinieneś przynajmniej zażądać, żeby ci zapłaciła odszkodowanie.

- Ile?

- Za sam ten rok? Oskubała cię na minimum dwadzieścia tysięcy.

- Jezu.

- Mówię tylko o tym, co odkryłem. Prawdziwy audytor, wiedzący, gdzie szukać, kto wie co by znalazł?

- Mamy kryzys, a ty mi mówisz, że muszę wylać kierowniczkę działu windykacji i szefa zmiany?

- Z różnych powodów, ale tak.

- Chryste.

Zamówiliśmy jeszcze dwa piwa. Lokal zaczął się wypełniać; wzmógł się też ruch na Centre Street. Po drugiej stronie ulicy ludzie podjeżdżali pod The Continental Shoppe, żeby odebrać swoich pupili z psiego salonu piękności. Naliczyłem dwa pudle, jednego beagle'a, jednego owczarka szkockiego i trzy mieszańce. Pomyślałem o Amandzie i jej zamiłowaniu do psów - jedynej prawdziwie ludzkiej cesze, jaką jej przypisywano.

- Dwadzieścia tysięcy. - Mike wyglądał, jakby ktoś go walnął kijem baseballowym w brzuch, a potem jeszcze dołożył mu po twarzy. - W zeszłym tygodniu byłem u nich na proszonym obiedzie. W lecie poszliśmy kilka razy na mecz Soxów. Chryste, dwa lata temu zaczęła dla mnie pracować. Dałem jej ekstra tysiąc jako premię na Boże Narodzenie, bo wiedziałem, że komornik ma im zająć samochód. Ja po prostu... - Uniósł ręce i bezradnym gestem splótł je z tyłu głowy. - Mam czterdzieści cztery lata i zupełnie się nie znam na ludziach. Po prostu ich nie rozumiem. - Położył ręce z powrotem na stole. - Nie rozumiem - powtórzył szeptem.

Nienawidziłem swojej pracy.

Rozdział 17

Od mojego spotkania z Jefimem minęło parę godzin, a ja wciąż nie mogłem się otrząsnąć. Dawniej odreagowałem przy drinku, jednym lub sześciu szklaneczkach, może bym zadzwonił do Oscara i Devina, żeby się z nimi spotkać w jakiejś dziurze i pożartować z siebie nawzajem, co zwykle robiliśmy w przypadkach zetknięcia się z przemocą.

Oscar i Devin już przed laty przestali chodzić na drinka, bo kupili na spółkę podupadły bar w Greenwood w stanie Missisipi, skąd pochodziła rodzina Oscara. Bar znajdował się na tej samej ulicy co rzekome miejsce pochówku Roberta Johnsona, więc zorganizowali tam klub bluesowy. Ostatnio, gdy o nim słyszałem, wciąż cienko prządl, ale Oscar i Devin byli zbyt pijani, żeby się tym przejmować, a piątkowe grille, które urządzali na parkingu przed barem, zdążyły się już stać miejscową legendą. Było pewne, że nigdy nie wróca.

Tak więc to wyjście dla mnie odpadało. Co nie znaczy, że w ogóle to było jakieś wyjście. Tak naprawdę pragnąłem wrócić do domu. Przytulić córkę, przytulić żonę. Wejść pod prysznic i zmyć z siebie zapach strachu. Właśnie to planowałem, jadąc Arborway w stronę Franklin Park, żeby skrótem dostać się do mojej części miasta, kiedy zadzwoniła komórka, a na wyświetlaczu zobaczyłem nazwisko Jeremy'ego Denta.

- Cholera jasna - powiedziałem na głos. W odtwarzaczu miałem płytę *Sticky Fingers*, włączoną na cały regulator, tak jak się powinno zawsze słuchać *Sticky Fingers*, i akurat zaraz miało lecieć „Dead Flowers”, które zawsze śpiewam razem z Jaggerem, wygłupiając się przy słowach „Kentucky Derby Day”.

Ściszyłem muzykę i odebrałem telefon.

- Wesołych prawie świąt - usłyszałem.
- Wesołych prawie ferii świątecznych - odpowiedziałem.
- Masz minutę, żeby wstąpić do biura?
- Teraz?

- Teraz. Mam dla ciebie gwiazdkowy prezent.

- Doprawdy.

- Tak. Nazywa się stała posada. Chcesz o tym pogadać?

Pomyślałem o ubezpieczeniu zdrowotnym. O przedszkolu. Funduszu na college. Nowym tłumiku.

- Już jadę.

- To do zobaczenia. - Rozłączył się.

Byłem w połowie Franklin Park. Gdybym trafił na zielone światło na Columbia Road, za dziesięć minut byłbym w domu. Zamiast tego skręciłem w lewo na Blue Hill Avenue i skierowałem się z powrotem do centrum.

- Rita Bernardo podjęła pracę w Dżakarcie, wyobraź sobie.

- Jeremy Dent odchylił się na oparcie krzesła. - Biznes ochroniarski tam teraz kwitnie, przy tych wszystkich wspaniałych dżihadzistach - niedobrze dla świata, ale świetnie dla naszych dochodów.

- Wzruszył ramionami. - Tak czy inaczej, wyjechała pilnować tamtejszych dyskotek przed wysadzeniem w powietrze i zwolniła stanowisko, które chcielibyśmy zaproponować tobie.

- Gdzie jest haczyk?

Nalał sobie drugą porcję szkockiej i pochylił butelkę w stronę mojej szklanki. Powstrzymałem go odmownym machnięciem.

- Nie ma haczyka. Po bardziej dogłębnym rozpatrzeniu sprawy doszliśmy do wniosku, że twoje talenty śledcze, nie mówiąc już o doświadczeniu na tym polu, są zbyt cennym dobrem, żeby ich nie wykorzystać. Możesz zacząć od zaraz.

Pchnął w moją stronę teczkę, która przejechała po blacie biurka i wylądowała mi na kolanach. Otworzyłem ją. Po wewnętrznej stronie znajdowała się przypięta spinaczem fotografia młodego człowieka, może trzydziestoletniego. Wydawał mi się znajomy. Szczupły, z mocno skręconymi włosami, o skórze koloru kawy z mlekiem; gdyby jego nos wydłużył o pół cala, przypominałby dziób. Był ubrany w białą koszulę, wąski czerwony krawat i trzymał w ręku mikrofon.

- Ashraf Bitar - powiedział Jeremy. - Dla niektórych Baby Barack.

- Działacz społeczny w Mattapan - dodałem, rozpoznawszy go. - Zwalczał plan budowy stadionu.

- Zwalczał wiele rzeczy.
- Uwielbia kamery - dodałem.
- Jest politykiem. To z definicji czyni go narcyzem pierwszej kategorii.

I niech cię nie zmylą korzenie z Mattapan i adres w Mattapan. Ubiera się u Louisa.

- Za co? Mając sześćdziesiąt tysięcy rocznie?

Jeremy wzruszył ramionami.

- Czego potrzebujesz? - spytałem.
- Wziąć całe jego pieprzone życie pod mikroskop.
- Kim jest klient?

Pociągnął łyk szkockiej.

- Nieistotne dla twoich działań.
- W porządku. Kiedy miałbym zacząć?
- Teraz. Wczoraj. Ale powiedziałem klientowi, że jutro.

Też się napiłem.

- Nie mogę tego wziąć.
- Właśnie zaproponowałem ci stałą pracę w tej firmie, a ty już robisz trudności?

- Nie miałem pojęcia, że to się kroi. Musiałem wziąć sprawę, żeby mieć co włożyć do garnka. Nie mogę zrezygnować w połowie.

Zamrugał, dając mi do zrozumienia, że mój problem go nie dotyczy.

- W takim razie kiedy byłbyś wolny?
- Za parę dni.
- Wtedy będzie Boże Narodzenie.
- No tak, prawda.

- Powiedzmy, że do świąt będziesz wolny. Mogę informować klienta, że zamkniesz jego sprawę... - wskazał na teczkę. - ...do Nowego Roku?

- Jeśli zakończę obecną przed świętami, to tak, z pewnością.

Westchnął.

- Ile ci płaci ten klient?
- Sporo - skłamałem.

Wróciłem do domu z kwiatami, na które nie było mnie stać, i z chińskim jedzeniem na wynos, na które też nie było mnie stać. Wziąłem prysznic, o czym marzyłem całe popołudnie, przebrałem się w dzinsy i T-shirt z

jedynego tournée koncertowego zespołu Pela, po czym zasiadłem z rodziną do obiadu.

Po posiłku bawiliśmy się z Gabby. Potem jej poczytałem i ułożyłem ją do snu. Wróciłem do salonu i opowiedziałem żonie o swoim dniu.

Kiedy skończyłem, Angie od razu poszła na ganek na papierosa.

- Więc rosyjska mafia ma twoje prawo jazdy.
- Tak.
- Znaczy, że znają nasz adres domowy.
- Ta informacja zwykle znajduje się na prawie jazdy, tak.
- A jeśli powiemy policji, że porwali młodą dziewczynę...
- Będą na mnie wściekli - przyznałem. - Wspominałem ci już, że Duhamel zaproponował mi stałą pracę?
- Z tysiąc razy. Dlatego to zostawisz. Natychmiast.
- Nie.
- Tak.
- Nie. Oni porwali siedemnastoletnią...
- ...dziewczynę. Tak. Słyszałam. Słyszałam też, że strzelali do auta, którym jechałeś, i zabrali twoje prawo jazdy, więc mogą tu przyjść, jeśli zechcą, i porwać nasze dziecko. Dlatego przykro mi z powodu tamtej siedemnastolatki, ale ja mam tu czterolatkę, którą zamierzam chronić.
- Nawet kosztem innego życia.
- A żebyś, cholera, wiedział, że tak.
- Gówno prawda.
- Wcale nie.
- Właśnie, że tak. Prosiłaś mnie, żebym wziął tę sprawę.
- Mów ciszej. Owszem, prosiłam cię...
- Wiedząc, jak było poprzednim razem, kiedy szukałem Amandy. Co to znaczyło dla nas. Ale chodziło ci o większe dobro. A teraz, kiedy to większe dobro dobiera nam się do tyłków i inny dzieciak jest w niebezpieczeństwie, chcesz, żebym pakował manatki.
- Rozmawiamy o bezpieczeństwie naszej córki.
- Nie tylko o tym rozmawiamy. Już w to weszliśmy. Uznam za świetny pomysł, jeśli weźmiesz Gabby i pojedziesz odwiedzić swoją mamę. Będą zachwycone, że mogą ze sobą pobyc. Ale znajdę Amandę i Sophie też odzyskam.

- Ta sprawa jest dla ciebie ważniejsza niż...
- Nie. Nie wciskaj mi tego gówna. Nawet nie próbuj.
- A ty nie podnoś głosu, proszę.
- Wiesz, jaki jestem. Wiedziałaś, kiedy namawiałaś mnie do spełnienia prośby Beatrice, że nic mnie nie powstrzyma, dopóki znów nie znajdę Amandy. A teraz chcesz mi powiedzieć, że to koniec? Nie, to jeszcze nie koniec. Nie będzie końca, dopóki jej nie znajdę.

- Kogo? Amandy? Sophie? Już nawet tego nie rozróżniasz.

Każde z nas posunęło się o krok za daleko. I wiedzieliśmy, jak źle będzie, jeśli zrobimy kolejny krok. Mariaż irlandzkiego charakteru z włoskim często prowadzi do tłuczenia talerzy. Korzystaliśmy trochę z fachowego poradnictwa przed narodzinami naszej córki, żeby się nauczyć trzymać ręce z dala od nuklearnego guzika, kiedy powietrze w silosie nadmiernie się zagęści, i na ogół to pomagało.

Wzięłem głęboki wdech. Żona też odetchnęła, a potem zaciągnęła się papierosem. Na ganku było zimno, ale byliśmy odpowiednio ubrani, odczuwaliśmy chłód nawet jak coś przyjemnego. Wypuściłem powietrze, powoli, jakbym wydychał dwadzieścia lat.

Angie podeszła do mnie, a kiedy ją objąłem, położyła głowę na mojej piersi i pocałowała mnie w dołek u nasady szyi.

- Nienawidzę się z tobą kłócić - powiedziała.
- Ja też nienawidzę się z tobą kłócić.
- Mimo to dość często się nie zgadzamy.
- Dlatego, że bardzo lubimy się godzić.
- Uwielbiam się godzić - powiedziała Angie.
- Ty i ja, my oboje, siostró.

- Myślisz, że ją obudziliśmy?

Podszedłem do drzwi oddzielających nasze sypialnie, otworzyłem i przez chwilę patrzyłem na śpiącą córkę. Spała nie tyle na brzuchu, ile górnej części klatki piersiowej, z głową obróconą w prawo i pupą sterzącą w górę. Gdybym zajrzał do niej za dwie godziny, leżałaby na boku, ale przed północą sypiała jak skruszona grzesznica.

Zamknąłem drzwi i wróciłem do łóżka.

- Śpi jak suseł.
- Wyślę ją.
- Kogo? Gdzie?
- Do mojej mamy. Jeśli Bubba ją zawiezie.
- Zadzwoń do niego. Dobrze wiesz, co odpowie.

Pokiwała głową. To było oczywiste. Mogła powiedzieć Bubbie, że potrzebuje go na wczoraj w Katmandu, a on by jej przypomniał, że przecież już tam na nią czeka.

- Ale jak on zabierze broń na pokład?
- To Savannah. Jestem pewien, że ma tam jakieś kontakty.
- Gabby będzie zachwycona, że zobaczy babcię. Mówi o tym bez przerwy od lata. Hmm, o tym i o drzewach. - Popatrzyła na mnie pytająco. - Odpowiada ci to?

Wytrzymałem jej spojrzenie.

- Ludzie, z którymi będę miał do czynienia, są naprawdę źli. I znają nasz adres. Gdybym mógł, sam bym ją jeszcze tej nocy wsadził do samolotu. Ale co z tobą? Znów włożysz ostrogi i wskoczymy na koń?

- Jasne. To może przyspieszyć całą sprawę.
- Pewnie. Ale... najdłużej rozstawałaś się z Gabby na...?
- Trzy dni.
- I co się działo? Kiedy pojechaliśmy do Maine, cały czas marudziłaś, że za nią tęsknisz.
- Nie marudziłam. Parę razy wspomniałam, co czuję.
- Powtarzałaś w kółko. To jest właśnie marudzenie.

Walnęła mnie w głowę poduszką.

- Wszystko jedno. To było w zeszłym roku, dojrzałam od tamtej pory. Będzie jej się podobała taka przygoda, że jedzie do babci z wujkiem Bubba. Gdybyśmy jej powiedzieli dziś wieczorem, nie mogłaby zasnąć z wrazenia. - Wtoczyła się na mnie. - Więc jakie masz plany na najbliższą przyszłość?

- Znaleźć Amandę.
- Znowu.
- Znowu. Wymienić krzyż, który ukradła, na Sophie. I wszyscy wrócą do domu.
- A kto mówi, że Amanda się podda?
- Sophie jest jej przyjaciółką.

- Z tego, co słyszałam, Sophie jest jej Robertem Fordem.
- Nie wiem, czy jest aż tak źle. - Podrapałem się po głowie. - Ale ja w ogóle niewiele wiem. I właśnie dlatego muszę ją znaleźć.

- Tylko jak?
- I to jest pytanie miesiąca.

Sięgnęła przeze mnie, żeby podnieść z podłogi torbę na laptop. Otworzyła ją, wyjęła teczkę podpisaną A. McCready i rozłożyła na poduszce po prawej stronie mojej głowy.

- To zdjęcia jej pokoju?
- Tak. Nie, nie te... To pokój Sophie. Dalej. O, te.
- Wygląda jak pokój w hotelu.
- To prawda, raczej bezosobowy.
- Nie licząc bluzy Soxów.

Pokiwałem głową.

- Wiesz, co jest w tym dziwne? Ona wcale nie jest ich fanką. Nigdy nie rozmawiała o drużynie, nie chodziła na mecze ani nie zastanawiała się głośno, co Theo chciał osiągnąć w całej tej historii z Juliem Lugo, czy nad wymianą Kevina Gabbarda na Erica Gagne'a.

- Może chodzi po prostu o Becketta.
- To znaczy?
- Może po prostu podoba jej się Josh Beckett.
- Czemu tak mówisz?
- Cóż, to jego bluza, zgadza się? Numer dziewiętnasty. Czemu nagle zrobiłeś się taki blady?

- Angie.
- Co?
- To nie na punkcie Red Sox ma obsesję.
- Nie?
- I wcale jej się nie podoba Josh Beckett.
- Nie jest też w moim typie. Skąd więc ta bluza?
- Wtedy, dwanaście lat temu, gdzie ją znaleźliśmy?
- W domu Jacka Doyle'a.
- A gdzie to było?

- W jakiejś pipidówce w Berkshires. Ile to mogło być, dwadzieścia kilometrów od granicy stanu Nowy Jork? Trzydzieści? Nie mieli nawet kawiarni.

- Jak się nazywała?
- Ta miejscowość?

Potaknąłem.

Angie wzruszyła ramionami.

- Ty mi powiedz.
- Becket.

- Uściskaj tatusia.
- Nie.
- Skarbie, proszę cię.
- Powiedziałam, że nie.

Byliśmy w kiepskim nastroju. Staliśmy w terminalu C na lotnisku Logana, Bubba i Gabby z biletami w dłoniach, kolejka do odprawy bezpieczeństwa przed nimi była zadziwiająco mała, a Gabby wściekła się na mnie tak, jak potrafi się wściec jedynie czterolatka. Splatanie rąk na piersi, tupanie nogą, pełny repertuar.

Uklęknąłem obok niej, ale odwróciła głowę.

- Kochanie, rozmawialiśmy już o tym. Wybuch złości w domu jest czym?

- Naszym problemem - odpowiedziała niechętnie.
- A wybuch złości poza domem?

Tylko pokręciła głową.

- Gabriello - ponagliłem.
- Powodem do wstydu - wydukala.
- Właśnie. Dlatego uściskaj tatę. Możesz być na mnie zła, ale mimo to musisz mnie uściskać. Takie są nasze zasady. Prawda?

Upuściła pana Lubble i wskoczyła na mnie. Przytuliła się tak mocno, że jej palce wbijały mi się w kręgosłup, a podbródek w szyję.

- Zobaczymy się naprawdę niedługo - obiecałem.
- Dziś wieczorem?

Popatrzyłem na Angie. Chryste.

- Dziś wieczorem nie. Ale naprawdę niedługo.
- Zawsze gdzieś wyjeżdżasz.
- Wcale nie.
- A właśnie że tak. Wyjeżdżasz wieczorem i rano, kiedy wstaję, to czasami ciebie nie ma. I zabierasz też mamę.

- Tatuś pracuje.

- Za dużo. - Jej głos brzmiał tak, jakby zaraz miał się załamać.

Postawiłem ją na ziemi przed sobą. Popatrzyła mi w oczy; była jak miniaturowa wersja swojej matki.

- To jest ostatni raz, skarbie. Dobrze? Ostatni raz wyjeżdżam. Ostatni raz cię wysyłam.

Wpatrywała się we mnie, nagle radośnie ożywiona.

- Przysięgnij.

Podniosłem prawą rękę.

- Przysięgam.

Angie przykucnęła obok nas i pocałowała córkę. Odsunąłem się, żeby mogła się pożegnać, co było dla niej jeszcze trudniejsze niż dla mnie.

- Będzie płakać w samolocie, robić sceny czy coś w tym rodzaju? - spytał Bubba, nachylając się ku nam.

- Wątpię. A jeśli tak i ktoś będzie na was brzydko patrzył, masz moje pozwolenie, żeby go ugryźć. Albo przynajmniej na niego warczeć. Jeśli zobaczysz, że jacyś Rosjanie jej się dziwnie przyglądają...

- Człowieku - przerwał mi - ktoś miałby dziwnie patrzeć na to dziecko? Oczy by mu wypadły na ziemię i stamtąd patrzyły, jak mu obcinam jego pieprzony łeb.

Po przejściu odprawy jeszcze raz obejrzeli się na nas; Bubba, trzymając Gabby na rękach, podniósł z taśmy bagaże. Pomachali nam.

My też im pomachaliśmy, po czym zniknęli nam z oczu.

Część III

Białoruski krzyż

Rozdział 18

Chmury wisiały nisko pod bladym niebem, kiedy zjechaliśmy z autostrady Mass Pike i podążaliśmy za linią na mapie w stronę Becket. Miasto leżało czterdzieści kilometrów na południe od granicy stanu Nowy Jork, w samym sercu Berkshires. O tej porze roku wzgórze były przyprószone śniegiem, a drogi czarne i śliskie. Przez Becket przebiegała główna droga, ale miasteczko nie miało głównej ulicy. Nie mogliśmy też znaleźć centrum, jakiegoś placu, przy którym znajdowałyby się wielobranżowy sklep, fryzjer, pralnia i siedziba miejscowego agenta nieruchomości. Nie mieli tu również, jak zauważyła Angie, kawiarni. W poszukiwaniu takich przybytków należało jechać do Stockbridge lub do Lenox. W Becket były domy i wzgórze, i drzewa, i jeszcze więcej drzew. Staw w kształcie ameby w kolorze napoju waniliowego. Więcej drzew; wierzchołki niektórych chowały się w nisko wiszących chmurach.

Jeździliśmy wokół Becket i West Becket przez cały ranek, w górę, w dół, we wszystkich kierunkach wskazywanych przez kompas i z powrotem. Większość dróg kończyła się ślepo u stóp wzgórz, więc trafiło nam się kilka zaciekawionych lub wrogich spojrzeń, kiedy wjeżdżaliśmy na czyjąś posesję i musieliśmy się wycofywać tam, skąd przyjechaliśmy, rozgniatając kołami żwir na podjeździe. Jednak żadna z tych zaciekawionych czy wrogich twarzy nie należała do Amandy.

Po trzech godzinach takiego krążenia zrobiliśmy sobie przerwę na lunch. Znaleźliśmy restaurację parę kilometrów dalej, w Chester. Zamówiłem kanapkę z indykiem, bez majonezu. Żona zamówiła cheeseburgera i colę. Popijałem swoją butelkowaną wodę i udawałem, że wcale nie mam ochoty na to, co wybrała Angie. Ona rzadko zwraca uwagę, co je, i ma poziom cholesterolu jak noworodek.

Ja żywię się w dziewięćdziesięciu procentach rybami i drobiem, a mam poziom złego cholesterolu jak emerytowany zawodnik sumo. Życie nie jest sprawiedliwe. W lokalu było ośmiu innych klientów, ale tylko my nie

mielimy na sobie wysokich butów. I niczego w kratkę. Wszyscy mężczyźni nosili czapki z daszkiem i dżinsy. Parę kobiet włożyło swetry, jakie się dostaje na Gwiazdkę od sędziwych ciotek. Popularnością cieszyły się także pikowane kamizelki.

- Jak inaczej można poznać jakieś miejsce? - zadałem Angie pytanie.

- Przez miejscową gazetę.

Rozejrzałem się za gazetą, ale żadna nie wpadła mi w oko, więc starałem się przyciągnąć uwagę dziewczyny za ladą.

Miała jakieś dziewiętnaście lat. Ładną twarz szpeciły blizny po trądziku, a przez dwudziestokilową nadwagę sylwetka nabierała groźnego wyglądu. Tępy wyraz oczu przywodził na myśl apatię, choć w istocie brał się z tłumionego gniewu. Podążając dalej obecną ścieżką swego życia, miała wszelkie szanse wyrosnąć na osobę, która od rana karmi swoje dzieci chipsami i kupuje naklejki na zderzak pełne wściekłych wykrzykników. Na razie była jedną z wielu sfrustrowanych dziewczyn z małego miasteczka o gównianych perspektywach. W końcu udało mi się ją przywołać i spytałem, czy może ma pod ladą jakąś gazetę.

- Co? - zdziwiła się.

- Gazetę.

Tępe spojrzenie.

- Gazetę - powtórzyłem. - To coś takiego jak strona w Internecie, tylko bez przesuwania myszą.

Kamienna twarz.

- Na pierwszej stronie zwykle są zdjęcia, a pod nimi słowa. A w lewym dolnym rogu czasami są wykresy procentowe.

- Jesteśmy restauracją - odparła takim tonem, jakby to wszystko wyjaśniało. Potem odeszła, oparła się o ladę przy ekspresie do kawy i zaczęła SMS-ować.

Popatrzyłem na człowieka siedzącego najbliżej mnie, ale ten całkowicie skupił uwagę na swoim kłopsie. Spojrzałem na Angie. Wzruszyła ramionami. Obracając się na krześle, zauważyłem metalowy stojak przy drzwiach, na którym wyeksponowano jakieś drukowane materiały. Podszedłem tam i odkryłem na górnej półce miesięcznik dotyczący nieruchomości, a na dolnej foldery prezentujące region. Z zewnątrz nic ciekawego, przeważnie miejscowe ogłoszenia. Jednak w środku znalazłem kolorową

mapę. Oznaczono na niej stacje benzynowe, a także miejsca występów teatrów letnich, sklepy z antykami, centrum outletowe w Lee, hutę szkła w Lenox, sklepy z krzesłami ogrodowymi oraz takie, gdzie można było kupić koldry i szpulki przędzy.

Bez trudu znaleźliśmy na mapie Becket i West Becket. Dowiedziałem się, że szkoła, którą mijaliśmy tego ranka na wzgórzu, to Szkoła Tańca Jacoba Pillowa. Natomiast staw, który mijaliśmy kilkadziesiąt razy, najwidoczniej nie miał nazwy. Jedynymi atrakcjami Becket wymienionymi w folderze były Middlefield State Forest i McMillan Park - w jego obrębie znajdował się „Park Odcisniętych Śladów Łap”.

- Park dla psów - powiedziała Angie w tym samym momencie, gdy zauważyłem to miejsce na mapie. - Można oberwać nożem w ciemności.

Dziewczyna położyła na ladzie cheeseburgera Angie, zmęczonym ruchem postawiła przede mną kanapkę z indykiem i zniknęła na zapleczu, zanim zdążyłem przypomnieć, że nie chciałem majonezu. Kiedy studiowaliśmy mapę, większość klientów wyszła. Zostaliśmy tylko my i małżeństwo w średnim wieku; siedzieli przy oknie i patrzyli częściej na drogę niż na siebie nawzajem. Musiałem, wymijając dwa krzesła, podejść po nóż i widelec zawinięte w papierową serwetkę, po czym za pomocą noża zeszkrobałem większość majonezu z chleba. Angie przyglądała mi się z rozbawieniem, a potem zajęła się swoim cheeseburgerem. Kiedy wgrzyzałem się w kanapkę, kucharz zniknął z kuchni widocznej przez okno za ladą. Z zaplecza dobiegł odgłos otwieranych gdzieś z tyłu drzwi, a zaraz potem poczułem zapach papierosowego dymu i usłyszałem ściszoną rozmowę kucharza z dziewczyną zza lady.

Kanapka była paskudna. Indyk tak suchy, że smakował jak kreda. Gummy bekon. Sałata brązowiała na moich oczach. Upuściłem ją na talerz.

- Jak twój burger? - spytałem Angie.
- Okropny.
- Mimo to go jesz?
- Z nudów.

Spojrzałem na rachunek zostawiony przez naszą uroczą kelnerkę - szesnaście dolców za dwa beznadziejne lunchy podane przez jeszcze bardziej

beznadziejną osobę. Wsunąłem pod talerz banknot dwudziestodolarowy.

- Chyba nie dajesz jej napiwku?

- Oczywiście, że daję.

- Ona nie zasługuje na napiwek.

- Nie zasługuje.

- Więc...?

- A te wszystkie lata kelnerowania, zanim zostałem prywatnym detektywem? Dałbym napiwek nawet Stalinowi.

- Albo jego wnuczce, jak widać.

Zostawiliśmy pieniądze, zabraliśmy mapę i wyszliśmy na zewnątrz.

W parku Mcmillana znajdowało się boisko do baseballu, trzy korty tenisowe, wielki plac zabaw dla dzieci w wieku szkolnym i drugi mniejszy, bardziej kolorowy, dla maluchów. Za nimi były dwa wybiegi dla psów - ten dla mniejszych miał formę owalu ogrodzonego płotem wewnątrz terenu przeznaczonego dla dużych. Ktoś dobrze przemyślał urządzenie tego miejsca - było zarzucone piłkami tenisowymi i miało cztery fontanny, które napełniały również wielkie metalowe miski stojące u ich stóp. Na ziemi leżały kawałki grubej liny, jakiej się używa do cumowania łodzi. Dobrze było być psem w Becket.

Ze względu na porę, wczesne popołudnie, park nie był specjalnie zatłoczony. Dwaj mężczyźni, jedna kobieta w średnim wieku i sędziwa para pilnowali dwóch wyżłów weimarskich, mieszańca labradora z pudlem i ślicznego corgi, który je ganiał.

Nikt nie rozpoznał Amandy na zdjęciu. A może nikt nie chciał nam się przyznać, że ją rozpoznaje. Prywatni detektywi nie spotykają się już z powszechną życzliwością. Ludzie często uważają nas za kolejny symbol czasów, w których przestano szanować prywatność. I trudno mieć im za złe takie podejście.

Dwaj mężczyźni od wyżłów zauważyli, że Amanda byłaby trochę podobna do dziewczyny ze „Zmierzchu”, gdyby nie włosy i kości policzkowe, a także nos, czoło i blisko osadzone oczy, ale potem wdali się między sobą w sprzeczkę, czy aktorka, o której mówili, ma na imię Kristen, czy Kirsten, więc przeszedłem do kobiety w średnim wieku,

nie czekając, aż zrobi się z tego konflikt pomiędzy drużyną Edwarda i drużyną Jacoba.

Kobieta w średnim wieku była elegancko ubrana, ale miała wielkie wory pod oczami, a końce palców, wskazującego i środkowego, u prawej ręki pozółkłe od nikotyny. Była jedyną osobą w parku trzymającą swego pupila, pół labradora, pół pudła, na smyczy. Zgrzytała zębami za każdym razem, gdy pies szarpał, chcąc się wyrwać, a reszta psów bezustannie go do tego prowokowała.

- Nawet gdybym ją znała, czemu miałabym wam mówić? - odpowiedziała na moje pytanie. - Nie znam was.

- Ale gdyby nas pani znała, wiedziałyby, że jesteśmy najlepsi w tym, co robimy - zapewniłem.

Posłała nam ciężkie spojrzenie, w którym niby nie było otwartej wrogości, a jednak pozwalało odczuć nieprzychylnie nastawienie.

- Co zrobiła ta dziewczyna?

- Nic - powiedziała Angie. - Po prostu zniknęła z domu. A ma dopiero szesnaście lat.

- Ja też uciekłam, gdy miałam szesnaście lat - odparła kobieta. - Wróciłam po miesiącu. Do dziś nie wiem, dlaczego. Mogłam tam zostać.

Mówiąc „tam” wskazała podbródkiem gdzieś za mniejszy plac zabaw, za parking, za wzgórze u stóp wielkiego niebieskiego masywu Berkshires. Jakby tym gestem chciała dać do zrozumienia, że po drugiej stronie górskiego pasma czekało na nią lepsze życie.

- Ta dziewczyna mogłaby mocno żałować swojej ucieczki. Czekał na nią Harvard. Albo Yale. Mogła wybierać, co chciała.

Kobieta szarpnęła smyczą.

- Mogłaby wejść do biurowej klatki, w której trochę lepiej płacą? Powiesić swój pieprzony dyplom Harvardu na ścianie działowej? Potem przez następne trzydzieści albo czterdzieści lat uczyć się kombinować, jak zarobić na cudzych akcjach, kraść ludziom posady i domy i pozbawiać ich emerytur? Ale wszystko jest w najlepszym, porządku, bo „była na Harvardzie”. Śpi w nocy jak niemowlę i powtarza sobie, że to nie jej wina, bo taki jest system. A potem któregoś

dnia znajduje guzek w piersi. I już nie wszystko jest w porządku, ale niktogo to nie obchodzi, kochana, bo przecież sama jesteś kowalem swojego losu. Dlatego zrób nam przysługę i wyciągnij kopyta.

Nim skończyła, miała czerwone oczy, a wolna ręka jej drżała, kiedy sięgała do torebki, żeby wyjąć papierosa. W parku panował ziąb. Angie sprawiała wrażenie lekko wstrząśniętej. Cofnąłem się o krok i zauważyłem, że obaj mężczyźni i starsza para gapią się na nas. Kobieta ani razu nie podniosła głosu, ale jej gniew, namacalny i rozpaczliwy, wszystkich poruszył. I nie był niczym wyjątkowym. Wręcz przeciwnie. Od jakiegoś czasu zdarzało się, że człowiek zadawał proste pytanie albo robił niewinną uwagę i nagle zalewały go potoki żalu lub złości. Nie rozumieliśmy już, jak do tego doszło. Nie potrafiliśmy ogarnąć tego, co się stało. Obudziliśmy się pewnego dnia i okazało się, że wszystkie znaki drogowe zostały skradzione, w całym systemie nawigacji nastąpiło zwarcie. W samochodzie nie ma paliwa, w salonie mebli, odcisk ciała na łóżku obok został wygładzony.

- Przykro mi - powiedziałem. Tylko tyle przyszło mi do głowy.

Przytknęła do ust drżącego papierosa i zapaliła go drżącą zapalniczką.

- Nie wiem, czemu panu przykro.

- Po prostu mi przykro.

Pokiwała głową, obejmując mnie i Angie łagodnym, bezradnym spojrzeniem.

- To jest do niczego. Wiecie? Ten cały kit, który nam wciskają.

Przygryzła wargę, a my spuściliśmy wzrok. Potem odeszła, ze swoim pudło-labradorem w stronę tylnego wyjścia z parku.

Angie zapaliła swojego papierosa, a ja podszedłem do starszej pary ze zdjęciem Amandy. Mężczyzna popatrzył na fotografię, a kobieta nie chciała mi nawet spojrzeć w oczy.

Spytałem jej męża, czy rozpoznaje Amandę.

Popatrzył jeszcze raz i zaprzeczył ruchem głowy.

- Ma na imię Amanda.

- My tu się nie znamy po imieniu - wyjaśnił. - To park dla psów. Kobieta, która właśnie wyszła, to Właścicielka Lucky'ego. Nie wiemy, jak się naprawdę nazywa; kiedyś miała męża, rodzinę, ale już ich nie ma. Nie potrafię powiedzieć dlaczego. Ale to smutne. A moja żona i ja? Jesteśmy

Właścicielami Dahlii. Tamci dwaj dżentelmeni? To Właściciele Linusa i Schroedera. A wy? Wy jesteście Ludźmi Którzy Jeszcze Bardziej Zasmucili Właścicielkę Lucky'ego. Miłego dnia.

Wyszli. Wszyscy. Opuścili park bocznym wyjściem i zatrzymali się na chodniku, gdzie każdy z osobna otworzył drzwi samochodu i pozwolił swojemu psu wskoczyć do środka. A my zostaliśmy w psim parku bez psa i czuliśmy się jak para głupców. Nie było co mówić, więc po prostu staliśmy, a Angie paliła papierosa.

- Chyba powinniśmy się stąd zbierać - odezwałem się w końcu.

Pokiwała głową.

- Wyjdźmy inną bramą. - Wskazała furtkę po drugiej stronie parku. Ruszyliśmy w tamtą stronę, nie chcąc mijać grupy, która nagle zaczęła nami gardzić. Furtka prowadziła na teren przeznaczony dla dzieci, a stamtąd na ulicę, gdzie zaparkowaliśmy auto.

Tu zebrała się inna grupa - matki z dziećmi, wózkami, kubeczkami, butelkami i torbami na pieluchy. Było tam pół tuzina kobiet i jeden mężczyzna. Miał na sobie strój do biegania, stał przy dziecięcym wózku przystosowanym do joggingu, w pewnej odległości od reszty, i pił wodę z butelki, która miała długość mojej nogi. Wyglądał jakby pozował przed kobietami, a one sprawiały wrażenie, jakby im się to podobało.

Poza jedną. Stała parę metrów dalej, najbliżej płotu oddzielającego plac zabaw od psiego parku. Miała niemowlę w nosidle, założonym tak, że plecy dziecka przylegały do jej piersi, a ono mogło swobodnie spoglądać na świat. Tyle że dziecko wcale nie było zainteresowane światem, tylko darło się wniebogłosey. Uspokoiło się na sekundę, kiedy matka wetknęła mu do ust własny kciuk, lecz zaraz potem, zorientowawszy się, że to nie sutek ani smoczek, ani butelka, znów ryknęło, trzęsąc się, jakby je poddano elektrowstrząsom. Gabby zachowywała się kiedyś tak samo i pamiętam, jak bardzo czułem się wówczas bezradny i bezużyteczny.

Kobieta co chwila oglądała się przez ramię. Pomyślałem, że posłała kogoś po butelkę lub smoczek i niepokoiła się, dlaczego tak długo nie wraca. Kołysała się na stopach, dziecko wraz z nią, ale to nie wystarczało, żeby je uspokoić.

W pewnym momencie nasze spojrzenia się spotkały i już miałem jej powiedzieć, że będzie lepiej, gdy nagle ona zmrużyła oczy, ja zrobiłem to samo i oboje otwarliśmy usta. Włosy na czubku głowy mi zwilgotniały.

Nie widzieliśmy się dwanaście lat, ale to była ona.

Amanda.

I jej dziecko.

Rozdział 19

Nie mogła biec. Nie z dzieckiem w nosidle przypiętym do piersi. Nie z wózkami i torbą, które musiała zabrać ze sobą. Nawet gdyby miała zdolność rozwijania prędkości światła, a my z Angie pozrywane więzadła w kolanach, musiałyby jednocześnie wsiąść do samochodu, włączyć silnik i przypiąć dziecko w foteliku.

- Cześć, Amando.

Patrzyła, jak się zbliżam. Nie dostrzegłem w jej oczach tego szczególnego wyrazu strachu, jaki miewają ludzie, którzy nie chcą zostać odnalezieni. Miała spokojne, otwarte spojrzenie. Dziecko wzięło do buzi jej kciuk, uznawszy zapewne, że lepsze to niż nic, a Amanda drugą ręką gładziła je po główce pokrytej cienkimi kosmykami płowych włosków.

- Cześć, Patrick. Cześć, Angie. Dwanaście lat.

- Jak ci leci? - Doszliśmy do rozdzielającego nas płotu.

- Och, sami wiecie.

Wskazałem ruchem głowy na dziecko.

- Śliczne maleństwo.

Spojrzała czule na dziecko.

- Prawda, że jest słodka?

Amanda też była ładna, choć nie przypominała modelki czy uczestniczki konkursu piękności - na jej twarzy zbyt mocno rysował się charakter, a w oczach było za dużo mądrości. Leciutko garbaty nos harmonizował z minimalnie wygiętymi ustami. Długie ciemne włosy, wyprostowane na gorąco, okalały jej drobną twarz, tak że wydawała się jeszcze mniejsza.

Dziecko poruszyło się i pisnęło, po czym znów zajęło się ssaniem kciuka Amandy.

- Ile ona ma? - Angie przypatrywała się maleństwu.

- Prawie cztery tygodnie. Po raz pierwszy jest dłużej na dworze. Podo-
bało jej się, dopóki nie zaczęła wrzeszczeć.

- Tak, w tym wieku dzieci dużo wrzeszczą.

- Macie dziecko? - Nie odrywając wzroku od niemowlęcia, wsunęła mu
palec głębiej do buzi.

- Tak, mamy córkę. Czteroletnią.

- Jak ma na imię?

- Gabriella. A twoja?

Dziecko zamknęło oczy; niecałe dwie minuty trwało przejście od Ar-
magedonu do niebiańskiego spokoju.

- Claire.

- Ładnie - pochwaliłem.

- Tak? - Posłała mi uśmiech jednocześnie promienny i nieśmiały, a
przez to tym bardziej czarujący. - Podoba ci się?

- Owszem. Bo nie jest trendy.

- Och, nie znoszę takich imion, jak Perceval czy Colleton.

- Pamiętasz okres irlandzki? - spytała Angie.

Amanda zaśmiała się, kiwając głową.

- Najpopularniejszymi imionami były Deveraux i Fiona.

- Znałem jedną parę, niedaleko naszej ulicy, która dała swojemu dziec-
ku na imię Bono.

Amanda zaśmiała się tak, że dziecko na jej brzuchu aż podskoczyło.

- Nie, niemożliwe.

- Nie - przyznałem. - Żartowałem.

Przez chwilę milczeliśmy; uśmiechy powoli zamierały nam na twa-
rzach. Inne matki i biegacz nie zwracali na nas uwagi, ale dostrzegłem
mężczyznę w połowie drogi między placem zabaw i alejką. Chodził w kół-
ko z opuszczoną głową, starając się nie patrzeć w naszą stronę.

- To pewnie tatuś? - zagadnąłem.

Obejrzała się przez ramię, a potem znów spojrzała na mnie.

- Pewnie.

Angie zmrużyła oczy.

- Wydaje się dużo starszy od ciebie.

- Nigdy nie interesowali mnie chłopcy.

- Aha. A co mówisz ludziom, że jest twoim ojcem?
- Czasami. Czasami, że wujkiem. Czasami, że starszym bratem. -
Wzruszyła ramionami. - Na ogół ludzie przyjmują to, co im pasuje, i nie
muszę nic mówić.

- Nie powinien być teraz w mieście? - spytała Angie.

- Miał trochę wolnego. - Pomachała do niego, na co wcisnęła ręce do
kieszeni kurtki i jakby z ociąganiem ruszył w naszą stronę przez trawnik.

- A co zrobicie, gdy skończy mu się wolne?

Znów wzruszyła ramionami.

- Będziemy się zastanawiać, kiedy się skończy.

- Tego właśnie chcesz? Ułożyć sobie życie tu, w Berkshires?

Rozejrzała się dokoła.

- Miejsce tak samo dobre, jak każde inne, i lepsze niż większość in-
nych.

- Więc pamiętasz jeszcze coś z czasów, kiedy miałaś cztery lata? - spy-
tałem.

Oczy jej pulsowały.

- Pamiętam wszystko.

Znaczy że również zawodzenie, płacz, aresztowanie dwojga ludzi, któ-
rzy ją bardzo kochali, pracownika opieki społecznej, który musiał wyrwać
dziecko siłą z ramion tych ludzi. I mnie, sprawcę wszystkiego, gdy stałem z
boku i obserwowałem.

Wszystko.

Partner Amandy podał jej smoczek.

- Dzięki.

- Nie ma za co. - Odwrócił się do nas. - Patrick. Angie.

- Jak leci, Dre?

Mieszkali półtora kilometra od psiego parku przy głównej drodze, w
domu, który mijaliśmy tego ranka przynajmniej dziesięć razy. Zbudowany
w typowo amerykańskim stylu, miał elewację otynkowaną na ciemny beż,
ładnie kontrastujący z prawie białymi detalami wykończenia i miedzianą
barwą kamiennych kolumn ganku. Był cofnięty parę metrów od drogi, a od
jezdni oddzielał go szeroki chodnik, jakby się znajdował raczej w małym
miasteczku niż na wsi. Po drugiej stronie rozciągał się pas zieleni, a dalej

wąska droga dojazdowa i kościół z białą wieżą, za którym płynął strumień.

- Tu jest tak spokojnie - mówiła Amanda - że czasami bulgot strumyka nie daje zasnąć w nocy.

- O psia mać! - wyrwało mi się.

- Rozumiem, że nie jesteś entuzjastą przyrody - powiedział Dre.

- Podoba mi się przyroda - zapewniłem. - Po prostu nie lubię jej dotykać.

- Możesz? - Amanda wyjęła Claire z fotelika i podała mi do potrzymania. Sięgnęła po torbę z rzeczami małej, a Dre w tym czasie wyciągnął wózek z bagażnika ich subaru, po czym wszyscy ruszyliśmy podjazdem w stronę domu.

- Mogę ją wziąć - zaproponowała Angie.

- Potrzymam ją chwilkę - poprosiłem. - Jeśli nie masz nic przeciwko temu.

- Jasne.

Już zapomniałem, jak małe jest noworodek. Ważyła nie więcej niż cztery kilo. Kiedy słońce wyjrzało ze szpary między dwiema chmurami, świecąc prosto na nas, Claire zmarszczyła buzię, tak że wyglądała jak mały kalafior, i piąstkami próbowała zasłonić oczy. A potem opuściła rączki, twarzyczka jej się wygładziła i otwarła oczy. Miały kolor dobrej szkockiej i patrzyły na mnie ze zdziwieniem. Wyczytałem w nich nie tylko pytanie: „Kim jesteś?”. Pytały również: „Kto ty jesteś? O co tu chodzi? Gdzie ja jestem?”.

Pamiętałem to spojrzenie u Gabby. Wszystko było nowe i nienazwane. Nic nie było „normalne”, nie istniał żaden punkt odniesienia. Żadnego języka, żadnej samoświadomości. Nawet pojęcie „pojęcia” było nieznanne.

Zdziwienie przeszło w oszołomienie, kiedy przekroczyliśmy próg domu, światło znów się zmieniło i buzia Claire pociemniała wraz z nim. Miała śliczną twarzyczkę, w kształcie serca, z pyzatymi policzkami, oczami jak karmelki i ustami jak różany pączek. Wyglądała, jakby miała wyrosnąć na wyjątkową osobę. Osobę, która będzie przyciągać uwagę i wzbudzać emocje.

Jednak kiedy zaczęła się wiercić i Amanda wyjęła mi ją z ramion, dotarło do mnie, że niezależnie od tego, jak wygląda, w ogóle nie jest podobna ani do Amandy, ani do Dre.

- No więc jak, Dre - zacząłem, kiedy już usiedliśmy w salonie przy kominku z gładkiego szarego kamienia.

- Więc jak, Patrick? - Miał na sobie ciemnobrązowe džinsy, perłową bawełnianą koszulkę pod granatowym swetrem z postawionym do góry kołnierzem i ciemnoszarą fedorę na głowie. Pasował do Berkshires prawie tak samo jak ogień. Wyjął metalową piersiówkę z wewnętrznej kieszeni kurtki i pociągnął niewielki łyk. Amanda patrzyła, jak odkłada piersiówkę na miejsce; wyraz jej twarzy można było zinterpretować jako dezaprobatę. Siedziała na drugim końcu kanapy i delikatnie kołysała dziecko w ramionach.

- Próbuję sobie wyobrazić, jak wrócisz do pracy w Wydziale... hmm, Dzieci i Rodzin, skoro twoja obecna tu rodzina, jest... jak by to powiedzieć... cholernie nielegalna.

- Proszę cię, nie przeklinaj przy dziecku - upomniała mnie Amanda.

- Ona ma trzy tygodnie - przypomniał jej Dre.

- Mimo to nie chcę, żeby ktoś przy niej przeklinał. Przeklinałeś przy swoim dziecku, Patrick?

- Kiedy była niemowlęciem, tak. Teraz nie.

- I jak Angie to przyjmowała?

Wymieniliśmy z żoną ledwie widoczne uśmiechy.

- Wkurzało ją to. Trochę.

- Bardzo ją to wkurzało - sprostowała Angie.

Amanda popatrzyła na nas z taką miną, jakby mówiła: „No właśnie”.

- Dobrze. Przepraszam. To się więcej nie powtórzy.

- Dziękuję.

- No więc, Dre?

- Tak, tak. - Westchnął. - Pytasz, jak planuję wrócić do pracy, skoro sam się związałem z nastolatką.

- Mniej więcej.

Pochylił się, splatając dłonie.

- Kto powiedział, że ktoś musi o tym wiedzieć?

Uśmiechnąłem się szeroko.

- Pozwól, że ci przedstawię, jak to wygląda w moich oczach, Dre. Mam czteroletnią córkę. Wyobrażam sobie ją za dwanaście lat,

związaną, jak to nazywasz, z dwukrotnie od niej starszym pracownikiem opieki społecznej, draniem o moralności producenta telewizyjnych reality show, który popija już przed południem.

- Południe już minęło - zauważył Dre.

- Ale to nie twoja miarka, co, Dre?

Zanim zdążył cokolwiek odpowiedzieć, odezwała się Amanda:

- Butelka powinna już być ciepła. Jest w misce w zlewie.

Dre wstał z kanapy i poszedł do kuchni.

- Moralne pouczenia są tu nie na miejscu, Patricku. Myślę, że wszyscy mamy już ten etap za sobą.

- Jesteśmy ponad moralnością, Amando? W dojrzałym wieku szesnastu lat?

- Nie powiedziałam, że jestem ponad moralnością. Powiedziałam, że moralne pouczenia brzmiąby trochę fałszywie, gdy weźmie się pod uwagę historie obecnych tu osób. Innymi słowy, jeśli ci się zdaje, że dostałeś coś w rodzaju drugiej szansy, żeby uratować mój honor dwanaście lat po tym, jak zwróciłeś mnie matce, choć wiedziałeś, że nie nadaje się na rodzica, to jesteś w błędzie. Chcesz rozgrzeszenia, to znajdź sobie księdza. Takiego, który sam ma czyste sumienie, o ile jeszcze są tacy.

Spojrzenie Angie mówiło: „Sam w to wszedłeś”.

Dre wrócił z butelką mleka dla niemowląt. Amanda podziękowała mu słodkim, zmęczonym uśmiechem i wsunęła smoczek do ust Claire. Dziewczynka natychmiast zaczęła ssać, a Amanda czule pogładziła ją po policzku. Zastanawiałem się, kto w tym pokoju jest dorosłym, a kto dzieckiem.

- Kiedy się zorientowałaś, że jesteś w ciąży? - spytała Angie.

- W maju. - Dre usiadł na kanapie, tym razem bliżej niej i dziecka.

- W trzecim miesiącu - podliczyła Angie.

- Uhm.

- Musiał to być dla ciebie szok - zwróciłem się do Dre.

- Trochę.

Popatrzyłem na Amandę.

- Dzięki Bogu, że matka cię zaniedbuje, co?

- Nie rozumiem.

- Sytuacja bardzo pomocna w ukrywaniu ciąży.

- To się często zdarza.

- Tak, wiem. Znałem dwie dziewczyny, które zaszły w liceum. Jedna miała nadwagę, więc sama wiesz, ale ta druga kupowała za duże ubrania i afiszowała się z jedzeniem różnych tuczających paskudztw, więc nikt się nie zorientował. Urodziła w toalecie podczas piątej lekcji w pierwszej klasie. Szkolny woźny ją znalazł, wybiegł z krzykiem i zemdłał na korytarzu. To prawdziwa historia. - Pochyliłem się ku niej. - Wiem, często się zdarza.

- No i dobrze.

- Tylko że, Amando, ty nie masz ani grama dodatkowej wagi.

- Ćwiczę. - Popatrzyła na Angie. - A ile ty przybrałaś?

- O dużo za dużo.

- Uwielbia pilates - wtrącił się Dre.

Pokiwałem głową, jakby to wszystko wyjaśniało.

- Nie chcesz, żebym przeklinał przy dziecku, ale karmisz je sztucznym pokarmem?

- Jasne. Co w tym złego?

- Dla większości kobiet? Nic. Ale dla ciebie? Jesteś tygrysicą. Widzę to w twoich oczach. Gdyby ktoś źle spojrział na małą, przegryzłabyś mu gardło.

Potwierdziła bez wahania.

- Nie jesteś typem kobiety, która daje dziecku sztuczny pokarm, wiedząc, o ile zdrowsze jest karmienie piersią.

Wywróciła oczami.

- Może...

- A to dziecko, bez urazy, w ogóle nie jest do ciebie podobne. Ani do niego.

Dre podniósł się z kanapy.

- Czas na ciebie, stary.

- Nie. - Pokręciłem głową. - Nigdzie się nie wybieram. Siadaj. - Popatrzyłem na niego. - Stary.

- Claire jest moja - oświadczyła Amanda.

- W to nie wątpimy - odezwała się Angie. - Ale nie od razu tak było, prawda?

- Usiądź, Dre. - Amanda poprawiła sobie dziecko na rękę i uniosła wyżej butelkę. Spojrzała na Angie, a potem na mnie. - Co, według was, się tu dzieje?

Dre z powrotem usiadł. Pociągnął łyk z piersiówki, na co Amanda

zgromiła go wzrokiem.

- Cóż, banda wściekłych Rosjan ściga was z jakiegoś powodu - powiedziała Angie.

- Ach, poznaliście ich? - domyśliła się Amanda.

Angie pokręciła głową, wskazując na mnie.

- Poznałem dwóch z nich - wyjaśniłem.

- Niech zgadnę, Jefima i Pawła.

Potwierdziłem i dostrzegłem, jak twarz Dre tężeje. Natomiast Amanda sprawiała wrażenie spokojnej jak zawsze.

- I wiecie, dla kogo pracują.

- Dla Kiryła Borzakowa.

- Barszcza Rzeźnika. - Amanda gładziła Claire po policzku.

- To jeden z jego pseudonimów.

- W jakim ty jesteś wieku? - spytałem.

- Wiecie coś o żonie Kiryła? - odpowiedziała pytaniem na pytanie.

- O Violecie? Słyszałem różne historie.

- Jej ojciec kieruje meksykańskim kartelem narkotykowym. A ona wyznaje jakąś tajemniczą religię, która wymaga ofiar ze zwierząt, a jeśli wierzyć plotkom, nawet czegoś jeszcze gorszego. Stwierdzono u niej poważne zaburzenia psychiczne... w Meksyku. Rodzina rozwiązała problem tak, że zabiła lekarza. Violeta wyszła za Kiryła nie tylko dlatego, że ich małżeństwo zapewnia mu nieprzerwaną dostawę narkotyków, ale też dlatego, że Kirył jest jedyną osobą zwariowaną jeszcze bardziej niż ona i za to bardzo się nawzajem kochają.

- A ty ukradłaś im dziecko - powiedziała Angie i natychmiast, gdy wypowiedziała te słowa, wiedzieliśmy, że ma rację.

Smoczek butelki wyśliznął się z ust Claire.

- Ja... co?

- Ściga cię rosyjska mafia, ale nie dlatego, że jesteś taka dobra w podrabianiu tożsamości, że nie mogą sobie pozwolić na to, by cię stracić. Jefim zabrał Sophie.

- Co zrobił?

- Zabrał ją - potwierdziłem. - A kiedy ją zabierał, powiedział: „Może jeszcze raz zrobi nam przysługę”. - Przechyliłem głowę, przyglądając się Claire z uwagą. To u niej widziałem wcześniej te usta, te włosy. - To dziecko Sophie, nie twoje.

- Ona jest moja. Sophie jej nie chciała.

Odwrociłem się do Dre.

- A kto pomógł wszystko zorganizować?

- To lepsze niż aborcja.

- Och, jasne, takie dzieci czeka wspaniałe życie. Claire z pewnością ma fantastyczny start - wy dwoje uciekacie przed bandą gangsterów depreczających wam po piętach, no i jeszcze drobny problem kradzieży tożsamości i produkcji metaamfetaminy, stanowiącej jak dotąd wasze główne źródło utrzymania. Aha, do tego nielegalne pośrednictwo w przekazaniu dziecka, jak zakładałam. Zgadza się, Dre? To poufna część twojej pracy - specjalizujesz się w samotnych matkach, mogę się założyć. Ciepło?

Uśmiechnąłem się z zakłopotaniem.

- Gorąco. Wygląda, że wszystkiego się domyśliliście. Ale czym się niby różnię od legalnej agencji adopcyjnej? Pomagam kobietom, które nie chcą swoich dzieci.

- Bez żadnego nadzoru - stwierdziła Angie. - Chcesz nam wmówić, że jesteś w stanie dowiedzieć się czegokolwiek o ludziach, którym rosyjska mafia sprzedaje dzieci? Poważnie?

- Cóż, nie zawsze, z pewnością, ale...

- Amando - weszła mu w słowo Angie - mogłaś ukraść inne dziecko, dlaczego ukradłaś to, które miało pójść do pary najgorszych socjopatów w mieście?

- Sama sobie odpowiedziałam. - Claire spała na jej piersi. Amanda odstaawiła butelkę na stolik przy kanapie i wstała. - W większości przypadków mogę jedynie zakładać, dokąd trafiają dzieci przekazywane przez Dre. - Posłała mi miazdzące spojrzenie. - Zwykle nie uważam, że to dla nich najlepsze miejsce. - Ułożyła Claire w rattanowym łóżeczku przy kominku. - Ale w tym wypadku? Wiedziałam, że źle trafi. Sophie jest ćpunką. Przestała brać, kiedy była w ciąży, to dlatego, że kazałam jej zamieszkać ze mną i pilnowałam jej tyłka. Ale wróciła do nałogu zaraz po urodzeniu Claire.

- No cóż, miała powód - wtrącił się Dre.

- Zamknij się, Dre. - Odwróciła się do mnie. - Sophie i tak nie miała zamiaru wychowywać Claire, a Kirył i jego chora psychicznie żona tak. - Po-deszła do mnie i usiadła na brzegu stolika, tak że nasze kolana niemal się stykały. - Chcieli tego dziecka. Jasne, najprościej byłoby ją oddać. I pewnie,

że wolę sobie nie wyobrażać, co się stanie, gdy Jefim i Paweł mnie dopadną. Jefim wozi w bagażniku palnik acetylenowy. Taki, jakich używają na budowach, ze specjalną maską. - Pokiwała głową. - To cały Jefim. A on jest najnormalniejszy z tego towarzystwa. Czy się boję? Jestem przerażona. Czy zabranie im Claire graniczyło z samobójstwem? Prawdopodobnie. Ale wy też macie córkę. Chcielibyście, żeby ją wychowywali Kirył i Violeta Borzakow?

- Oczywiście, że nie - powiedziała Angie.

- No więc sami widzicie?

- To nie takie proste, nie chodzi o wybór, czy dziecko będzie wychowywane przez Borzakowów, czy je porwiesz. Były inne możliwości.

- Nie, nie było.

- Dlaczego?

- Musielibyście tam być.

- Gdzie?

Pokręciła głową, a potem podeszła do łóżeczka i patrzyła na dziecko, stojąc z rękami skrzyżowanymi na piersi.

- Angie, mogłabyś na coś rzucić okiem?

- Jasne. - Angie dołączyła do niej i obie popatrzyły na Claire.

- Widzisz te czerwone plamki na jej nóżkach? To ślady po ukąszeniach?

Angie zgięła się w pół, zaglądając do łóżeczka.

- Nie sądzę. Myślę, że to zwykła wysypka. Czemu nie spytasz Dre. Był lekarzem.

- Niezbyt dobrym - odparła Amanda, na co Dre zamknęła oczy i opuściła głowę. - Wysypka?

- Tak, niemowlęta miewają wysypki. Często.

- I co się wtedy robi?

- Nie wygląda to poważnie, ale rozumiem, że się martwisz. Kiedy masz następną wizytę kontrolną u pediatry?

Przez moment Amanda sprawiała wrażenie osoby kompletnie bezradnej.

- Miesięczna kontrola wypada jutro, więc sądzisz, że mogę z tym poczekać do jutra?

Angie uśmiechnęła się, kładąc jej dłoń na ramieniu.

- Z pewnością.

Wszyscy aż podskoczyliśmy w miejscu, gdy zza naszych pleców dobiegł ostry hałas, ale to tylko wrzucono pocztę przez szparę w drzwiach, zabezpieczoną metalową kłapką. Na podłogę spadły dwie broszury reklamowe i kilka kopert.

Amanda i ja rzuciliśmy się w stronę drzwi, ale ja byłem bliżej. Zgarnąłem trzy koperty, wszystkie adresowane do Maureen Stanley. Jeden list był z National Grid, drugi z American Express, a trzeci z zarządu ubezpieczeń społecznych.

- Panna Stanley, jak rozumiem. - Podałem pocztę Amandzie, która wyszarpnęła mi ją z ręki.

Podeszliśmy z powrotem do dziecka w momencie, gdy Dre chował pierśiówkę w kieszeni.

Angie stała nad łóżeczkiem i patrzyła na dziewczynkę; rysy jej złagodniały tak, że wyglądała o dziesięć lat młodziej. Wystarczyło jednak, że oderwała wzrok od maleństwa, by przybrały surowy wyraz. Zwróciła się do Dre i Amandy:

- Na czele listy rzeczy, które nie pasują do tych wszystkich kłamstw i półprawd, jakie nam wciskacie, odkąd tu weszliśmy, znajduje się pytanie: „Dlaczego wciąż tu jesteście?”.

- Tu w sensie na planecie Ziemi? - spytała Amanda.

- Nie, tu w Nowej Anglii.

- To mój dom. Stąd pochodzę.

- Tak, ale osiągnęłaś mistrzostwo w podrabianiu tożsamości - przypomniałem jej.

- Jestem niezła - przyznała.

- Macie na karku Rosjan z palnikami acetylenowymi, a postanawiacie się ukrywać w odległości stu pięćdziesięciu kilometrów? Do tej pory mogliście być w Belize. Albo w Kenii. Ale zostaliście. Zgadzam się całkowicie z moją żoną. Dlaczego?

Claire zaczęła się wiercić, a potem nagle zapłakała.

- I widzicie? Obudziliście dziecko - powiedziała Amanda.

Rozdział 20

Zabrała dziecko do sypialni sąsiadującej z salonem i przez chwilę słyszeliśmy je tam - Amanda przemawiała uspokajająco, dziecko płakało - a potem Amanda zamknęła drzwi.

- Kiedy przestają płakać? - spytał Dre.

Oboje z Angie parsknęliśmy śmiechem.

- Ty jesteś lekarzem.

- Ja tylko odbieram porody. Kiedy już opuszczą brzuch, znikają mi z oczu.

- Nie uczyłeś się o rozwoju dziecka w uczelni medycznej?

- Ładnych parę lat temu. No i to była wiedza akademicka. Teraz jest jakby bardziej praktyczna.

Wzruszyłem ramionami.

- Każde dziecko jest inne. Niektóre zaczynają sypiać w stałych porach, już mając pięć albo sześć miesięcy.

- A wasze?

- Miała cztery i pół miesiąca, gdy zaczęło się to regulować.

- Cztery i pół miesiąca? Cholera.

- Tak - włączyła się Angie. - A niedługo potem zaczęła ząbkować. Wydaje ci się, że wiesz, co to znaczy przeraźliwy płacz. Ale to ci się tylko wydaje. Tak naprawdę nie masz o tym pojęcia. Nawet nie będę mówić, jak to jest przy zapaleniu ucha.

- Pamiętasz, co się działo, gdy miała infekcję w obu uszach i do tego równocześnie wyrzynał jej się ząb?

- No nie, teraz to sobie robicie ze mnie jaja - zachnął się Dre.

Popatrzyliśmy na niego, wolno kręcąc głowami.

- To dlaczego w telewizji i na filmach nigdy to tak nie wygląda? - spytał.

- Prawda? Zawsze gdzieś znikają, kiedy akurat nie są potrzebne głównemu bohaterowi.

- Niedawno oglądałem wieczorem film, w którym ojciec jest agentem FBI, matka chirurgiem i mają zdaje się sześćioletnie dziecko. Odcinek się zaczyna tak, że są razem na wakacjach, bez dziecka. Pomyślałem, że w porządku, dziecko jest z nianią, ale w następnej scenie okazało się, że niania dorabia sobie w szpitalu pani doktor. A dziecko? Pewnie jechało po zakupy autem z mechaniczną skrzynią biegów. Albo grało w klasy na autostradzie międzystanowej.

- Hollywoodzka logika - powiedziała Angie. - W filmach zawsze jest też wolne miejsce do parkowania pod szpitalem i każdym urzędem.

- Ale czym się przejmujesz? - rzuciłem lekko. - Przecież nie jesteś ojcem.

- No tak, ale..

- Ale co? Pozwól, że spytam, skoro już pogadaliśmy o dzieciach. Sypiasz z Amandą?

Odchylił się do tyłu, opierając kostkę prawej nogi na lewym kolanie.

- A jeśli nawet?

- Dosyć uników, rozmawiamy poważnie. Sypiasz z nią?

- Dlaczego mam wam...

- Nie wydaje mi się, żebyś był w jej typie, stary.

- Ona ma siedemnaście lat...

- Szesnaście.

- W przyszłym tygodniu skończy siedemnaście.

- No to w przyszłym tygodniu powiem, że ma siedemnaście.

- Chodzi mi o to, że jaki „typ” można mieć w tym wieku?

- A mnie chodzi o to, że nie taki, jaki ty reprezentujesz. - Rozłożyłem ręce. - Przykro mi, stary, ale jakoś tego nie widzę. Widzę, jak ty na nią patrzysz, i owszem, widzę faceta, który czeka na te siedemnaste urodziny, żeby sumienie pozwoliło mu się do niej dobrać. Ale nie widzę nic podobnego w tym, jak ona na ciebie patrzy.

- Ludzie się zmieniają.

- Pewnie - przyznała Angie. - Ale upodobania nie.

- Och, człowieku... - Nagle wydał mi się niepewny i zagubiony. - Człowieku, nie wiem. Nie wiem.

- Czego nie wiesz? - dociekała Angie.

Kiedy na nią spojrział, włosy miał bardziej wilgotne, a oczy zasnuwała mu mleczna mgła.

- Nie wiem, dlaczego wciąż się oszukuję. Robię to co kilka lat, żeby się ostatecznie upewnić, że nigdy nie będę miał normalnego życia. Mój psychoanalityk z pewnością by powiedział, że nałogowo powtarzam takie zachowania, próbując cofnąć się do rozwodu moich rodziców i jakimś cudem osiągnąć inny skutek. Rozumiem to, naprawdę, ale chcę, żeby mi ktoś powiedział, co mam zrobić, bo wciąż popełniam te same durne błędy. Wiecie, jak doszło do tego, że straciłem prawo do wykonywania zawodu i zadłużyłem się u Rosjan?

Pokręciliśmy głowami.

- Narkotyki? - podsunąłem.

- W pewnym sensie. Nie byłem uzależniony ani nic z tych rzeczy. Nie o to poszło. Poznałem pewną dziewczynę. Rosjankę. Właściwie Gruzinkę. Swietłanę. Była... kurczę, niesamowita. Szalona w łóżku i poza łóżkiem też. Tak piękna, że patrząc na nią, miałeś ochotę odgryźć sobie rękę... - Opuścił prawą nogę na ziemię i mówiąc, patrzył na swoje stopy. - Któregoś dnia poprosiła mnie, żebym jej wypisał receptę na dilaudid. Oczywiście odmówiłem. Zacytowałem przysięgę Hipokratesa, przepisy obowiązujące w Massachusetts, zabraniające lekarzom przepisywania czegokolwiek poza lekami na zdiagnozowany stan medyczny, bla, bla, bla. Krótko mówiąc, urobiła mnie w ciągu niecałego tygodnia. Jakim cudem? Nie wiem. Bo nie mam kręgosłupa moralnego. Tak czy inaczej, urobiła mnie. Po trzech tygodniach przepisywałem jej oksykodon, przepisywałem pieprzony fentanyl i właściwie wszystko inne, czego sobie zażyczyła. Kiedy zrobiło się za dużo śladów na papierze, zacząłem kraść to gównno prosto ze szpitalnej apteki. Wziąłem nawet dodatkowe nocne dyżury w Szpitalu Faulknera, żeby tam też kraść. Nie wiedziałem, ale już wtedy prowadzono przeciwko mnie śledztwo. Swietłana zauważyła, że spodobała mi się gra w blackjacka, gdy kilka razy byliśmy w Foxwood, i zawiozła mnie do pewnego miejsca w Allston. Kasyno dla wtajemniczonych znajdowało się na zapleczu ukraińskiej piekarni. Za pierwszym razem poszło mi jak marzenie. Mili faceci, piękne kobiety, wszyscy prawdopodobnie naćpani tym gównem ode mnie. Następnym razem znowu wygrywam. Trochę mniej, ale jednak wygrywam.

Nim zacznę przegrywać, wszyscy są dla mnie mili - zgadzają się brać oksykodon zamiast pieniędzy, co mi pasuje, bo Swietłana praktycznie oskubała mnie z kasy. Dostaję listę zakupów: vicodin HP, palladon, fentora, actiq, stary nudny percodan, i cokolwiek jeszcze być chciał. Zanim stanowa izba lekarska każe mnie aresztować i wniesie oskarżenia, jestem winien rekinom Kiryła dwadzieścia sześć tysięcy. Tylko że te dwadzieścia sześć tysięcy to pikuś w porównaniu z tym, co czeka na horyzoncie. Bo jeśli nie chcę spędzić trzech do sześciu lat w pudle, muszę zdobyć pieniądze na dobrych adwokatów. Kolejne dwieście pięćdziesiąt do zapłacenia krwiopijcom, ale przynajmniej tylko mi odbierają prawo wykonywania zawodu, nie idę siedzieć, nie ma wyroku. Kilka tygodni później Kirył podchodzi do mnie w jednej ze swoich restauracji i twierdzi, że to dzięki niemu nie zostałem skazany. I że to kosztuje następne ćwierć miliona. Nie mogę udowodnić, że nie miał żadnego wpływu na sędziego, a nawet gdybym mógł, to jeśli Kirył Borzakow twierdzi, że jesteś mu winien pięćset dwadzieścia sześć tysięcy dolarów, to zgadnij, ile jesteś winien Kiryłowi Borzakowowi?

- Pięćset dwadzieścia sześć tysięcy dolarów - odpowiedziałem.
- Dokładnie.

Komórka zaczęła wibrować, więc ją wyjąłem, spojrzałem na wyświetlacz i zobaczyłem nieznaną mi numer. Schowałem ją z powrotem do kieszeni.

- Niedługo potem jeden z ludzi Kiryła, Paweł - chyba się poznaliście - przychodzi do mnie i mówi, że powinienem się ubiegać o posadę w Wydziale Dzieci i Rodzin. Okazuje się, że człowiek z kadr odpracowuje u nich własny dług. Zgłaszam się więc, on przymyka oko na brak zaświadczenia o niekaralności i dostaję pracę, do której mam ewidentnie za wysokie kwalifikacje. Parę tygodni później, po tym kiedy moje biuro opuszcza wyjątkowo atrakcyjna czternastolatka w ciąży, dostaję telefon, że mam jej złożyć propozycję.

- Ile dostawałeś za dziecko? - Głos Angie był ciężki od pogardy.
- Odejmwali tysiąc od mojego długu.
- Więc musiałbyś im załatwić pięćset dwadzieścioro sześcioro dzieci, zanim by ci dali spokój?

Pokiwał głową z rezygnacją.

- Ile ci zostało?

- Za dużo.

Telefon znów zawibrował. Popatrzyłem na wyświetlacz. Ten sam numer. Schowałem telefon do kieszeni.

- Wiesz, że nawet gdybyś im załatwił pięćset dwadzieścioro sześcioro dzieci, które by mogli sprzedać na czarnym rynku... - zaczęła moja żona.

- Nigdy by mi nie dali spokoju - dokończył Dre.

- Właśnie.

Komórka zawibrowała po raz trzeci. Tym razem dostałem SMS: *Hej, człowieku. Odbieraj ten pieprzony telefon. Z poważaniem Jefim.*

Dre znów pociągnął tyk z piersiówki.

- Bawisz się tym jak piętnastolatka - powiedział.

- Tak, kto jak kto, ale ty wiesz o tym wszystko.

Mój telefon jeszcze raz zadzwonił. Wstałem z kanapy i przeszedłem na frontowy ganek. Amanda miała rację, było stamtąd słyhać gulgotanie strumyka.

- Halo.

- Halo, dobry człowieku. Co zrobiłeś z hummerem?

- Podjechałem pod stadion i tam go zostawiłem.

- Ha. No i dobrze. Może kiedyś zobaczę, jak jedzie nim trener Patriotów w swojej bluzie z kapturem.

Uśmiechnąłem się mimo woli.

- O co chodzi, Jefim?

- Gdzie teraz jesteś, przyjacielu?

- W terenie. A co?

- Pomyślałem, że może moglibyśmy pogadać. Może moglibyśmy sobie wzajemnie pomóc.

- Skąd masz mój numer telefonu?

Wybuchnął głębokim śmiechem, pochodzącym z brzucha.

- Wiesz, jaki dziś dzień?

- Czwartek.

- Zgadza się, czwartek, mój przyjacielu. A piątek to wielki dzień.

- Ponieważ chciałeś, żeby Kenny i Helene znaleźli ci coś do piątku.

Znów usłyszałem parsknięcie na linii.

- Kenny i Helene nie potrafią znaleźć kurczaka w rosole, mój drogi. Ale ty? Zajrzałem ci w oczy, po tym, gdy podziurawiłem to gejowskie auto, i

widziałem, że się boisz - byłbyś sukinsynem bez nerwów, gdybyś się nie bał - ale widziałem też, że jesteś ciekawy. Siedziałeś tam i myślałeś, jeśli ten pieprznity Mordwin nie pociągnie za spust, muszę się dowiedzieć, dlaczego do mnie celuje. Widzę to w twoich oczach, człowieku. Widzę to. Jesteś tym typem.

- Tak? Jakim typem?
- Typem, który się nie poddaje. Jak to mówią o wielkości psa?
- To nie wielkość psa decyduje o wyniku walki, tylko...
- ...waleczność małego psa. Tak.
- Mniej więcej.
- Domyślam się, że już wiesz, gdzie jest ta stuknięta Amanda.
- Dlaczego uważasz, że jest stuknięta?
- Bo nas okradła. A to znaczy, że jest pieprzoną wariatką, człowieku.

Jeśli jeszcze nie wiesz, gdzie ona jest, to założę się o worek myszy, że jesteś blisko.

- Worek myszy?
- To stare mordwińskie wyrażenie.
- Aha.
- Więc gdzie ona jest, przyjacielu?
- Pozwól, że najpierw ja ciebie o coś zapytam.
- Wal.
- Co ona ma, na czym ci tak bardzo zależy?
- Pogrywasz sobie ze mną, człowieku?
- Nie.
- Robisz sobie jaja z Jefima?
- Absolutnie nie.
- Więc dlaczego zadajesz durne pytanie? Dobrze wiesz, czego chcemy.
- Naprawdę nie mam pojęcia. Wiem, że chcecie dopaść Amandę, i

wiem...

- Nie chcemy Amandy, człowieku. Chcemy tego, co zabrała. Wchodzi w grę autorytet Kiryła, a wygląda, że Borzakow nie umie znaleźć małej dziewczynki, która ukradła jego własność. Czeczeni z sąsiedztwa już się z niego śmieją. Chyba będziemy musieli paru zabić, żeby zamknąć im pyski, żebyśmy nie musieli patrzeć na ich zepsute zęby.

- Więc co...?

- Pieprzone dziecko! I pieprzony krzyż! Chcę jednego i drugiego. Jeśli ten głupi zakochany karciarz doktor wróci do pracy i znajdzie mi inne niemowlę, dam je Kiryłowi, nie zobaczy różnicy. Ale jeśli nie będę miał tego krzyża i jakiegoś dziecka do weekendu? Zrobię krwawą łaźnię, człowieku.

- Oddasz mi w zamian Sophie?

- Nie, nie dam ci, kurwa, Sophie. Nie robimy żadnych interesów. Jefim mówi, że chce mieć dziecko i krzyż, więc przywozisz dziecko i krzyż. Bo jak nie, to... Jest taka zupa, sprzedają ją w małych miasteczkach nad Morzem Czarnym. Tylko tam ją można dostać. Przychodzi w czerwonych puszkach. Kawalki ciebie będą w tych puszkach. I kawalki twojej rodziny, człowieku.

Przez chwilę obaj milczeliśmy. Dłoń miałem czerwoną od ściskania telefonu, a mały palec zupełnie mi zdrętwiał.

- Jesteś tam jeszcze, człowieku?

- Pieprz się, Jefim.

Roześmiał się niskim, cichym śmiechem.

- Nie, to ciebie wypieprzę, człowieku. Ciebie i twoją żonę, i twoją małą córeczkę w Savannah.

Popatrzyłem na drogę. Asfalt był intensywnie czarny. Tak samo jak pnie drzew koło kościoła. Chmury zeszyły z gór i wisały tuż nad drutami telefonicznymi wzdłuż drogi. Powietrze ociekało wilgocią.

- Myślisz, że cię nie obserwujemy? - powiedział Jefim. - Myślisz, że nie mamy przyjaciół w Savannah? Mamy przyjaciół wszędzie. Tak, wysłałeś tego wielkiego zwariowanego Polaka, żeby chronił twoją córkę, więc straciliśmy paru ludzi. Ale to nic, mamy ich więcej.

Stałem na ganku i patrzyłem na drogę. Kiedy się w końcu odezwałem, słowa brzmiały ostrzej, niż bym sobie życzył.

- Opowiedz mi o tym krzyżu.

- Ten krzyż - zaczął Jefim - to białoruski krzyż. Ma tysiąc lat, człowieku. Niektórzy nazywają go krzyżem Waregów, jeszcze inni krzyżem Jarosława, ale mnie się podoba białoruski krzyż. Nie ma na niego ceny, człowieku. Książę Jarosław zapłacił tym krzyżem Waregom, żeby zabili jego brata Borysa podczas wojny zjednoczeniowej w tysiąc dziesiątym lub

tysiąc jedenastym. Ale potem zatęsknił za tym krzyżem tak bardzo, że jak został władcą Rusi Kijowskiej, posłał innych Waregów przeciwko tym pierwszym, oni ich zabili i oddali mu krzyż z powrotem. Znajdował się w kieszeni cara wtedy w tysiąc dziewięćset siedemnastym, kiedy w piwnicy postawili go pod ścianą i bum, rozwalili mu mózg. Trocki miał go ze sobą w Meksyku, kiedy dostał w łeb czekanem. Ten krzyż był w wielu rękach, człowieku. Teraz należy do Kiryła, który ma się nim pochwalić na przyjęciu w sobotę. Będą tam wszystkie grube ryby. Prawdziwi gangsterzy. On potrzebuje tego krzyża.

W końcu byłem w stanie się odezwać.

- I ty myślisz...

- Nie myślę. Wiem. Ta dziewczyna go ma. Albo ten zaszary doktorek. Aha, powiedz mu, żeby wracał do pracy. Powiedz mu, że tak bardzo go potrzebujemy, że nie utniemy mu palca u ręki, tylko u nogi. Palca u nogi nie potrzebuje tak jak palca u ręki. Owszem, będzie kulą. Ludzie czasem kuleją. Znajdź mi ten krzyż, znajdź mi to dziecko, człowieku. A ja...

- Nie ma mowy.

- Powiedziałem...

- Wiem, co powiedziałeś, pieprzony kmiocie. Groziłeś mojej żonie? Groziłeś mojej córce? Jeśli tylko coś im się stanie albo mój przyjaciel zadzwoni, że w centrum handlowym widział któregoś z twoich pieprzonych osiłków udających Stallone'a w „Nocnym jastrzębiu”, to rozwalę całą tę twoją pieprzoną organizację w drobny mak.

Śmiał się tak głośno, że musiałem odsunąć telefon od ucha.

- No dobra. - Głos wciąż drżał od chichotu. - Dobrze, panie Kenzie. Zabawny z ciebie gość, przyjacielu. Bardzo, bardzo zabawny. Wiesz, gdzie jest mój krzyż?

- Może. Wiesz, gdzie jest Sophie?

- Nie, ale mogę się szybko dowiedzieć. - Znów się zaśmiał. Skąd wytrzasnąłeś tego „kmiota”, człowieku? Nigdy czegoś podobnego nie słyszałem.

- Właściwie nie wiem. Pewnie z jakiejś starej taśmy.

- Podoba mi się. Mogę używać?

- Do woli.

- Mogę powiedzieć do jakiegoś gościa: „Płać, kmiecie, bo inaczej pożalujesz”. Ha.

- Proszę bardzo.

- Znajdę Sophie. Ty znajdź krzyż. Zadzwońię do ciebie później.

Zachichotał i się rozłączył.

Wróciłem do pokoju roztrzęsiony; adrenalina buzowała mi pod czaszką, głowa pękała z bólu.

- Opowiedz mi o białoruskim krzyżu.

Dre wyglądał tak, jakby podczas mojego pobytu na ganku parę razy zacerpnął z piersiówki. Angie siedziała w fotelu najbliżej kominka. Sprawiała wrażenie jakby zagubionej. Posłała mi spojrzenie, które nie do końca potrafiłem odczytać, ale z pewnością były w nim ból i samotność. Amanda zajęła miejsce na końcu kanapy; na stoliku obok niej stał ekran urządzenia monitorującego pokój dziecka. Czytała „Last Night at the Lobster”, ale kiedy wszedłem, odłożyła książkę na stolik i popatrzyła na mnie.

- Z kim rozmawiałeś?

- Białoruski krzyż - powiedziałem.

- Rozmawiałeś z białoruskim krzyżem?

- Amando.

Wzruszyła ramionami.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

Nie miałem czasu na takie zagrywki. To znaczyło, że zostały mi tylko dwie możliwości - groźba albo obietnica.

- Pozwolą ci zatrzymać dziecko.

Wyprostowała się gwałtownie.

- Co?

- Słyszałaś. Jeśli ten geniusz - wskazałem głową na Dre - szybko załatwi im drugie niemowlę, będziesz mogła zatrzymać Claire.

Odwróciła się do niego.

- Możesz załatwić?

- Możliwe.

- A niech cię, Dre - zirytowała się. - Możesz czy nie?

- Nie wiem. Jest taka jedna dziewczyna bliska rozwiązania. To może być początkowe stadium porodu albo fałszywy alarm. Z takim sprzętem, jaki mam do dyspozycji, nie jestem w stanie stwierdzić na pewno.

Amanda zacisnęła szczęki, po czym je rozluźniła. Obiema rękami odgarnęła włosy do tyłu, powoli zebrała je w koński ogon i związała gumką wziętą ze stolika.

- Więc rozmawiałeś z Jefimem.

Przytaknąłem skinieniem.

- I wyraził się jasno.

- Trudno byłoby jaśniej - chcą dostać krzyż i niemowlę i wtedy o tobie zapomną.

Podciągnęła kolana pod brodę, opierając bose stopy na poduszce kanapy. Po odgarnięciu włosów z twarzy jej rysy powinny się wydać ostrzejsze, mniej bezbronne, tymczasem efekt był wręcz przeciwny. Wyglądała jak dziecko. Przerażone dziecko.

- Wierzysz mu?

- Wierzę, że on sam wierzy w to, co mówił. A czy uda mu się przekonać Kiryła i jego żonę, to już zupełnie inna sprawa.

- Wszystko zaczęło się od tego, że Kirył zobaczył zdjęcie Sophie. To jedna z... - opuściła wzrok na kanapę - ...usług, jakie świadczy Dre. Kirył z Violeta zobaczyli Sophie i chyba uznali, że wygląda jak młodsza siostra Violety czy coś w tym rodzaju, i od tamtej pory chcieli tylko dziecka Sophie.

- Więc sprawa może być bardziej skomplikowana, niż sądzi Jefim.

- Zawsze jest bardziej skomplikowana - powiedziała Amanda. - Ile ty masz lat?

Uśmiechnąłem się półgębkiem.

Amanda popatrzyła na Dre, który siedział z miną psa, czekającego na komendę „spacer” albo „micha”.

- Nawet gdyby załatwił inne niemowlę, czy i tak nie wyjdzie na jedno - oddamy dziecko parze psychopatów?

Pokiwałem głową.

- Potrafisz żyć z czymś takim?

- Przyjechałem tu, żeby odnaleźć ciebie i wydostać z ich rąk Sophie. Tylko tyle brałem pod uwagę.

- Jak miło.

- Hej, Amando - rzuciłem ostrzegawczym tonem. - Ludzie, którzy żyją w szklanych domach z porwanymi dziećmi, nie powinni rzucać kamieniami.

- Wiem, tylko że przypomina mi to logikę, przez którą dwanaście lat temu zostałam odesłana do Helene.

- Nie myślę teraz o tym. Chcesz powspominać całe to gówno w jakiejś spokojniejszej chwili, służę uprzejmie. Ale teraz musimy im dać ten cholerny białoruski krzyż i jeśli to możliwe, przekonać ich, że dostaną inne dziecko.

- A jeśli nie będziemy mogli?

- Dać im innego dziecka?

Potwierdziła.

- Nie mam pojęcia, co wtedy, ale wiem, że oddając krzyż, zyskamy trochę czasu. W sobotę wieczorem ma być pokazywany gościom w domu Kiryła. Jeśli go tam nie będzie, to nie mam wątpliwości, że pozabiją nas wszystkich, łącznie z moją rodziną. Jeśli im go damy, zyskamy kilka dni na rozwiązanie sprawy dziecka.

Angie patrzyła na mnie szeroko otwartymi oczami.

- Brzmi rozsądnie - przyznał Dre.

- Z pewnością. - Amanda odwróciła się w moją stronę. - A jeśli nie dotrzyma obietnicy? Wystarczy, że Jefim się dowie, gdzie jestem, a nie ma zbyt wielu miejsc, w których mogłabym się ukryć. Tobie wystarczył jeden poranek, żeby nas znaleźć. Co mu przeszkodzi wziąć najpierw krzyż, a potem wrócić po dziecko?

- Mamy tylko jego słowo, że tego nie zrobi.

- Wzięłbyś je na poważnie? Słowo zabójcy, wywodzącego się z słońcewskiej braci z Moskwy?

- Nawet nie wiem, co to jest.

- Mafia. Bractwo. Wyobraź sobie potężny gang, jak Crips albo Bloods, z wojskową dyscypliną i powiązaniem sięgającymi najwyższych stanowisk w rosyjskim przemyśle naftowym.

- O!

- Tak. Właśnie stamtąd wywodzi się Jefim. Wierzysz, że dotrzyma słowa?

- Nie. Nie wierzę. Ale jaką mamy alternatywę?

Po paru niepewnych stęknieniach dziecko rozplakało się pełnym głosem. Słychać je było i na monitorze, i przez drzwi. Amanda ześliznęła się z kanapy i włożyła na stopy pantofle. Zabierając ze sobą monitor, weszła do sypialni.

Dre pociągnął łyk z piersiówki.

- Pieprzeni Ruscy.
- Może byś zwolnił?
- Miałeś rację. - Znów się napił. - Wcześniej.
- W kwestii czego?

Wcisnął głowę w oparcie kanapy, spojrzeniem wskazując na drzwi do sypialni.

- Amandy. Chyba jej się nie podobam. Tak mi się wydaje.

- W takim razie dlaczego z tobą jest? - spytała Angie. Wypuścił powietrze z sykiem.

- Nawet Amanda, choć taka wspaniała, potrzebuje pomocy przy noworodku. Wiecie, jakie są te pierwsze tygodnie? Co pięć minut trzeba latać do supermarketu - po pieluchy, po mleko, więcej pieluch, więcej mleka. Dziecko się budzi co półtorej godziny i płacze. Raczej nie ma mowy o śnie czy wolnej chwili.

- Twierdzisz, że potrzebowała gońca.

Pokiwał głową.

- Ale teraz już wie, jak to jest. - Zaśmiał się z goryczą. - Na początku, kiedy się poznaliśmy, pomyślałem, że to strzał w dziesiątkę - niewinna dziewczyna, nietknięta, niezepsuta, niesamowicie inteligentna. Potrafi cytować Shawa, cytować Stephena Hawkinga, jest tak wyluzowana, że może też cytować „Młodego Frankensteina”, jednego wieczoru może dyskutować o fizyce kwantowej i o tekście „Monkey Man”. Lubi Rimbauda i Axl Rose'a, Lucindę Williams i...

- Długo jeszcze? - przerwała mu Angie.

- Co?

- To brzmi, jakby ci się zdawało, że możesz ulepić z Amandy swój własny model Nexusa 6, złożony ze wszystkich dziewczyn, które cię olały w liceum - powiedziałem.

- Nie, to nie tak.

- Dokładnie tak. Ta wersja by tobą nie pomiatała, tylko by cię podziwiała. A ty mógłbyś całymi nocami rozprawiać o muzyce Sigur Ros i metaforycznym znaczeniu królika w „Donnie Darko”. A ona trzepocząc rzęsami, pytałaby, gdzie się podziewałeś przez całe jej życie.

Opuścił wzrok na swoje kolana.

- Hej, pieprz się - powiedział szeptem.

- Niech ci będzie.

Wyobrażałem sobie dziewczynkę znaną po siedmiu miesiącach poszukiwań, bawiła się na ganku z kobietą o wielkim sercu, która ją uwielbiała, i z buldogiem o imieniu Larry. Gdybym ją tam zostawił, kim byłaby teraz? Może kłębką nerwów, może pamiętałaaby na tyle dużo ze swojego życia z Helene, by wiedzieć, że jej życie z Jackiem i Patricia Doyle'ami było kłamstwem. A może niewiele by pamiętała z czasu spędzonego z matką alkoholiczką w dwupiętrowym domu w Dorchester, śmierdzącym brudną wykładziną i papierosami, tak niewiele, że dobrze by się przystosowała do życia w małym miasteczku w Ameryce, a o kradzieży tożsamości, wyłudzeniach za pomocą kart kredytowych i rosyjskich zabójcach z sołncewskiej braci wiedziałaaby tylko tyle, ile by usłyszała w dzienniku telewizyjnym. Nawet gdyby Amanda nigdy nie została porwana, przy matce takiej jak Helene jej szanse, by wyrosnąć na zdrowe, dobrze radzące sobie w życiu dziecko, wynosiły jakieś sto milionów do jednego. Dzięki porwaniu, jakkolwiek paradoksalne mogło się to wydawać, przekonała się, że istnieje inny sposób życia. Nie taki, jak życie jej matki, z jedzeniem fast foodów i pełnymi popielniczkami. Z ponagleniami od wierzycieli i narzeczonymi po wyrokach. Po tym, jak zobaczyła świat tego małego górskiego miasteczka, postanowiła kiedyś do niego wrócić. I być może od tamtego momentu silna wola stała się dominującą cechą jej charakteru.

- Oni nie odpuszczają - upierał się Dre - niezależnie od tego, co ci powiedział Jefim.

- Dlaczego?

- Choćby dlatego, że ktoś musi zapłacić za Timura.

- Kim jest Timur? - Angie podeszła do kanapy.

- Był Rosjaninem.

- Tak? I co się z nim stało?

- My go... jak by to powiedzieć... zabiliśmy.

Rozdział 21

Zatem zabiliście Rosjanina o imieniu Timur, żeby przejąć białoruski krzyż.

- Nie - powiedział Dre.

- Nie zabiliście go?

- Zabiliśmy, ale nie zrobiliśmy tego, żeby przejąć białoruski krzyż. Nie mieliśmy pojęcia o żadnym białoruskim krzyżu, dopóki nie otworzyliśmy walizki.

- Jakiej walizki? - Angie przysiadła na brzegu kanapy.

- Tej przypiętej do nadgarstka Timura.

Zmrużyłem oczy.

- Proszę, proszę...

Dre zastanawiał się, czy nie pociągnąć z piersiówki, lecz ostatecznie schował ją z powrotem do kieszeni. Zaczął się bawić kluczami, mechanicznym ruchem obracał je wokół plastikowego breloczka ze zdjęciem Claire.

- Słyszałeś o Zippie?

- Chłopak Sophie - wtrąciła Angie.

- Właśnie. Zauważyliście, że od dłuższego czasu nikt go nie widział?

- Zwróciło to naszą uwagę.

Wyciągnął się na kanapie jak na kozetce u psychoanalityka. Uniósł rękę i zaczął kołysać łańcuszkiem z kluczami, tak że zdjęcie Claire migotało mu przed oczami, raz po raz kreśląc cień na nosie.

- W Brighton, tuż przy autostradzie Mass Pike, jest hurtownia z pamiątkami filmowymi. Cały parter zajmują plakaty, a połowa to wielkie plakaty do filmów europejskich. Na pierwszym piętrze są rekwizyty i kostiumy; to tam, nie w LA, możesz dostać dyplom New York University z filozofii, który Swayze miał na ścianie w „Wykidajle”. Rosjanie mają tam od choleiry rozmaitego szmelcu - skórzane spodnie Sharon Stone z „Szybkich i martwych”, futrzany kostium Harry'ego z „Harry'ego i Hendersonów”. Mają

też drugie piętro, na które nikt nie wchodzi, ponieważ tam się znajdują sale porodowe i poporodowe. - Pomachał palcami. - Jestem lekarzem, gdybyście nie pamiętali, a te dzieci nie mogą być objęte dokumentacją szpitalną. W momencie wejścia do systemu stałyby się łatwe do wyśledzenia. Dlatego rodzą się w hurtowni pamiątek filmowych w Brighton i zwykle trzy dni później opuszczają miasto samolotem. Niektóre szczególne przypadki są zabierane stamtąd niemal natychmiast po przecięciu pępowiny.

- Tak właśnie stało się z Claire. - Angie pochyliła się, opierając podbródek na dłoni.

Dre uniósł palec.

- Tak miało być z Claire. Ale w sali porodowej oprócz mnie i Sophie byli również Amanda i Zippo. Sprzeciwiłem się. Trudno oddać dziecko, nawet kiedy się nie widzi jego narodzin. Ale Amanda oddaliła mój sprzeciw, jak to Amanda. I byliśmy tam wszyscy, kiedy Sophie rodziła. - Westchnął. - Niesamowite narodziny. Takie spokojne. Czasami tak jest u młodych matek. Zwykle nie, ale czasami... - Wzruszył ramionami. - Wtedy tak było. Staliśmy tam i podawaliśmy sobie dziecko z rąk do rąk, śmieliśmy się, płakaliśmy i ściskali nawzajem - uściskałem Zippa, chociaż tak naprawdę nie znosiłem tego dzieciaka - gdy nagle drzwi się otwały i w progu stanął Timur. Był łysym olbrzymem, z wielkimi uszami i twarzą, jaką może kochać tylko matka. Dziecko Czarnobyła. Nie żartuję, urodził się w Czarnobyli w połowie lat osiemdziesiątych. Pieprzony mutant. Do tego nałogowy pijak i ćpun. Same zalety. No więc wchodzi, żeby zabrać dziecko, jest naćpany, a do tego ma walizkę przypiętą kajdankami do nadgarstka.

Nagle zrozumiałem - pięć osób wchodzi do pokoju, dwie umierają, ale cztery wychodzą.

- Nie przyjmuje odmowy.

- Nie przyjmuje odmowy? - Dre usiadł i schował klucze do kieszeni dzinśów. - Timur wpada do pokoju, mówi „zabieram dziecko” i chce przeciąć pępowinę. Przysięgam na Chrystusa, jeszcze czegoś takiego nie widziałem. Chwyta nożyczki chirurgiczne i podchodzi do mnie, ja trzymam dziecko; tuż po tym, gdy płakaliśmy ze wzruszenia, ten czarnobyliński mutant idzie do mnie z nożyczkami chirurgicznymi. Otwiera je, sięgając do pępowiny; jedno oko ma przymknięte, bo jest tak naćpany, że widzi podwójnie. To wtedy Zippo

wskoczył mu na plecy i podciął mu gardło skalpelem. Dosłownie otworzył je na całej szerokości. - Na moment ukrył twarz w dłoniach. - To była najgorsza rzecz, jaką w życiu widziałem, a odbywałem staż na oddziale ratunkowym w Gary w Indianie.

Od pewnego czasu nie słyszałem żadnych odgłosów z sypialni. Wstałem.

Dre nawet tego nie zauważył.

- Teraz będzie najlepsze. Timur, mutant z Czarnobyli, mimo rozplatanego gardła zrzucił z siebie Zippa, a kiedy ten leżał już na ziemi, strzelił mu trzy razy w pierś.

Stałem przy drzwiach sypialni i nasłuchiwałem.

- Tak więc teraz ten świr z rozciętym gardłem mierzył do nas i wydawało się, że wszyscy zginieemy. Ale nagle wywrócił oczami tak, że pokazały się białka, i zwałił się z nóg. Umarł, zanim dotknął podłogi.

Zapukałem lekko do drzwi sypialni.

- Z początku nie wiedzieliśmy, co robić, ale zaraz potem do nas dotarło, że cokolwiek się stanie, prawdopodobnie i tak nas pozabijają. Kirył kochał Timura. Traktował go jak ulubionego psa. Prawdę mówiąc, był właśnie czymś takim.

Zapukałem jeszcze raz. Nacisnąłem klamkę. Drzwi były otwarte. Pchnąłem je i zajrzałem do pustej sypialni. Nie było dziecka. Nie było Amandy.

Popatrzyłem na Dre. Nie wyglądał na zaskoczonego.

- Zniknęła? - spytał.

- Owszem. Zniknęła.

- Często jej się to zdarza - powiedział Dre do Angie.

Stojąc przy tylnym wyjściu, patrzyliśmy na niewielkie podwórko i pas żwiru biegnący jego krajem w dół, do wąskiej gruntowej drogi. Po jej drugiej stronie był większy plac, dużo większy, a na nim biały dom w stylu wiktoriańskim, z zielonymi wykończeniami.

- Trzymaliście tu z tyłu drugi samochód - bardziej stwierdziłem, niż spytałem.

- Jesteście detektywami. Nie powinniście przypadkiem sprawdzać takich rzeczy? - Wciągnął głęboko świeże górskie powietrze.

- To stary typ.

- Co?

- Samochód Amandy. Mała honda ze zwykłą skrzynią biegów. Po prostu zwolniła hamulec, na luzie stoczyła się do drogi i skręciła w prawo. - Pokazał wyciągniętą ręką. - Dotarcie stąd do głównej drogi zajęło jej jakieś dziesięć sekund, jak sądzę, i dopiero wtedy włączyła silnik i wrzuciła jedynkę. - Zagwizdał przez zęby. - I poooosła...

- No to ładnie - mruknąłem.

- Często jej się to zdarza, już mówiłem. Jest jak zając. Jeśli coś ją zaniepokoi, po prostu ucieka. Ale wróci.

- A jeśli nie wróci?

- Dokąd miałyby pójść?

- Jest Wielką Nastoletnią Oszustką. Może pójść wszędzie.

Dre podniósł do góry palec wskazujący.

- Zgadza się. Ale nie pójdzie. Przez cały czas ucieka... Ja jestem taki jak wy - doradzałem jej obce kraje, wyspy. Obstaje przy swoim. Tu była kiedyś szczęśliwa i tu chce zostać.

- Przyjemny sentyment - zauważyła Angie - ale nikt nie jest aż tak sentymentalny w sytuacji zagrożenia życia, natomiast Amanda wydaje mi się dużo mniej sentymentalna od większości ludzi.

- A jednak - wzniosł ręce ku niebu - jesteśmy tutaj. - Objął się za ramię. - Zimno mi. Wracam do środka.

Skierował się w głąb domu. Już miałem pójść za nim, kiedy Angie zatrzymała mnie.

- Poczekaj chwilkę. - Drżącą ręką zapaliła papierosa. - Jefim groził naszej córce?

- Robią tak, żeby cię wyprowadzić z równowagi.

- I on właśnie to zrobił. Tak?

Potwierdziłem po momencie wahania.

- No to mu się udało. Jestem roztrzęsiona. - Zaciągnęła się parę razy, nie patrząc mi w oczy. - Dałeś słowo Beatrice, że znajdziesz Amandę i sprowadzisz ją do domu. Prędejj pękniejj, niż złamiesz dane słowo, i chyba właśnie to najbardziej w tobie kocham. Wiesz?

- Wiem.

- Wiesz, jak bardzo cię kocham?

- Jasne, że wiem. To mi pomaga znieść więcej, niż byś przypuszczała, naprawdę.

- I vice versa. - Uśmiechnęła się do mnie drżąc i jeszcze raz zaciągnęła, puszczając obłoczek dymu. - Więc musisz dotrzymać słowa. Nie zgodziłabym się, żeby było inaczej.

Wiedziałem, do czego zmierza.

- Ale ty nie musisz.

- Właśnie. „Ważne komu dajesz słowo”. - Uśmiechnęła się, choć oczy jej zwilgotniały.

- Wiesz jak poważna jest sytuacja, skoro sięgasz po cytaty z „Dzikiem bandy”.

Wyraziła mi uznanie żartobliwym dygnięciem, ale na jej twarz zaraz wróciły powaga i troska.

- Nie obchodzi mnie, co się stanie z tymi ludźmi. Słyszałeś jego opowieść? Ten drań nie jest zwykłym draniem, to potworny drań. Sprzedaje dzieci. W sprawiedliwym świecie trafiłby do więzienia, nie siedziałby w ciepłym salonie w ślicznym małym miasteczku. W pudle tacy jak on dostają za swoje. A teraz moja córka jest w niebezpieczeństwie? Z ich powodu? - Wskazała za siebie, na dom. - Takie ryzyko jest dla mnie nie do przyjęcia.

- Rozumiem.

- Oni wiedzą, że jest w Savannah? Tego wieczoru nie zaśnie beze mnie.

Powiedziałem jej, że ostrzegłem Bubbę i że on ściągnął wsparcie, ale to niewiele pomogło w uśmierzeniu jej lęków.

- To ładnie z jego strony. Naprawdę. Bubba oddałby życie, żeby ją chronić. Nie mam co do tego wątpliwości. Ale jestem jej matką. I muszę do niej jechać. Jeszcze dzisiaj. Choćby nie wiem co.

- I to najbardziej w tobie kocham. - Ująłem jej wolną rękę. - Jesteś jej mamą. A ona potrzebuje mamy.

Zaśmiała się, ale był to śmiech podobny do szloch. Przesunęła wierzchem dłoni pod oczami.

- Mama jej potrzebuje.

Zarzuciła mi ręce na szyję i pocałowaliśmy się; w rześkim zimnym powietrzu dotyk jej ciepłego języka wydawał się jeszcze cieplejszy. Kiedy się od siebie oderwaliśmy, powiedziała:

- W Lenox jest dworzec autobusowy.

Pokręciłem głową.

- Nie bądź śmieszna. Weź jeepa i jedź jak... jak ja. Zostaw auto na parking przy lotnisku. Jeśli będzie trzeba, to po nie przyjadę.

- Jak się dostaniesz do domu?

Dotknąłem jej policzka, myśląc o tym, jakie miałem szczęście, że ją poznałem, poślubiłem i spłodziłem z nią dziecko.

- Pamiętaj, bym kiedykolwiek miał problem z dostaniem się tam, gdzie chcę się dostać?

- Jesteś cudem samowystarczalności. - Potrząsnęła głową, nie mogąc opanować łez. - Ale my cię od tego odrywamy, wiesz, twoja córka i ja.

- Och, zauważyłem.

- Naprawdę?

- Naprawdę.

Przytuliła się do mnie, chwytając mnie za tył głowy i szyję tak mocno, jakby to ją miało uratować przed utonięciem w Atlantyku.

Obeszliśmy dom dookoła, kierując się do jeepa. Oddałem jej kluczyki. Angie wsiadła do środka i znów przez pełną minutę publicznie okazywaliśmy sobie miłość, nim odsunąłem się od okna kierowcy.

Wrzuciła bieg i jeszcze raz na mnie spojrzała.

- Jak to możliwe, że potrafisz znaleźć naszą córkę w Georgii, a nie potrafisz znaleźć szesnastoletniej dziewczyny w Massachusetts?

- Dobrze pytanie.

- Szesnastoletniej dziewczyny, która chodzi z noworodkiem po mieście liczącym najwyżej dwa tysiące mieszkańców?

- Czasami na widoku najłatwiej się ukryć.

- A czasami, kiedy coś śmierdzi, to znaczy, że jest zepsute, skarbie.

Przytaknąłem skinieniem. Poślała mi buziaka.

- Kiedy tylko zobaczysz naszą córkę, zrób jej zdjęcie i mi przyślij - poprosiłem.

- Z największą przyjemnością. - Obejrzała się na dom. - Nie wiem, jak mogłam to robić przez piętnaście lat. I nie wiem, jak ty możesz to robić teraz.

- Nie zastanawiam się nad tym.

Uśmiechnęła się.

- Jasne, że się zastanawiasz.

Wszedłem z powrotem do domu i znalazłem Dre na kanapie przed telewizorem; oglądał program „The View”, w którym Barbara Walters i jej towarzyszkę rozmawiały z Alem Gore'em o globalnym ociepleniu. Głupawa blondynka o figurze anorektyczki poprosiła go, by ustosunkował się do teorii, znanej jej z lektury, łączącej globalne ocieplenie z puszczaniem gazów przez krowy. Al uśmiechnął się z taką miną, jakby wołał dać sobie zrobić kolonoskopię przez dziurę w zębie. Moja komórka zawibrowała - znów numer zastrzeżony.

- To Jefim - powiedziałem.

Dre usiadł.

- Mam go.

- Co?

- Krzyż. - Uśmiechnął się jak mały chłopiec. Przez wycięcie pod brodą włożył rękę pod sweter i wyciągnął spod wszystkich warstw ubrania rzeźmyk zawiązany na szyi. Wisiał na nim gruby czarny krzyż.

- Mam go, stary. Powiedz Jefimowi...

Uciszyłem go, unosząc w górę palec, i odebrałem telefon.

- Cześć, Patrick, ty kmiocie.

Uśmiechnąłem się pod nosem.

- Cześć, Jefim.

- Podoba się? Nazwałem cię kmiotem.

- Super.

- Masz mój krzyż, człowieku?

Wisiał na szyi Dre. Był czarny i miał wielkość mojej dłoni.

- Mam twój krzyż.

Drew pokazał mi uniesione kciuki obu rąk i wyszczerzył się w idiotycznym uśmiechu.

- No to się spotkamy. Jedź do Great Woods.

- Co?

- Do Great Woods, człowieku. Tweeter Center. Och, zaczekaj. - Usłyszałem, jak zaślania ręką telefon i rozmawia z kimś na boku. - Dowiedziałem się, że to miejsce nie nazywa się już Great Woods ani Tweeter Center. Teraz się nazywa... Jak? Poczekaj, Patrick.

- The Comcast Center.

- Comcast Center - powtórzył Jefim. - Wiesz, gdzie to jest, prawda?
- Wiem. Teraz zamknięte. Po sezonie.
- Dlatego nikt nam nie będzie przeszkadzał, człowieku. Podjedź do wschodniej bramy. Znajdziesz drogę do środka. Spotkamy się przy głównej scenie.

- Kiedy?
- Za cztery godziny. Przywieź ze sobą krzyż.
- A ty przywieź Sophie.
- Przywieziesz też dziecko?
- Na razie mam tylko krzyż.
- To główniany interes, człowieku.
- Tylko taki mogę z tobą zrobić, jeśli chcesz, żeby ten krzyż był u Kiri-
ła w sobotę wieczorem.

- W takim razie weź ze sobą doktora.

Spojrzałem na Dre, który gapił się na mnie szeroko otwartymi oczyma z dziecięcą wesołością, prawdopodobnie wygenerowaną farmakologicznie.

- A kto mówi, że wiem, gdzie on jest?

Jefim westchnął.

- Jesteś za bardzo inteligentny, żeby nie wiedzieć, że wiemy więcej, niż mówimy, że wiemy.

Potrzebowałem dodatkowej sekundy, żeby nadażyć za sensem tego zdania.

- My?

- Ja - odpowiedział. - Paweł. My. Jesteś częścią czegoś, przyjacielu, czego jeszcze nie możesz rozumieć.

- Czyżby?

- Owszem. Ja gram w jej grę, a ty grasz w moją. Przywieź doktora.

- Po co?

- Chcę mu coś przekazać osobiście.

- Hmm. Nie jestem pewien, czy mi się to podoba.

- Nie martw się, nic mu nie zrobię. Jest mi potrzebny. Chcę mu tylko powiedzieć prosto w oczy, jak bardzo bym chciał go zobaczyć znowu w pracy. Niech z tobą przyjedzie.

- Zapytam go.

- Okey. - Jefim westchnął. - To do zobaczenia wkrótce - zakończył rozmowę.

Dre schował krzyż z powrotem pod sweter, ale najpierw dał mi go dokładnie obejrzeć. Gdybym zobaczył coś takiego w sklepie z antykami, uznałbym, że jest warte pięćdziesiąt dolarów, nie więcej. Krzyż z czarnego onyksu, w formie typowej dla rosyjskiego kościoła ortodoksyjnego. Z łacińskimi inskrypcjami wyrytymi na górze i na dole wierzchniej strony. W środku był przytwierdzony drugi krzyż z włócznią i gąbką powyżej niewielkiej wypukłości, która, jak się domyśliłem, miała symbolizować Golgotę.

- Chyba nie jest wart śmierci tak wielu ludzi w ciągu wieków? - powiedział Dre, zanim znów wsunął go pod ubranie.

- Jak większość rzeczy, dla których ludzie zabijają.

- Tym dupkom, którzy zabijają, z pewnością wydają się tego warte.

Wyciągnąłem rękę.

- Może mi go oddasz?

Uśmiechnął się, pokazując wszystkie zęby.

- Wał się.

- Może jednak.

- Nie. - Łypnął gałami.

- Mówię poważnie. Wezmę go i dokonam zamiany. Nie ma potrzeby, żebyś się narażał tym ludziom. To nie twoja sprawa, Dre.

Uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Możesz wszystkim innym wciskać to gówno, ale nie mnie. Jesteś taki sam jak wszyscy. Położysz na nim łapę i co? Ten przedmiot jest wart... Ile są warte obrazy van Gogha? Będziesz myślał o tym, żeby zrobić, co należy, ale jakoś tak wyjdzie, że pojedziesz dalej, dopóki nie znajdziesz jakiegoś pasera, żeby go opchnąć.

- Więc czemu ty tego nie robisz?

- Czego?

- Czemu go nie ukradniesz i nie opchniesz paserowi?

- Bo nie znam żadnych paserów, stary. Jestem łykającym pigułki zdegenerowanym hazardzistą, a nie pieprzonym Valem Kilmerem w „Gorączce”. Pierwsza osoba, której bym zaufał, że mi pomoże to sprzedać, strzeliłaby mi w tył głowy, ledwie bym się odwrócił do niej plecami. Ale ty to co

innego. Założę się, że znasz wielu paserów i wiesz komu możesz ufać w kryminalnym świecie. Gdybyś mógł, już byś był z tym cackiem w połowie drogi do Meksyku.

- No dobrze.
- Nie dam się nabrać na twoje sztuczki z potakiwaniem.
- Zapewne. Do licha. Pozwól, że cię spytam - jak to jest, że Jefim wie o nas wszystko, a jakoś nie potrafi nas znaleźć?
- Niby co o nas wie?
- Wie, że jesteśmy razem. Zrobił nawet aluzję do tego, że wszystkim kręci Amanda, a my tańczymy, jak ona nam zagra.
- Masz co do tego wątpliwości?

Godzinę później wyruszyliśmy do Comcast Center w Great Woods w Mansfield. Kiedy szliśmy do saaba, Dre odpiął kluczyk od breloczka i mi go podał.

- To twoje auto - powiedziałem.
- Biorąc pod uwagę substancje, jakie mam w sobie, naprawdę chcesz, żebym usiadł za kółkiem?

Ja prowadziłem. Dre siedział obok mnie i z rozmarzeniem gapił się przez okno.

- Nie jesteś tak po prostu pijany - stwierdziłem.
- Odwrócił głowę w moją stronę.
- Wziąłem parę xanaxów. No wiesz... - Znow utkwiał wzrok za szybą.
 - Parę? Może trzy?
 - Tak, zgadza się, trzy. I paxil.
 - Pigułki popite alkoholem. To twoja recepta na dobre stosunki z rosyjską mafią?
 - Doprowadziła mnie tu, gdzie jestem - odparł, machając sobie breloczkiem z Claire przez zmętniałymi oczami.
 - Dlaczego nosisz zdjęcie tego dziecka? - Nie kryłem zdumienia.
 - Bo je kocham, stary - wyjaśnił, patrząc na mnie.
 - Doprawdy? Wzruszył ramionami.
 - Tak mi się przynajmniej zdaje.
- Pół minuty później zaczął chrapać.

Rzadko się zdarza, by dokonując jakiegokolwiek nielegalnej wymiany, strona, która ma przewagę, w ostatniej chwili nie zmieniła wyznaczonego wcześniej miejsca spotkania. Chodzi o to, by nie dać się wyśledzić stróżom prawa, jako że trudno jest podrzucić pluskwy bez żadnego przygotowania, a zastępy ubranych na czarno agentów federalnych obciążonych mikrofonami dużej mocy, torbami ze sprzętem nagrywającym i lornetkami noktowizyjnymi łatwiej zauważyć, kiedy się skradają gdzieś w terenie.

Dłatego zakładałem, że Jefim zadzwoni w ostatniej chwili, żeby mnie gdzieś przekierować, ale mimo to chciałem się rozejrzeć na wypadek, gdyby jednak tego nie zrobił. Byłem w Comcast Center przynajmniej dwadzieścia razy w życiu. Był to otwarty amfiteatr usytuowany w lesie otaczającym Mansfield w Massachusetts. Widziałem tam występ Bowie'ego i Nine Inch Nail. Widziałem Springsteena i Radiohead. A przed rokiem oglądałem tam The National i Green Day; miałem wówczas wrażenie, że umarłem i poszedłem do alternatywno-rockowego nieba. Co znaczyło, że teren jest mi dobrze znany. Amfiteatr miał kształt wielkiej misy; na wprost sceny widownia wznosiła się dość stromo i wysoko, a po bokach tworzyła niższe i szersze zakola. Idąc wzdłuż rzędu pierścieniowo ustawionych siedzeń w jedną stronę, docierało się do samego amfiteatru, a droga w przeciwnym kierunku kończyła się na parkingu. Wokół stały pozamykane sklepiki z T-shirtami, budki z piwem oraz stoiska z watą cukrową, pieczonymi obwarzankami i hot dogami długimi na trzydzieści centymetrów.

Przeszliśmy się z Dre kawątek, gdy w zapadającym zmierzchu zaczął prószyć śnieg. Płatki wyglądały w pociemniałym powietrzu jak świetliki, topniały w kontakcie ze wszystkim, czego dotknęły - drewnianą budką, ziemią, moim nosem. Przy budce niedaleko stanowiska bramek wejściowych rozejrzałem się i zdałem sobie sprawę, że Dre gdzieś zniknął. Zawróciwszy, wszedłem na górę widowni jednym przejściem, po czym wróciłem na dół innym, kierując się naszymi ledwie widocznymi śladami. Dotarłem do miejsca, gdzie ślady jego stóp odrywały się od moich, i poszedłem ich tropem. Mijałem łożę dla VIP-ów, kiedy zadzwoniła moja komórka.

- Halo.

Amanda.

- Gdzie jesteście?

- Można by cię spytać o to samo.
- Gdzie jestem, nie ma w tej chwili znaczenia. Właśnie dostałam wiadomość, że zmienili miejsce waszego spotkania. A tak w ogóle, o jakie spotkanie chodzi?

- Jesteśmy w Comcast Center. Kto dzwonił?

- Facet z wyraźnym rosyjskim akcentem. Jeszcze jakieś głupie pytania? Powiedział, że Jefim ma trudności z dodzwonieniem się na twoją komórkę.

- Skąd Rosjanie mieli twój numer?

- A skąd mieli twój?

Nie znałem odpowiedzi.

- Spotkanie przesunięte na stację kolejową.

- Którą?

- W Dodgeville.

- W Dodgeville? - powtórzyłem. Mgliście przypominałem sobie, że widywałem tę nazwę na paczkach, które ładowałem na ciężarówce w czasach college'u, ale nie potrafiłbym jej wskazać na mapie. - Gdzie to, u diabła, jest?

- Według mapy, na którą teraz patrzę, trzeba jechać do sto pięćdziesiątej drugiej i potem na południe. Niedaleko. Powiedzieli, że tylko jeden z was może wysiąść z samochodu z krzyżem. Rozumiem, że macie krzyż.

- Dre go ma, tak.

- Powiedzieli, że macie przywieźć krzyż, bo inaczej zabiją Sophie na waszych oczach. A potem zabiją was.

- Gdzie...

Przerwała połączenie.

Zszedłem na sam dół widowni i znalazłem Dre. Siedział na skraju sceny, gapiąc się na puste siedzenia.

- Zmieniono miejsce spotkania.

Nie wydawał się zdziwiony.

- Tak jak przewidywałeś.

Wzruszyłem ramionami.

- To musi być wspaniałe uczucie - powiedział - ...nigdy się nie mylić.

- Na takiego wyglądam?

Popatrzył na mnie z niechęcią.

- Ludzie tacy jak ty obnoszą swoje poczucie wyższości jak...

- Nie obwiniaj mnie za to, że spieprzyłeś swoje życie. Ja ciebie za to nie osądzam.

- A za co?

- Za to, że próbujesz się dobrać do majtek szesnastolatce.

- W wielu kulturach to uchodzi za normalne.

- Więc przenieś się do którejś. Tutaj jesteś gnojkiem. Nie lubisz siebie? Nie moja wina. Nie podoba ci się to, jaki obrót przybrało twoje życie? Witamy w klubie.

Patrzył na widownię, nagle posmutniały.

- W liceum nieźle wymiatałem na basie w szkolnej kapeli.

Miałem ochotę wyrzucić oczami, ale udało mi się opanować.

- Człowiek mógł robić tyle różnych rzeczy - mówił z zadumą.

- Ale trzeba wybrać jakąś drogę, więc wybierasz i kończysz studia medyczne, wiedząc na pewno tylko jedno: że będziesz kiepskim lekarzem. Jak się pogodzić z własną przeciętnością? Jak zaakceptować to, że każdy wyścig, przez resztę życia, będzie się kończyć na którymś z ostatnich miejsc?

Oparłem się o scenę obok niego i milczałem. Widok był niezły - te wszystkie miejsca na widowni. Za nimi wielki trawnik pnący się w górę, zasypywany łagodnie padającym śniegiem. Przez większość lipcowych wieczorów bywał pełny. Dwadzieścia tysięcy ludzi śpiewało do wtóru, krzyczało, kołysało się i wznosiło ręce ku niebu. Kto by nie chciał zobaczyć tego ze sceny?

Prawdę mówiąc, było mi żal Dre. Ktoś musiał mu wmówić - matka, jak się domyślałem - że jest wyjątkowy. Zapewne powtarzała mu to codziennie przez całe życie, nawet kiedy dowody świadczyły jasno, że to kłamstwo, jakkolwiek podyktowane dobrymi intencjami. A teraz był, jaki był - jego pierwsza kariera zawodowa legła w gruzach, druga była więcej niż wątpliwa, a on sam chyba nie pamiętał już dnia przeżytego bez używek odurzających.

- Wiesz, dlaczego nigdy nie miałem skrupułów, pośrednicząc w handlu dziećmi?

- Nie, nie wiem.

- Bo nikt nic nie wie. - Popatrzył na mnie. - Myślisz, że państwo wie lepiej, gdzie umieszczać dzieci? Że w ogóle ktoś to wie? Gównu wiemy.

Przez „my” rozumiem nas wszystkich. Staliśmy się bywalcami tych samych gównianych salonów i mamy nadzieję, że jakimś cudem wszyscy uwierzą, że jesteśmy tacy, na jakich wyglądamy. Tak mija kilka dziesięcioleci. I co? Nic. Absolutnie nic. Niczego się nie uczymy, nie zmieniamy się, a w końcu umieramy. I nasze miejsce zajmuje kolejne pokolenie udawaczy. I tyle. Poklepałem go po plecach.

- Widzę dla ciebie przyszłość w samodoskonaleniu, Dre. Musimy się zbierać.

- Dokąd?

- Na stację kolejową. W Dodgeville.

Zeskoczył ze sceny i ruszył za mną do wyjścia.

- Szybkie pytanie, Patrick.

- Jakie?

- Gdzie jest to pieprzone Dodgeville?

Rozdział 22

Dodgeville, jak się okazało, było jednym z tych miasteczek, które są tak małe, że zawsze brałem je za obrzeża innego miasta, w tym wypadku South Attleboro. Z tego, co zapamiętałem, nie miało nawet świateł ulicznych, tylko jeden znak stopu, jakieś dziewięć kilometrów od granicy stanu Rhode Island. Przed nim dostrzegłem po lewej stronie znak ostrzegający o skrzyżowaniu z torami kolejowymi. Zjechałem więc na lewo z drogi numer 152 i po paruset metrach ukazała się stacja, jakby rzucona w niezakłóconą niczym innym połąć lasu. Tory biegły prosto w środek leśnej gęstwiny - ich twarda wyraźna linia znikąca pośród czerwonych klonów. Wjechaliśmy na parking. Poza szynami i peronem nie było tam właściwie nic - żadnego budynku stacyjnego, w którym można by się schronić przed grudniowym zimmem, żadnych automatów z colą ani toalet. Jedynie parę automatów z gazetami przy schodach. Po drugiej stronie torów od razu zaczynał się las, a od naszej strony znajdował się peron, na tym samym poziomie co szyny, oraz parking, na którym zostawiliśmy saaba, oświetlony nieprzyjemnie żółtawym światłem. Pod lampami płatki śniegu kłębiły się niczym ćmy.

Mój telefon zawibrował, zawiadamiając o SMS-ie. Odczytałem wiadomość: *Jeden niech przyniesie krzyż na peron. Drugi zostaje w aucie.*

Dre wykręcił szyję, żeby popatrzeć na wyświetlacz. Zanim zdążyłem sięgnąć do klamki, otworzył drzwi po swojej stronie i wysiadł z samochodu.

- Ja idę - oznajmił. - Ja idę.

- Nie, ty... - zacząłem, ale już się oddalił. Wszedł po paru schodkach na peron i zatrzymał się na środku. Od miejsca, gdzie stał, nad tory wystawał pas grubej czarnej gumy, pomalowanej na brzegach jaskrawożółtą farbą.

Przez chwilę czekał nieruchomo w coraz gęściej padającym śniegu. Potem zrobił dwa lub trzy kroki w prawo, następnie cztery lub pięć w lewo i znów w prawo.

Zobaczyłem światło wcześniej niż on. Żółty ruchomy punkt wśród drzew, promień latarki. Uniosło się, potem osunęło w dół, znów uniosło, ale niżej niż pierwotnie, przesunęło najpierw w lewo, potem w prawo. Wykonało te same ruchy jeszcze raz - znak krzyża - i tym razem Dre je zauważył. Uniósł rękę i pomachał. Światło przestało się poruszać. Po prostu świeciło, jakby zawieszono między drzewami, dokładnie naprzeciwko Dre, i czekało.

Opuściłem szybę.

Usłyszałem, jak Dre mówi:

- Bez obaw. - Przeszedł przez tory. Śnieg jeszcze zgęstniał; niektóre płatki przypominały strzępki bawełny.

Dre wszedł do lasu. Straciłem go z oczu. Światło latarki także zniknęło.

Sięgałem do drzwi, gdy mój telefon znów zawibrował.

Zostań w aucie.

Położyłem komórkę na kolanach i czekałem. Nietrudno było dać Dre w łeb, zabrać krzyż i zniknąć w głębi lasu razem z Sophie, krzyżem i spokojem mojej duszy. Lewą dłoń miałem zaciśniętą kurczowo na klamce. Rozprostowałem palce i poruszyłem nimi, żeby rozluźnić mięśnie. Dziesięć sekund później znów były napięte do granic wytrzymałości.

Wyświetlacz komórki się rozjaśnił.

Cierpliwości, cierpliwości.

Między drzewami znów rozbłysło światło latarki. Kołysało się rytmicznie jakiś metr nad ziemią.

Komórka zawibrowała, ale tym razem to nie był SMS, tylko połączenie z zastrzeżonego numeru.

- Halo.

- Hej, mój.... - Głos Jefima urwał się gwałtownie.

- Co?

- Powiedziałem gdzie...

Telefon zamilkł na dobre przy moim uchu.

Słyszałem, jak coś spada z głuchym klapnięciem na żwir w bliższej części peronu. Wytężałem wzrok, patrząc przez przednią szybę, ale nie mogłem niczego dojrzeć, bo zasłaniała mi maska saaba. Mimo to patrzyłem, bo zwykle się patrzy. Na moment włączyłem wycieraczki, żeby oczyściły szybę ze śniegu. Kilka sekund później Dre wyłonił się z lasu w tym samym miejscu, gdzie wcześniej zniknął mi z oczu. Poruszał się szybko. Był sam.

Telefon zawibrował. Usłyszałem trąbienie nadjeżdżającego pociągu. Na wyświetlaczu pojawił się napis „numer zastrzeżony”.

- Halo?

- Gdzie ty...

- Jefim?

Na przednią szybę spadła lawina błota. Saab zatrzęsł się gwałtownie, tablica rozdzielcza zaklekotała, siedzenie pode mną zadrżało. Pusty kubek po kawie wyleciał z uchwytu i potoczył się pod fotel pasażera.

- Patrick?... jedź... ja nie... scenę.

Włączyłem wycieraczki. Zaczęły rozgarniać błoto, które wydało mi się rzadsze od zwykłego błota. Przez stację przejechał pędem ekspres Acela.

- Jefim? Ciągle przerywa.

- Słyszysz... stary?

Wysiadłem z samochodu, bo nie mogłem dostrzec Dre. Zauważyłem, że maska saaba jest zachlapana tym samym, co przednia szyba.

- Teraz cię słyszę. A ty mnie słyszysz?

Dre nie było na peronie.

Nigdzie go nie było.

- Ja... cholera...

Połączenie zostało przerwane. Zatrzasnąłem klapkę telefonu i rozejrzałem się po peronie. Nigdzie ani śladu Dre.

Odwrociłem się i spojrzałem na rząd aut obok saaba. Było sześć, stały w sporych odległościach od siebie, ale mimo słabego oświetlenia dostrzegłem, że wszystkie mają tak samo zachlapaną maski i przednie szyby. Ekspres zniknął między drzewami, poruszając się z prędkością, jakiej można by się spodziewać jedynie u odrzutowca. Mokra maska i peron błyszczały nie tylko od topniejącego śniegu.

Odwróciłem głowę i popatrzyłem na peron, znów odwróciłem i popatrzyłem na samochody. Dre nigdzie nie było. Ponieważ Dre był wszędzie.

Znalazłem latarkę i dwie plastikowe reklamówki z supermarketu w bagażniku auta Dre. Włożyłem reklamówki na buty i związałem uchwyty wokół kostek. Potem przeszedłem przez krew na peron. Znalazłem jeden but przy torach, zaczepiony o wewnętrzną stronę szyny. Parę metrów dalej znalazłem coś, co mogło być uchem. Mogło też być częścią nosa. Jak widać, ekspres jadący z pełną prędkością nie przejeżdża człowieka, tylko rozrywa go na strzępy.

Gdy wracałem wzdłuż torów, dostrzegłem ramię, pomiędzy szynami a lasem. To ostatnia część Dre, jaką widziałem.

Podszedłem do miejsca, gdzie wcześniej zniknął między drzewami. Przyświecałem sobie latarką, ale widziałem tylko ciemne kontury drzew i opadłe liście na ziemi. Mogłem pójść dalej, ale: a/ nie lubię lasów, b/ zaczynało mi brakować czasu. Ekspres przejeżdżał przez stację w Mansfield, pięć kilometrów dalej, i istniała szansa, że ktoś zauważy krew na lokomotywie albo na bokach wagonów.

Jefim, jak mogłem zakładać, dawno odjechał, zabrawszy ze sobą Sophie i krzyż.

Kierując się z powrotem do samochodu, przeszedłem przez tory i dech mi zaparło; nie ogarniałem rozumem tego, co zobaczyłem za nimi. Z jednej strony docierało do mnie, co widzę w znieruchomiałym promieniu latarki, z drugiej nie potrafiłem zrozumieć, dlaczego to tam leży.

Schyliłem się nad pasem żwiru między torami i płotem wokół parkingu. Słyszałem głuchy odgłos uderzenia o ziemię, kiedy ktoś z niewiadomego powodu przerzucił to z lasu za tory. Dre wybiegł za tym z lasu i wszedł w drogę sześciuset tonom stali poruszającej się z prędkością dwustu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę.

Białoruski krzyż.

Chwyliłem dwoma palcami za koniec górnego lewego ramienia krzyża i podniosłem go ze żwiru. Pod plamkami topniejącego śniegu był tak samo zakrwawiony jak szyby samochodów na parkingu, peron, drzewa i schody,

po których zszedłem do auta Dre. Otworzyłem bagażnik i siedząc na skraju, zdjąłem z butów reklamówki i upchnąłem je w inną reklamówkę. Znajdowaną w bagażniku szmatą wytarłem krzyż najdokładniej, jak to było możliwe. Wrzuciłem szmatę do torby z reklamówkami i związałem uchwyty. Pakunek i krzyż położyłem na siedzeniu pasażera i najszybciej jak się dało opuściłem nieszczęsne Dodgeville.

Rozdział 23

W promieniu dwudziestu pięciu kilometrów od Becket był tylko jeden pediatra, doktor Chimilewski, dwa miasta dalej w Huntington. Kiedy następnego ranka o dziesiątej rano Amanda podjechała pod gabinet, zostałem na miejscu, pozwalając jej wejść do środka i odbyć wizytę. Siedziałem w samochodzie Dre i odtwarzałem w myślach niedokończoną rozmowę telefoniczną z Jefimem.

Kiedy Amanda wyszła po dwudziestu minutach, czekałem na nią z kartonowym kubkiem kawy.

- Domyśliłem się, że ma być ze śmietanką, bez cukru.

- Nie mogę pić kawy. Podrażnia mi wrzód. Ale dziękuję, że pomyślałeś.

Kliknęła pilotem, żeby otworzyć drzwi swojego auta, i okrążyła mnie, niosąc dziecko w foteliku. Przytrzymałem jej otwarte drzwi.

- Nie możesz mieć wrzodu. Masz dopiero szesnaście lat.

Umocowała fotelik na siedzeniu.

- Powiedz to mojemu wrzodowi. Mam go, od kiedy skończyłam trzynaście lat.

Cofnąłem się, żeby mogła zamknąć drzwi.

- Z Claire wszystko w porządku?

Spojrzała na dziecko przez szybę.

- Tak. Po prostu ma wysypkę. Bez powodu. Podobno przejdzie, tak jak mówiła Angie. Dzieci tak mają.

- Ale i tak jest ciężko, co? Te wszystkie przypadłości, które mogą poważnie zagrażać zdrowiu, zwykle okazują się niegroźne, ale nigdy nic nie wiadomo, więc trzeba sprawdzić.

Na jej ustach pojawił się ledwie widoczny, zmęczony uśmiech.

- Ciągłe myślę, że następnym razem mnie wyrzucą.

- Nie wyrzucą cię za to, że wykazujesz przesadną troskę o swoje dziecko.

- Nie, ale już sobie ze mnie żartują, jestem pewna.

- Niech sobie żartują.

Usiadła za kierownicą.

- Możesz jechać za mną albo po prostu spotkamy się w domu. Nigdzie nie uciekam.

- Zauważyłem.

Odwrociłem się, żeby przejść do auta Dre.

- Gdzie jest Dre?

Znów się odwróciłem. Spojrzałem jej w oczy.

- Nie udało mu się.

- On... - Przechyliła głowę na bok. - Rosjanie?

Nie odpowiedziałem. Cały czas patrzyłem jej w oczy, szukając w nich czegoś, co mi powie, po której stronie gra. A może obstawiała wszystkie strony?

- Patrick?

- Spotkamy się w domu.

W kuchni zrobiła sobie zieloną herbatę, po czym przyniosła do jadalni filiżankę i niewielki dzbanek. Claire leżała w samochodowym foteliku na środku stołu. Podczas drogi zapadła w głęboki sen, a Amanda przekonała się - jak mi wyjaśniła - że w takiej sytuacji nie warto jej przekładać do łóżeczka po wejściu do domu. Bezpieczniej było ją zostawić tam, gdzie spała.

- Angie podróżowała bez przeszkód?

- Tak. Dotarła do Savannah o północy. Pół godziny później była już u matki.

- Nie wyglądała mi na osobę z Południa.

- Bo nie pochodzi stamtąd. Jej matka po sześćdziesiątce ponownie wyszła za męża. Mąż mieszkał w Savannah. Zmarł jakieś dziesięć lat temu. A matka do tego czasu zdążyła pokochać to miejsce.

Postawiła dzbanek z herbatą na podstawce i usiadła przy stole.

- Co się stało na stacji?

Usiadłem naprzeciw niej.

- Najpierw mi powiedz, jak to się stało, że wylądowaliśmy na stacji.

- O co ci chodzi? Zadzwonili do mnie i powiedzieli o zmianie miejsca spotkania.

- Kto zadzwonił?

- To mógł być Paweł, ale mógł też być ten drugi, nazywają go Spartak. Teraz, kiedy o tym myślę, wydaje mi się, że to był on. Ma wyższy głos niż reszta. Ale nie mam pewności. - Wzruszyła ramionami. - Wszyscy brzmią mniej więcej tak samo.

- I Spartak czy ten ktoś inny powiedział...

- Coś w rodzaju: „My nie lubię Comcast Center. Powiedz im, że spotkać na stacji Dodgeville, pół godziny”.

- Dlaczego zadzwonili do ciebie?

Napiła się herbaty.

- Nie wiem. Może Jefim zgubił twój...

Pokręciłem głową.

- To nie Jefim dzwonił.

- Kazał zadzwonić Spartakowi.

- Nie. Jefim czekał w Comcast Center, kiedy Dre zderzył się z ekspresem Acela.

Filiżanka znieruchomiała w połowie drogi do jej ust.

- Możesz powtórzyć ostatnie zdanie?

- Dre wpadł na pociąg jadący tak szybko, że zrobił z niego miazgę. W tej chwili zapewne ekipa lekarza sądowego zbiera kawałki Dre do czarnego worka. Zapewniam cię, że to bardzo drobne kawałki.

- Dlaczego wszedł pod...?

- Bo gonił to. - Położyłem biały krzyż na stole.

Leżał między nami dobre dwadzieścia sekund, zanim Amanda pierwsza przerwała milczenie.

- Gonił? To nie ma sensu. Przecież miał go przy sobie, kiedy wychodził z domu, prawda?

- Zakładam, że komuś go dał, a ten ktoś odrzucił go z powrotem przez tory.

- Myślisz...? - Zamknęła oczy i pokręciła głową. - Nawet nie wiem, co myślisz.

- Ja też nie wiem. Oto, co wiem: Dre przeszedł przez tory do lasu, a potem ktoś wyrzucił ten krzyż z lasu z powrotem na drugą stronę torów. Dre wybiegł za krzyżem i wpadł pod pociąg. Jefim twierdzi, że w ogóle nie był

na stacji i nie zmieniał miejsca spotkania. Nie wiem, czy kłamie, czy nie, na każdą z tych możliwości biorę poprawkę, ale tak twierdzi. My nie mamy Sophie, oni nie mają krzyża, a jest wigilia Bożego Narodzenia. Piątek. Dre był ostatnią szansą Jefima na zdobycie innego dziecka dla Kiryła i Violety. Teraz Jefim chce wrócić do pierwotnej umowy - chce dostać krzyż... - Patrzyłem na stół. - ...I to dziecko w zamian za życie Sophie, moje życie, życie mojej rodziny i twoje życie.

Dotknęła krzyża kilka razy, odsuwając go po stole o parę centymetrów.

- Wiesz, czego dotyczą te inskrypcje? Nie potrafię czytać po rosyjsku.

- Nawet gdybym potrafił, to one nie są po rosyjsku. Łacina.

- No tak. A znasz łacinę?

- Uczyłem się cztery lata w liceum, ale zapamiętałem tylko tyle, żeby umieć przeczytać akt erekcyjny.

- Więc nie znasz?

Wzięłam krzyż do ręki.

- Trochę. Tu na górze jest napisane: *Jezus, Syn Boży, pokonuje*.

Amanda zmarszczyła czoło.

Wzruszyłam ramionami, wyężając umysł.

- Nie, zaczekaj. Nie *pokonuje*. *Miażdży*. Nie. Czeka. *Zwycięża*. Tak, to jest to. *Jezus, Syn Boży, zwycięża*.

- A tu na dole?

- Coś o czaszce i raj.

- Tylko tyle potrafisz?

- Ostatnią lekcję łaciny miałem dziesięć lat przed twoim urodzeniem.

Więc nie jest tak źle.

Dolała sobie herbaty. Trzymała filiżankę w obu dłoniach i dmuchała na jej zawartość. Upiła łyk, po czym odstawiła herbatę z powrotem na stół. Odchyliła się na oparcie krzesła, nie odrywając ode mnie wzroku, spokojna jak zawsze, poważne dziecko, mistrzyni panowania nad sobą.

- Nie wygląda jakoś szczególnie imponująco, nie uważasz?

- Jego wartość bierze się z historii. Albo może stąd, że ktoś zdecydował, że jest coś wart, jak złoto.

- Nigdy nie rozumiałam tego rodzaju mentalności.

- Ja też nie.

- Mogę ci jednak powiedzieć, że Kirył z jego powodu już zbyt wiele stracił na honorze, żeby pozwolić nam żyć. W każdym razie mnie na pewno.

- Czytałaś ostatnio gazety?

Zaprzeczyła ruchem głowy, spoglądając na mnie znad filiżanki.

- Kirył używa za dużo swojego produktu. Albo przechodzi poważne załamania nerwowe. Może owinąć samochód na słupie, jadąc z prędkością sto sześćdziesiąt na godzinę, zanim do ciebie dotrze.

- Będę czekała na ten dzień. - Skrzywiła się. - Jeśli nawet, powiedzmy, wszystko pójdzie zgodnie z tym bajkowym scenariuszem, jaki Jefim - Jefim, tak? - ci przedstawił?

- Jefim, tak.

- Więc dobrze. My żyjemy, Sophie żyje, twoja rodzina żyje. A co z nią? - Wskazała na stół, na którym spała Claire z oczkami zaciśniętymi w kreseczki, zapięta w foteliku, ubrana w różowy kubraczek z kapturem i różowe porteczki. - Zabiorą ją do swojego domu, Kirył i Violeta, i wkrótce przestanie być dzieckiem-zachcianką. Ona jest prawdziwym dzieckiem, z krwi i kości. Płacze w nieodpowiednich momentach, krzyczy, drze się, kiedy ma mokrą pieluchę, i wyje, naprawdę, jak opętana, gdy się jej zmienia koszulkę, bo nienawidzi, jeśli coś jej zakrywa twarz, a nie da się zdjąć koszulki bez zakrywania na moment buzi. Więc biorą ją te psychotyczne dzieci w skórach czterdziestolatków i powiedzmy, że wytrzymują wszystkie niedogodności, łącznie z brakiem snu, który się wiąże z posiadaniem niemowlęcia w domu przez dwadzieścia cztery godziny siedem dni w tygodniu. Rozstrzygnijmy wątpliwości na ich korzyść. Nie sądzisz, że Kirył już stracił twarz, władzę i szacunek, bo pozwolił sobie ukraść dziecko i nie potrafił go odzyskać - nie będzie czuć do tego dziecka niechęci? Kirył, który, jak sam mówiłeś, przechodzi rodzaj załamania psychicznego? Chcesz mi powiedzieć, że nie wróci któregoś wieczoru do domu napompowany polską wódką i meksykańską kokainą i nie uderzy dziecka, kiedy będzie miało chelność zapłakać z głodu? - Jednym haustem opróżniła całą zawartość filiżanki, jakby to była porcja whisky. - Naprawdę myślisz, że oddam im moje dziecko?

- To nie jest twoje dziecko.

- Widziałeś wczoraj tę kartę ubezpieczenia społecznego? Tamta nie była moja, tylko jej. Ale mam już swoją, z takim samym nazwiskiem. Claire

jest moja.

- Porwałaś ją.

- A ty porwałeś mnie.

Nie podniosła głosu, a mimo to miałem wrażenie, że ściany się zatrzęsły. Usta jej drżały, oczy miała czerwone, przez dłonie jakby przebiegały skurcze. Nigdy wcześniej nie widziałem, żeby okazywała emocje. Nie licząc skutecznie tłumionej furii.

Pokręciłem głową.

- A właśnie że tak, Patricku. Właśnie że tak. - Wciągnęła powietrze nozdrzami i przez chwilę patrzyła w sufit. - Kim ty byłeś, żeby decydować, gdzie jest mój dom? Dorchester to jedynie miejsce, gdzie się urodziłam. Helene mnie urodziła, ale byłam dzieckiem Jacka i Trica Doyle'ów. Wiesz, co pamiętam z okresu, kiedy byłam „porwana”? Przez te siedem cudownych miesięcy nie czułam niepokoju ani lęku. Nie miałam koszmarnych snów. Nie byłam chora, bo kiedy się opuszcza dom, w którym twoja matka nigdy nie sprząta i wszędzie są karaluchy i bakterie, zepsute jedzenie fermentuje w zlewie - kiedy opuszczasz takie miejsce, od razu czujesz się lepiej. Jadałam trzy razy dziennie. Bawiłam się z Tricią i naszym psem. Co wieczór po kolacji przebierali mnie do snu, a potem zabierali na fotel przed kominkiem, o siódmej, co do minuty, i mi czytali. - Opuściła wzrok na stół i parę razy kiwnęła głową, chyba nieświadomie. Znów spojrzała na mnie.

- A potem ty się zjawiłeś. Dwa tygodnie po tym, gdy mnie przywiozłeś z powrotem do Dorchester i pracownik opieki społecznej pouczył Helene, jak mnie wychowywać, wiesz, co się stało o siódmej?

Nie odpowiedziałem.

- Helene piła przez cały dzień, bo poprzedniego wieczoru facet ją wystawił. Położyła mnie spać o piątej, bo była zbyt pijana, żeby się mną zajmować. A potem, punktualnie o siódmej, przyszła do mojego pokoju, żeby mnie przeprosić za to, że jest niedobłą matką; użalała się nad sobą, myśląc to z empatią wobec drugiej istoty ludzkiej. I kiedy mnie tak przeproszała, zwymiotowała na mnie. Całą mnie zarzygała.

Sięgnęła po dzbanek i przelała resztę herbaty do filiżanki. Tym razem nie musiała już na nią dmuchać.

- Ja...

- Tylko nie waż się mówić, że ci przykro, Patricku, Oszczędź mi tego, proszę.

Nastąpiła długa minuta martwej ciszy.

- Widziałaś ich jeszcze kiedyś? - odezwałem się w końcu. - Mam na myśli Doyle'ów.

- Mają zakaz wszelkich kontaktów ze mną. Pod tym warunkiem dostali wyrok w zawieszeniu.

- Ale wiesz, gdzie oni są.

Przyglądała mi się przez chwilę i dopiero potem pokiwała głową.

- Tricia odsiedziała rok i dostała następne piętnaście w zawieszeniu. Jack wyszedł dwa lata temu, spędziwszy w więzieniu dziesięć lat za to, że czytał mi książeczki na dobranoc i prawidłowo mnie karmił. Są razem. Dasz wiarę? Czekala na niego. - Spojrzała na mnie wyzywająco błyszczącymi oczyma. - Mieszkają teraz w Północnej Karolinie, tuż za Chapel Hill. - Ściągnęła gumkę z kucyka i potrząsała głową, dopóki włosy nie opadły jej równo wokół twarzy. Popatrzyła na mnie przez tę zasłonę. - Dlaczego to zrobiłeś?

- Dlaczego odwozłem cię z powrotem do domu?

- Odwoziłem mnie z powrotem.

- To był przypadek konfliktu etyki sytuacyjnej ze społeczną, jak sądzę. Wybrałem społeczną.

- Szczęściara za mnie.

- Nie wiem, czy teraz postąpiłbym inaczej. Chcesz, żebym czuł się winny, i się czuję, ale to nie znaczy, że się myliłem. Jeśli zatrzymasz Claire, wierz mi, będziesz robić rzeczy, za które cię znienawidzi, ale będziesz je robić, wierząc, że działasz dla jej dobra. Na przykład za każdym razem, kiedy jej czegoś zabronisz. I czasami będziesz się z tym źle czuła. Ale to reakcja emocjonalna, nie rozumowa. Kierując się rozumem, wiem, że nie chcę żyć w świecie, gdzie ludzie mogą tak po prostu zabrać dziecko z rodziny, którą uważają za złą, i wychować ukradzione dziecko tak, jak uważają za słuszne.

- Dlaczego nie? Przecież Wydział do spraw Dzieci i Rodzin właśnie to robi. Właśnie to robi rząd za każdym razem, kiedy odbiera dzieci złym rodzicom.

- Ale robi to zgodnie ze stosownymi procedurami. Po dokładnym sprawdzeniu wszystkich okoliczności i zbadaniu sprawy z właściwą

starannością. A ty? Pewnego dnia twój wujek Lionel nie wytrzymał, kiedy matka zostawiła cię na całe popołudnie na słońcu, bo była pijana. Zabrała cię potem do domu, choć powinna była pojechać z tobą na pogotowie, i Lionel zjawił się zaalarmowany twoim płaczem. Wezwał gliniarza znanego stąd, że porywał dzieci, które w jego poczuciu żyły w zagrożonym środowisku, i razem porwali ciebie. Żadnego procesu, w którym twoja matka...

- Nie nazywaj jej moją matką, z łaski swojej.

- Dobrze. Żadnego procesu, w którym Helene mogłaby skorzystać z możliwości przedstawienia swoich racji. Nic.

- Mój wujek Lionel patrzył, jak Helene mnie „wychowuje” przez cztery lata. Można powiedzieć, że mogła korzystać z wszelkich możliwości podczas tego procesu, który trwał cztery lata i był przez niego obserwowany „z właściwą starannością”.

- Powinien był się zwrócić do opieki społecznej i poprosić sąd o powierzenie mu prawa do opieki nad tobą. To się sprawdziło w przypadku siostry Kurta Cobaina, a występowała przeciwko personie z dużymi pieniędzmi.

Pokiwała głową.

- Pięknie. Kiedy przychodzi do... jak to nazwałeś? Konfliktu etyki społecznej z sytuacją, Patrick Kenzie przywołuje wspomnienie Kurta Cobaina, żeby przedstawić interes państwa.

Cios był celny. Zabolało.

Amanda pochyliła się ku mnie.

- Wiesz, co słyszałam o tobie wiele lat później? Słyszałam, że szukając mnie, zabiłeś tego typa, który molestował dzieci. Jak on się nazywał?

- Corwin Earle.

- Zgadza się. Słyszałam - z absolutnie pewnego źródła, że nie miał przy sobie broni, kiedy go zastrześliłeś. Że nie stanowił dla ciebie bezpośrednio zagrożenia. - Napiła się herbaty. - A jednak do niego strześliłeś. I to od tyłu, prawda?

- W kark. Jego ręka dotykała broni, ujmując rzecz technicznie.

- Ujmując technicznie. Zatem znajdujesz drania molestującego dzieci, który bezpośrednio ci nie zagraża, przynajmniej nie według definicji, gdyby to dokładniej sprawdzono, i załatwiasz sprawę, strzelając mu w kark. - Uniosła filiżankę w geście toastu. - Świetna robota. Nie będę bić brawa,

żeby nie obudzić dziecka.

Przez jakiś czas siedzieliśmy w milczeniu; Amanda nie spuszczała ze mnie wzroku. Jej opanowanie, szczerze mówiąc, aż mnie przerażało. Na pewno nie budziło ciepłych uczuć. A mimo wszystko imponowała mi. Życie jej nie rozpieszczało, a ona radziła sobie, akceptując jego warunki do momentu, gdy mogła pokazać środkowy palec i pójść własną drogą. Podobało mi się, że nie użalała się nad sobą. I wreszcie podobało mi się, że nie zabiegała o niczyją aprobatę.

- Za nic nie oddasz tego dziecka, prawda?

- Mogą mi złamać każdą kość, a ja wciąż będę z nimi walczyć, dopóki zostanie mi chociaż jeden miesiąc. Nie przestanę krzyczeć, dopóki mi nie utną języka. Jeśli choćby na sekundę spuszcza mnie z widoku, wygryzę im oczy.

- Jak powiedziałem, za nic nie oddasz tego dziecka, prawda, Amando?

- A ty? - Uśmiechnęła się. - Nie pozwoliłbyś mi walczyć samotnie, prawda, Patricku?

- Może. A może nie. Ale nie zostawię Sophie na ich łasce, żeby umarła albo wylądowała w nielegalnym haremie jakiegoś emira z Dubaju.

- W porządku.

- Ale Jefim będzie chciał dziecka.

- Może uda nam się go przetrzymać, jeśli dostanie krzyż.

- Tak, ale nie odda nam Sophie. Po prostu pozwoli nam żyć o jeden dzień dłużej.

- Idiotka.

- Kto?

- Sophie. Wiesz, że wysłałam ją do Vancouver zaraz po... po...

- Dre opowiedział mi wszystko o tej krwawej jatce z Timurem w sali porodowej.

- Aha. Więc po tym wysłałam Sophie do Vancouver z nieskazitelnymi papierami. Znaczy z idealnie podrobionymi. Ludzie płacą za takie sześciocyfrowe sumy. Sprawiliam, że urodziła się na nowo.

- Tylko że ten nowy kanał rodny zaprowadził ją z powrotem do rosyjskiej mafii.

- Fakt.

Obserwowałem ją przez chwilę, spodziewając się ujrzeć choćby cień niepewności w jej spokojnych oczach. Ale nic takiego się w nich nie pojawiło.

- Jesteś gotowa... tak naprawdę gotowa porzucić wszystko, co cię tu trzyma?

- Co miałabym porzucać? Myślisz o Harvardzie i tego rodzaju rzeczach?

- Na początek.

Zrobiła wielkie oczy.

- Mam pięć pancernych tożsamości. Jedna, nawiasem mówiąc, jest już przyjęta na Harvard od przyszłego roku. A jedną przyjęli do Browna. Jeszcze nie zdecydowałam, co wołę. Prawdziwy dyplom którejś z tych uczelni, czy jakiegokolwiek uczelni, nie jest w niczym lepszy od fałszywego. A w niektórych wypadkach bywa nawet gorszy, bo mniej plastyczny. Obecnie istnieje siódmy kontynent, Patricku. Dostępny za pomocą klawiatury. Możesz pomalować niebo, napisać od nowa reguły podróży, robić co tylko zechcesz. Nie ma granic ani wojen granicznych, bo tylko nieliczni wiedzą, jak znaleźć ten kontynent. Ja wiem. Niektórzy inni ludzie, znam takich, też wiedzą. Reszta z was zostaje tutaj. - Nachyliła się. - Więc tak, grając według twoich zasad, jestem Amandą McCready, prawie siedemnastolatką, która wyleciała ze szkoły. Według moich zasad Amanda McCready jest tylko jedną kartą w grubej talii. Spójrz na to od tej...

Odsunęła krzesło, patrząc przez okno na ulicę. Podniosła torebkę spod nóg i rzuciła na stół. Podążywszy za jej wzrokiem, zobaczyłem przed domem samochód, którego jeszcze przed minutą tam nie było.

- Kto to?

Nie odpowiedziała. Wytrząsnęła zawartość torebki na blat i z powstałego stosu wyciągnęła dwie pary najdziwniejszych kajdanek, jakie w życiu widziałem. Pomiedzy obręczami nie było łańcuszka, przylegały do siebie. Były wykończone mocnym czarnym plastikiem. Jedna obręcz w każdym komplecie miała standardowy rozmiar, natomiast druga była bardzo mała. Można by w niej zapiąć ptaka.

Albo rączkę niemowlęcia.

- Co to, do cholery, jest? - Przeszedłem przez jadalnię i przekręciłem klucz w drzwiach wejściowych.

- Nie przeklinaj przy dziecku.

Pod oknem przesunął się czyjś czubek głowy.

- Dobrze. Co to jest?

- Kajdanki spełniające najwyższe wymogi bezpieczeństwa. - Amanda włożyła na siebie nosidło. - Używają ich do transportowania terrorystów samolotami. Te kazałam trochę zmodyfikować. Niezłe, co?

- Super. Ile jest wejść do domu?

- Trzy, licząc razem z piwnicą. - Wypięła Claire z fotelika. Mała stęknęła, a potem posapywała z niezadowoleniem. Amanda włożyła jej nóżki do otworów nosidła, przerzuciła jedną szelkę przez ramię i zapięła sprzączkę w momencie, gdy ktoś kopnięciem wywalił frontowe drzwi.

Zatrzasnęła jedną z większych obręczy na swoim lewym nadgarstku, drugą na prawym.

Wyjąłem swoją czterdziestkę piątkę i wycelowałem w stronę wejścia do jadalni.

Amanda zatrzasnęła jedną z małych obręczy na lewym przegubie Claire.

Z salonu dobiegł brzęk tłuczonego szkła, ktoś wchodził do środka przez wybite okno. Nie zdejmowałem oka z wejścia, ale miałem świadomość, że możemy zostać otoczeni.

- Możesz mi pomóc? - spytała Amanda.

Kiedy do niej podszedłem, uniosła rękę tak, że mniejsza obręcz kajdanki znalazła się tuż obok prawej piąstki dziecka.

- Działasz jak przynęta, siostró. - Zapiąłem kajdanki na rączce Claire.

- Jeżeli się powiedziało A, trzeba powiedzieć B.

Kenny wszedł do pokoju ze strzelbą gotową do strzału.

Wycelowałem mu czterdziestką piątką w głowę, ale to był pusty gest, bo wiedziałem, że gdyby stojąc w takiej odległości, pociągnął za spust, zabiłby nas wszystkich troje.

Usłyszałem szcęk odbezpieczanej broni po swojej lewej stronie. Spojrzałem przez ramię. Tadeo stał u stóp schodów, w miejscu, skąd miał widok i na jadalnię, i na salon.

- Właśnie zmarnowałeś nabój, chcąc, żeby to dobrze zabrzmiało - powiedziałem do niego.

Twarz mu poczerwieniała.

- Mam jeszcze jeden, żeby ci wpakować w bebechy.
- Kurczę, ta strzelba jest prawie taka duża jak ty.
- Wystarczy, żeby cię rozwalić na pół, gnojku.
- Ale odrzut wyniesie twoją dupę na trawnik przed domem.
- Odłóż broń, Patrick - odezwał się Kenny.

Zignorowałem jego polecenie.

- Jesteś Meksykaninem, Tadeo? - zapytałem.

Oparł rękę na strzelbę o biodro.

- A żebyś wiedział.
- No to mamy meksykański impas z prawdziwym Meksykaninem. Jeszcze nigdy mi się to nie zdarzyło. Niesamowite, nie?

- Gadasz jak rasista, gnojku.

- A co ma do tego rasizm? Jesteś Meksykaninem, a to jest meksykański impas. To tak jak umówić się z kimś z Amsterdamu, że każdy płaci za siebie. Ja jestem Irlandczykiem, więc gdybyś mi zarzucił, że mam małego ptaszka i jestem pijakiem, to by był rasizm, ale nazywanie impasu meksykańskim impasem w odróżnieniu od zwykłego według mnie jest całkiem niewinne i nie ma nic wspólnego z rasizmem.

- Grasz na czas - powiedział Kenny.
- Daję wszystkim szansę na ochłonięcie.

Helene weszła za Kennym do jadalni; widząc, że każdy z nas trzyma broń, przełknęła głośno i zbliżyła się do Amandy.

- Złotko - głos miała słodki jak syrop - my chcemy tylko tego dziecka.
- Nie nazywaj mnie złotkiem.
- To jak mam cię nazywać?
- Nijak.
- Po prostu zabierz dziecko - Kenny ponaglił Helene.
- Dobrze.

Amanda uniosła ręce tak, że Kenny i Helene zobaczyli kajdanki.

- Claire i ja jesteśmy nierozłączne.

Kenny'emu twarz jakby się zapadła.

- Gdzie są kluczyki?
- Za tobą w słoju na kluczyki od kajdanek - zakpiła Amanda, wywracając oczami. - Żartujesz, Ken?

- Mógłbym cię zabić i po prostu odciąć te kajdanki piłą do metalu.
- To było w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym ósmym w „Nieugiętym Luke'u” - odparła spokojnie Amanda. - Widzisz tu jakiś łańcuszek? Widzisz coś, co byś mógł przeciąć?
- Hej! - krzyknęła Helene, jakby przywoływała wszystkich do rozsądku.
- Nikt nie będzie nikogo zabijać.
- Kurczę, mam, a jak myślisz, co Kirył Borzakow ze mną zrobi?
- Nie zabije ciebie. - Helene podkreśliła swoją pewność odpowiednim ruchem dłoni. - Obiecał.
- Och, to spoko - zwróciłem się do Amandy. - Nic ci nie będzie.
- Prawda?
- Patrick - odezwał się Kenny.
- Tak?
- Nie możesz tego wygrać. Musisz to wiedzieć.
- My chcemy tylko tego dziecka - powtórzyła Helene.
- I tego krzyża, który leży na stole. - Kenny dopiero teraz go dostrzegł. - Cholera. Helene, podnieś go z łaski swojej.
- Co?
- Jedyne rosyjski krzyż, jaki leży na stole.
- Aha.

Kiedy sięgała po krzyż, zauważyłem coś dziwnego w stosie rzeczy, które Amanda wytrząsnęła z torebki - breloczek Dre. Doświadczyłem czegoś, co Bubba nazywa „zakłóceniem Mocy”, i byłem tak skołowany, że już miałem powiedzieć coś Amandzie, gdy Kenny odwrócił moją uwagę, stukając lufą strzelby o ścianę.

- Opuść broń, Patrick. Mówię poważnie.

Spojrzałem na Amandę, a potem na dziecko przypięte do jej piersi w nosidle i do jej przegubów kajdankami. Claire nawet nie pisnęła, odkąd kajdanki zatrzasnęły się na drugiej ręczce. Wpatrywała cię w Amandę z miną, która u świadomej wydarzeń osoby byłaby odczytana jako wyraz lęku.

- Mnie ta broń też denerwuje - powiedziała szeptem Amanda. - I nie wiem, jak miałaby nam pomóc.

Zabezpieczyłem pistolet i uniosłem w górę, dyndający na kciuku.

- Zabierz mu pistolet, Helene - polecił Kenny.

Helene podeszła, a ja podałem jej broń, którą niepewnym ruchem schowała do torebki. Nie patrzyła na mnie, tylko na Claire.

- Och, ona jest śliczna. - Obejrzała się przez ramię na Kenny'ego. - Powinieneś ją zobaczyć. Ma moje oczy.

Przez parę sekund nikt nic nie mówił.

- Jak to możliwe, że wolno ci głosować i prowadzić pojazdy, mechaniczne? - Kenny pokręcił głową.

- Bo to jest Ameryka. - Helene posłała mu dumne spojrzenie.

Kenny na moment zamknął oczy.

- Mogę jej dotknąć? - zwróciła się do Amandy.

- Wołałabym nie.

Mimo sprzeciwu wyciągnęła rękę i uszczypnęła Claire w policzek.

Dziecko zaczęło płakać.

- Świetnie. - Kenny westchnął. - Będziemy musieli tego słuchać przez całą drogę do Bostonu.

- Helene? - odezwała się Amanda.

- Tak?

- Możesz mi zrobić przysługę i wziąć torbę z pieluchami i schładzacz do mleka?

- Co macie zamiar ze mną zrobić? - spytałem Kenny'ego. - Przywiążcie mnie do krzesła czy zastrzelicie?

Popatrzył na mnie z zakłopotaniem.

- Ani jedno, ani drugie. Rosjanie chcą was wszystkich. - Użył trzech palców wskazując na nas. - I płacą od kilograma.

Rozdział 24

Jedyne osiedle przyczep mieszkalnych na terenie Bostonu znajduje się przy granicy West Roxbury i Dedham, wciśnięte pomiędzy restaurację a komis samochodowy, przy odcinku drogi krajowej numer 1 przeznaczonym pod zabudowę komercyjną i przemysłową. A jednak po całych dziesięcioleciach opierania się zakusom deweloperów i odrzucania propozycji wykupu od właściciela komis małe osiedle wciąż trwa wciśnięte w zakole płynącej leniwie, brązowej Charles River. Zawsze miałem sentyment do tego miejsca, a niezłomny opór mieszkańców wobec ofensywy komercji napawał mnie czymś w rodzaju dumy. Serce by mi chyba pękło, gdybym przejeżdżając tamtędy, pewnego dnia ujrzał zamiast przyczep McDonalda albo Outbacka. Z drugiej strony, wątpliwe, by ktoś zabrał mnie do McDonalda, żeby mnie zabić, natomiast istniało całkiem spore prawdopodobieństwo, że wydam ostatnie tchnienie na osiedlu przyczep.

Kenny zjechał z drogi numer 1 i skierował się na wschód, ku rzece. Jak się dowiedziałem, wciąż był wściekły z powodu hummera. Przez pół drogi gadał non stop, jak gliny zabrały hummera na policyjny parking w Southie i nie chciały uwierzyć, że został skradziony, o tym, że prawdopodobnie odwieszą mu wyrok, jeśli uda im się dowieść, że tamtego ranka znajdował się w pobliżu, ale najbardziej bolało go, że kochał swój samochód.

- Po pierwsze - powiedziałem - nie rozumiem, jak ktoś może kochać hummera.

- Och, ja go kochałem, sukinsynu.

- Po drugie, czemu wyżywasz się na mnie? Nie ja strzelałem do twojego idiotycznie wymalowanego grata, tylko Jefim.

- Ale ty go ukradłeś.

- Nie zabrałem ci go po to, żeby został podziurawiony. Próbowałem się dowiedzieć, dokąd zabierają Sophie, a Jefim przerobił twoje paskudne auto na sito.

- Nie jest paskudne.

- Ohydne - poparła mnie Amanda.

- Ładne, tyle że wygląda na gejowski wóz - wyraził swój pogląd Tadeo.

- Ale ty wyglądasz męsko, nie wzbudzasz podejrzeń.

Helene dotknęła jego ramienia.

- Ja je uwielbiam, skarbie.

- Stulcie mordy, wszyscy, z łaski swojej - warknął Kenny.

Ostatnie czterdzieści minut podróżowaliśmy w milczeniu. Kenny prowadził chevroleta suburban z końca lat dziewięćdziesiątych, który zapewne przebiegiem dorównywał hummerowi, ale mniej rzucał się w oczy. Amanda, dziecko i ja siedzieliśmy z tyłu, rozdzieleni przez Tadeo. Związali mi ręce za plecami; od siedzenia przez dwie godziny w nienaturalnej pozycji dostałem skurczu w szyi, który rozprzestrzenił się w stronę łopatek. Wiedziałem, że będzie mnie trzymał kilka dni - starość nie radość.

Zjechaliśmy z autostrady na drogę 95 zmierzającą na południe. Po przejechaniu piętnastu kilometrów Kenny zjechał na 109 i przebył kolejne dziesięć kilometrów na wschód, a potem skręcił w prawo z powrotem na drogę numer 1 i jeszcze raz w prawo na osiedle przyczep.

- Ile ci za to płacą? - spytałem Kenny'ego.

- Może życie? To dobra cena. Możesz ją podwoić?

- Nie.

- Tak myślałem. - Spojrzał w lusterko na szybie.

- Amando.

- Co, Ken?

- Zawsze uważałem cię za urocze dziecko, jeśli to ma jakieś znaczenie.

- W takim razie umrę spełniona, Ken.

Tylko parsknął.

- W moich czasach takich jak ty nazywaliśmy pistoletami.

- Nie wiedziałam, że w twoich czasach istniały już pistolety.

- Cwana suka. - Tadeo zaśmiał się. Odwracając się do Amandy, wyjaśnił: - To był komplement.

- Ani przez moment w to nie wątpiałam.

Dojechaliśmy do końca głównej drogi. Drzewa i rzeka miały ten sam jaśniebnobrazowy kolor, sterty opadłych liści przyprószonych śniegiem pokrywały wszystko - ziemię, samochody, dachy przyczep, talerze anten satelitar-nych na przyczepach i blaszane wiaty. Niebo pozostało nieskazitelnie niebieskie. Nisko nad wodą przeleciał jastrząb. Na przyczepach pojawiły się ozdoby, wianuszki z choiny i barwne lampki; zauważyłem świecący sznur, który rysował kontury Świętego Mikołaja, jadącego - nie wiedzieć czemu - wózkiem golfowym.

To był jeden z tych dni, które choć zimne, są tak jasne i rześkie, że trochę osładzają cztery miesiące lodowatej zimowej szarości. Powietrze pachniało zimnym jabłkiem. Poczułem ciepły dotyk słońca na skórze, kiedy Kenny zatrzymał chevroleta, otworzył tylne drzwi i wyciągnął mnie na zewnątrz.

Amanda z dzieckiem i Tadeo wysiedli drzwiami po drugiej stronie i wszyscy staliśmy przy długiej przyczepie podwójnej szerokości, ustawionej wzdłuż brzegu. Wokół było pusto, przy sąsiednich przyczepach nie widziałem żadnego samochodu - prawdopodobnie wszyscy udali się do pracy lub na ostatnie przedświąteczne zakupy.

Drzwi przyczepy otworzyły się i w progu stanął Jefim; uśmiechał się szeroko, jednocześnie międląc jedzenie w ustach. W ręce miał nadgryzioną kanapkę, a za paskiem pistolet Springfield XD kaliber .40.

- Witam, przyjaciele. Chodźcie, chodźcie. - Zaprosił nas gestem do środka.

Kiedy Amanda go mijiała, uniósł brwi na widok kajdanek.

- Nieźle. - Gdy wszyscy weszli, zamknął drzwi i zwrócił się do mnie: - Jak się miewasz, kmiecie?

- W porządku, a ty?

- Dobrze, dobrze.

Wnętrze przyczepy okazało się przestronniejsze, niż się spodziewałem. Pośrodku na zewnętrznej ścianie wisiał sześćdziesięciocalowy telewizor. Dwaj faceci grali w tenisa na Wii; machali rękami i nogami, podskakiwali w miejscu, kiedy ich miniaturowe awatary biegały tam i z powrotem po ekranie. Po prawej stronie telewizora stała błękitna jak niebo skórzana sofa, dwa fotele z takim samym obiciem i szklana ława. Za nimi przez całą szerokość pomieszczenia biegła gruba czarna kotara. Na błękitnej sofie

siedziała Sophie z ustami zaklejonymi taśmą izolacyjną i rękami skrępowanymi elastyczną liną do skoków bungee. Popatrzyła na nas, ale oczy jej rozbłysły dopiero na widok Amandy.

Amanda uśmiechnęła się do niej.

Po naszej lewej stronie znajdowała się wnęka kuchenna, a dalej mała łazienka i wielka sypialnia. Prawie całą wolną przestrzeń zajmowały kartonowe pudła - stały na półkach, w stertach na podłodze, na kuchennych blatach. Widziałem je nawet w sypialni i przypuszczałem, że są także za czarną kotarą: odtwarzacze DVD, Blu-Ray, konsole Wii, PlayStation, Xbox, zestawy kina domowego Bose, iPody, iPady, czytniki Kindle i systemy GPS firmy Garmin.

Przez chwilę staliśmy w przejściu i patrzyli na mężczyzn grających w wirtualnego tenisa, a Sophie patrzyła na nas. Wyglądała lepiej niż przed paru dniami, jakby trzymali ją z dala od prochów i jej ciało zaczynało to doceniać.

Jefim przyjrzał mi się, przechylając głowę na bok.

- Czemu jesteś związany?
- To twój przyjaciel Kenny.
- On nie jest moim przyjacielem. Odwróć się.

Kenny sprawiał wrażenie urażonego uwagą. Popatrzył na Helene z taką miną, jakby mówił: „Nie do wiary, co za gówno”.

Odwróciłem się plecami do Jefima, który rozciął mi więzy na przegubach. Cały czas jadł kanapkę i oddychał przez nos gęsto zarośnięty w środku włosami.

- Dobrze wyglądasz, mój przyjacielu. Zdrowo - pochwalił.
- Dzięki. Ty też.

Poklepał się prawą ręką po wydatnym brzuchu.

- Cha, cha. Zabawny jesteś, kmiocie. Paweł! - ryknął znieacka.

Paweł odwrócił się w trakcie wykonywania bekhendu i spojrzał pytająco; jego awatar zakręcił się na pięcie, po czym padł na kort, a piłka tenisowa odbiła się za nim i poleciała dalej.

- Jesteś w pracy. Zabierz im broń.

Paweł z westchnieniem rzucił pilota na fotel. Jego towarzysz zrobił to samo. Był chudy jak śmierć, miał zapadnięte policzki, ogoloną na tyso głowę i jakieś rosyjskie słowa wytatuowane na szyi. Nosił podkoszulek na

ramiączkach opinający jego cherlawy tors i spodnie od dresu w czarno-żółte paski.

- To Spartak - poinformowała mnie szeptem Amanda.

Facet wziął strzelbę Tadea, a Paweł Kenny'ego.

- Inna broń. - Paweł pstryknął palcami; głos i spojrzenie miał płaskie jak dziesięciocentówka. - Szybko.

Kenny podał mu taurusa 38, a Tadeo wyciągnął FNP-9. Paweł włożył wszystkie cztery sztuki broni do czarnej płóciennej torby leżącej na podłodze.

Jefim skończył jeść kanapkę i wytarł dłonie serwetką. Kiedy beknął, poczuliśmy zapachową mieszankę papryki, octu winnego i prawdopodobnie szynki.

- Muszę iść na siłownię, Paweł.

Paweł podniósł wzrok znad torby, którą zapinał na suwak.

- Wyglądasz dobrze, stary.

- Ale czuję, że brak mi dyscypliny.

Paweł przeniósł torbę do kuchni i położył na blacie koło piecyka.

- Wyglądasz dobrze, Jefim. Kobiety za tobą przepadają.

Jefim uśmiechnął się szeroko, uniósł brwi i udał, że poprawia sobie fryzurę.

- Jestem George Clooney, co? Cha, cha.

- George Clooney z wielkim rosyjskim ptakiem.

- Najlepiej być takim George'em Clooney'em! - wykrzyknął Jefim, po czym wszyscy trzej ryknęli śmiechem.

My tylko wymienialiśmy między sobą spojrzenia. Kiedy Jefim wreszcie przestał się śmiać, wytarł oczy, westchnął i złożył dłonie razem.

- Chodźmy się zobaczyć z Kiryłem. Spartak, ty zostaniesz z Sophie.

Spartak kiwnął głową i odsunął czarną zasłonę, ukazując drugie pomieszczenie, większe od tego, które właśnie opuszczaliśmy; miało jakieś cztery i pół na sześć metrów i na wszystkich ścianach były lustra. Długa fioletowa kanapa tworzyła literę U. Na pewno robiona na zamówienie, bo jej ramiona miały tę samą długość co ściany. Środek pokoju był pusty. Nad naszymi głowami znajdował się telewizor, odbijający się w lustrach. Na ekranie rozgrywała się akcja jakiejś meksykańskiej telenoweli. Ścianę nad

kanapą w całości zajmowały półki, a na nich stały odtwarzacze Blu-Ray, iPody, czytniki Kindle i laptopy.

Na środku kanapy siedział chudy mężczyzna z wielką głową, a obok niego ciemnowłosa kobieta. Jej twarz, porażona szaleństwem, przyciągała uwagę, budząc coś w rodzaju niezdrowej fascynacji. Violeta Concheza Borzakow była kiedyś piękna, ale coś zżarło jej urodę, chociaż nie mogła mieć więcej niż trzydzieści, najwyżej trzydzieści dwa lata. Śniada skóra poznaczona wszędzie dołeczkami wyglądała jak powierzchnia stawu podczas mżawki, a włosy miały odcień najczarniejszy z czarnych. W oczach, prawie tak ciemnych jak włosy, czaiło się coś przerażającego, jakby mieszkała w nich brutalnie zamordowana dusza, porzucona i wzburzona. Violeta była ubrana w szary kaszkiet, czarny jedwabny półgolf pod szarą jedwabną tuniką, czarne legginsy i czarne buty z cholewkami do kolan. Kiedy weszliśmy, popatrzyła na nas jak na mięso w restauracji, przywiezione jej na wózku.

Kirył Borzakow nosił białą jedwabną bluzę, białą kaszmirową marynarkę o sportowym kroju, beżowe szturmówki i białe tenisówki. Miał srebrne włosy przystrzyżone tuż przy skórze ogromnej czaszki i trzy warstwy włosów pod oczami. Palił papierosa, wydając przy tym głośne, wilgotne cmoknięcia, od których odechciewało się człowiekowi kiedykolwiek sięgnąć po papierosa, a popiół strzepywał obok przepelnionej popielniczki stojącej przy jego prawej ręce. Po tej samej stronie, w pobliżu leżała puderniczka z kilkoma niewielkimi kupkami kokainy. Patrzył obojętnym wzrokiem; musiały minąć co najmniej trzy dekady, odkąd do jego oczu wpłynęła empatia i tam umarła. Odnosiłem wrażenie, że gdyby nagle pierś mi się otworzyła i wyszedł z niej Lenin we własnej osobie, Kirył nadal by palił papierosa i oglądał meksykański serial.

- Panie i panowie, Kirył i Violeta Borzakow - przedstawił Jefim.

Kirył wstał i obszedł nas dookoła, jakby przeprowadzał inspekcję swoich dóbr. Popatrzył na Kenny'ego i Helene, a potem na Pawła.

Paweł wziął Kenny'ego i Helene za ramiona i usadził ich u stóp kanapy po lewej stronie. Kirył znów dał znak Pawłowi, przekrzywiając lekko głowę, i sekundę później Tadeo został pchnięty na kanapę obok Helene.

Kirył okrążył mnie powoli.

- Kim jesteś?
- Jestem prywatnym detektywem.

Hałaśliwie zaciągnął się papierosem i strzepnął popiół na podłogę udającą dąb.

- Prywatny detektyw, który znajduje dla mnie dziewczynę?
- Nie znalazłem jej dla ciebie.

Pokiwał głową, jakbym powiedział coś wyjątkowo mądrego, i ujął moją lewą rękę.

- Nie znalazłeś jej dla mnie?

Uścisk miał miękki, niemal delikatny.

- Dla kogo ją znalazłeś?
- Dla jej ciotki.
- Ale nie dla mnie?

Pokręciłem głową.

- Nie dla ciebie.

Znów skinął, a potem chwycił mnie za nadgarstek i zgasił papierosa na mojej dłoni.

Nie wiem, jak mi się udało nie krzyknąć. Przez pół minuty czułem jedynie, jak żar wypala mi dziurę w ciele. Czułem zapach zwęglonej skóry. Najpierw zrobiło mi się ciemno przed oczami, a potem czerwono; wyobraziłem sobie nerwy w mojej dłoni - zwisały jak pnącza, zasnutę dymem.

Kirył Borzakow patrzył mi prosto w oczy, ale nic nie dało się z nich wyczytać. W spojrzeniu nie było złości, radości, podniecenia, jakie towarzyszy przemocy, ani upojenia władzą. Nic. Miał oczy gada wygrzewającego się w słońcu na kamieniach.

Chrząknąłem parę razy wypuszczając powietrze przez zaciśnięte zęby; starałem się nie myśleć o tym, jak wygląda moja ręka. Przywołałem w pamięci obraz córki i to mnie na moment uspokoiło, ale zaraz uświadomiłem sobie, że ściągnąłem ją myślami w miejsce, gdzie triumfowały przemoc i chore, złe emocje, i starałem się ten obraz wyrzucić z głowy, żeby trzymać ją od tego wszystkiego jak najdalej, i wtedy ból zaczął pulsować ze zdwojoną siłą. Nagle Kirył puścił mój nadgarstek i cofnął się o krok.

- Zobaczmy, czy ciotka będzie umiała sprawić, żeby skóra ci odrosła. Strzepnąłem niedopałek z dłoni.

- Kirył, zasłaniasz telewizor - poskarżyła się Violeta.

Węgiel był teraz czarny, zamieniał się w popiół, a środek mojej dłoni wyglądał jak wierzchołek wulkanu - wystający i czerwony; spalona wierzchnia warstwa skóry odeszła.

W meksykańskiej telenoweli muzyka zabrzmiała głośniejsz, piękna Latynoska w bluzce o ludowym kroju odwróciła się na pięcie i wyszła z pokoju utrzymanego w barwach ziemi, światła pogasły. Na ekranie pojawiła się reklama z Antoniem Sabato juniorem - zachwalał jakiś krem do pielęgnacji skóry.

Zapłaciłbym tysiąc dolarów za ten krem. Zapłaciłbym dwa tysiące dolarów za ten krem i kostkę lodu.

Violeta oderwała wzrok od telewizora.

- Dlaczego *bambina* nadal jest u tej dziewczynki?

Amanda odwróciła się tak, żeby mogli zobaczyć kajdanki.

- Co to jest, Jefim? - Violeta zeszywniała i pochyliła się do przodu.

Jefim wytrzeszczył oczy. Wyglądał, jakby się jej bał.

- Pani Borzakow, przyprowadziliśmy ją do pani, tak jak pani prosiła.

- Jak prosiłam? Spóźniliście się o całe tygodnie, *pendejo*. Tygodnie. I czy to ty ją sprowadziłeś, Jefim, czy ci ludzie? - Machnęła niedbale w stronę Kenny'ego, Helene i Tadea.

- To my - odezwał się Kenny z kanapy. Wykonał ręką gest, który zignorowała. - My wszyscy.

Kirył zapalił nowego papierosa.

- Masz już swoje dziecko. Weź ją i miejmy to z głowy.

Violeta zbliżyła się do Amandy wężowym ruchem. Przyjrzała się Claire, a potem ją powąchała.

- Jest inteligentna?

- Ma cztery tygodnie - powiedziała Amanda.

- Mówi?

- Ma cztery tygodnie.

Violeta dotknęła czoła dziecka.

- Powiedz „ma-ma”. Powiedz: „ma-ma”.

Claire zaczęła płakać.

- Ciiii - syknęła Violeta.

Claire zapłakała głośniejsz.

- Śpij dziecińo, śpij malutka - zaśpiewała Violeta. - Mama ci kupi... - Urwała, rozglądając się bezradnie po pokoju.

- Małego kogutka? - podpowiedziałem. Wysunęła dolną wargę w grymasie zadowolenia.

- A gdyby ten kogutek nie chciał rano... latać? Kupię ci... Znów się rozejrzała oczekując podpowiedzi. Claire zanosila się płaczem.

- Corvette - podrzucił usłuźnie Tadeo. Violeta skarciła go wzrokiem.

- „Osiołka, tylko idź już spać” - powiedział Jefim.

- To się nie rymuje.

- Jestem pewien, że tak to szło.

Płacz Claire przybrał nowy ton, przeszedł w wycie, o którym wspominała Amanda.

Kirył usiadł na kanapie i wciągnął działkę białego proszku z puderniczki.

- Zrób coś, żeby przestała.

- Próbuję. - Violeta znów dotknęła główki małej. - Ciiiiii... - syknęła. - Ciiiiii! Ciiiiii!

Nie pomogło.

Kirył wzdrygnął się i wciągnął następną działkę. Przyłożył rękę do ucha i wzdrygnął się jeszcze mocniej.

- Zrób coś, żeby się zamknęła.

- Ciiiiii! Ciiiiii! Nie wiem, co mam robić. Powiedziałeś, że wynajmiesz niańkę.

- Wynajmę niańkę. Ale nie przywiozę jej tutaj. Zrób coś, żeby się zamknęła.

- Ciiiiii!

Tadeo i Kenny zasłaniali sobie uszy, a Paweł i Jefim mieli nietęgę minę. Tylko Helene sprawiała wrażenie niewzruszonej, wodziła wzrokiem po odtwarzaczach DVD i iPodach.

- Smoczek? - rzuciłem do Amandy.

- Prawa kieszeń.

- Mogę? - Spojrzałem na Jefima.

- Cholera, przyjacielu, pewnie, że możesz.

Wyjąłem smoczek.

- Ciiiiii! - Violeta prawie krzyczała.

Zdjąłem ze smoczka plastikową osłonę; od tego prostego ruchu ból przeszył dłoń na wskroś. Łzy napłynęły mi do oczu, ale sięgnąłem nad ramieniem Amandy i włożyłem mały smoczek do buzi.

Natychmiast zrobiło się ciszej. Claire ssała zawzięcie, uchwyt smoczka poruszał się rytmicznie przy jej ustach.

- Lepiej - mruknął Kirył.

Violeta przetarła sobie twarz dłońmi.

- Zepsułaś ją. - Zmierzyła Amandę dzikim wzrokiem.

- Słucham?

- Zepsułaś ją - powtórzyła. - To dlatego tak wrzeszczy. Nauczy się, że tak nie wolno.

- Ona ma cztery tygodnie, ty pieprzona debilko - wycodziła Amanda.

- Nie przeklinaj przy dziecku - napomniałem ją.

Popatrzyła na mnie, dostrzegłem w jej oczach ciepły błysk.

- Wymknęło mi się.

- Jak mnie nazwałaś? - Violeta obejrzała się na męża. - Słyszałeś, co powiedziała?

Kirył ziewnął, zasłaniając usta pięścią.

Violeta podeszła do Amandy. Spojrzenie miała oszalałe.

- Odetnij to - powiedziała do Jefima.

- Co?

- Odetnij ją.

- Nie da się odciąć tych kajdanek. Chyba że palnikiem.

Kirył odpalił następnego papierosa od niedopałka poprzedniego, mrużąc oczy przed dymem.

- No to odetnij palnikiem - rzucił.

- Skończy się na tym, że poparzemy dziewczynę.

- Nie, jeśli odetniesz jej rękę. - Violeta błysnęła pomysłem.

- Pani Borzakow? - Jefim spoglądał na nią niepewnie.

Violeta nie odrywała oczu od Amandy. Stała tak blisko niej, że niemal stykały się nosami.

- Najpierw ją zastrzelimy. A potem utniemy jej rękę. A potem znajdziemy jakiś sposób, żeby zdjąć kajdanki z rączek *bambiny*.

- Obejrzała się na męża. - Tak?

Kirył nie dosłyszał, skupiony na oglądaniu telewizji.

- Co?

- *Escuche! Escuche!* - Violeta klepnęła się w pierś. - Jestem tu, Kirył. - Klepnęła się jeszcze raz, mocniej. - Istnieję. - Jeszcze jedno klepnięcie. - Żyję w twoim życiu.

- Tak, tak. O co chodzi?

- Zastrzelimy dziewczynę i odetniemy jej ręce.

- Dobrze, kochanie. - Machnął w stronę drugiego końca przyczepy. - Zróbcie to w tamtej sypialni.

Jefim wyciągnął rękę do Amandy. Dziewczyna nawet nie drgnęła.

- Ja to zrobię - zdecydowała Violeta.

- Co? - zdziwił się Jefim.

- Chcę sama to zrobić. - Nie odrywała oczu od twarzy Amandy. - Wolałaby, żeby to zrobiła kobieta. Znam ją.

- Pozwól jej, niech to sama zrobi. - Kirył leniwie machnął ręką.

Amanda nie wydała z siebie żadnego dźwięku. Nie zadrzała, nie zbladła. Patrzyła na nich oboje szeroko otwartymi oczyma, bez mrugnięcia.

- Co? Chwileczkę. - Helene nagle jakby się obudziła. - Co się tu dzieje?

Torba Helene wciąż leżała u jej stóp. Nie przeszukali jej, a w środku była moja czterdziestka piątka. Potrzebowałem czterech kroków, żeby jej dopaść. Wtedy musiałbym ją wyciągnąć, odbezpieczyć i w kogoś wycelować. Mogłem być pewien, że nawet w najbardziej optymistycznym scenariuszu Paweł i Jefim wpakują we mnie ze dwadzieścia kul, zanim wyciągnę pistolet z torebki.

Dlatego się nie ruszyłem.

- Co się tu dzieje? - powtórzyła Helene, ale nikt jej nie słuchał.

Violeta pocałowała Amandę w policzek i przejechała dłonią po główce Claire.

- Pani Borzakow? - odezwał się znów Jefim. - Strzelała pani już kiedyś z tej broni?

Violeta podeszła do Jefima.

- Z jakiej?

- To pistolet automatyczny, kaliber czterdzieści.

- Lubię rewolwery.

- W tej chwili nie mam rewolweru.

- Dobrze. - Westchnęła, odgarniając włosy za ramiona. - Pokaż mi ten pistolet.

Jefim włożył jej pistolet do ręki i pokazał, jak odbezpieczać.

- Trochę ściąga na lewo - ostrzegł. - A w zamkniętym pomieszczeniu będzie głośny huk.

- Obiecałeś, że nikt nie ucierpi - przypomniała Helene Kenny'emu.

- No właśnie, panie Borzakow - zwrócił się Kenny do Kiryła. - Mieliśmy umowę.

- Żadnych umów z tobą - oświadczył Kirył z lekceważącym machnięciem. - Paweł.

Paweł wycelował makarowa w Helene i Kenny'ego.

- Ich też zabrać do tylnej sypialni, Kirył?

- Tak. Co zrobiłeś z tą drugą dziewczyną?

Paweł wskazał na Claire.

- Z matką tej małej?

- Tak.

- Nie ma problemu, szefie. Jest w salonie. Spartak się nią zajmie, jeśli mu każe.

- Dobrze, dobrze.

Jefim skończył instruować Violetę w kwestii działania pistoletu.

- Rozumie pani teraz?

- Rozumiem.

- Na pewno, panie Borzakow?

Wypuściła pistolet z ręki.

- Na pewno, na pewno. Uważasz mnie za głupią, Jefim?

- Trochę tak. - Jefim odbezpieczył pistolet i nacisnął spust. Kula weszła w czaszkę Violety przez miękkie miejsce pod dolną szczęką. Wyszła czubkiem głowy, pociągając za sobą strumień krwi zmieszanej z odłamkami kości, który sięgnął sufitu. Kaszkiet spadł za kanapę. Kolana ugięły jej się najpierw w lewo, potem w prawo, aż padła na kanapę, a stamtąd zsunęła się na ziemię.

Kirył już się podnosił, ale Jefim strzelił mu w brzuch. Borzakow wydał dźwięk, jaki słyszałem kiedyś u psa potrąconego przez samochód.

Spartak wyłonił się zza zasłony z rewolwerem w dłoni. Paweł strzelił mu w skroń. Spartak zrobił jeszcze pół kroku, podczas gdy jego mózg spływał różowo-czerwoną mazią po lustrze na ścianie, a potem osiłek upadł twarzą do ziemi obok moich stóp. Usta miał otwarte, sapał.

Po paru sekundach sapanie ustało.

Paweł odwrócił się i wycelował w pierś Kenny'ego.

- Zaczekaj - powiedział Kenny. - Wstrzymaj się...

Paweł spojrział na Jefima. Jefim popatrzył na Amandę. Po sekundzie lub dwóch powrócił wzrokiem do Pawła i mrugnął.

Paweł strzelił raz w pierś Kenny'ego. Ten wzdrygnął się jak porażony prądem.

Helene krzyknęła.

- Nie, nie, nie, nie, nie - powtarzał Tadeo, z całych sił zaciskając powieki.

Kenny podniósł rękę i rozejrzał się, w oczach miał dzikie przerażenie. Paweł podszedł do niego, wpakował drugą kulę w jego czoło i Kenny przestał się poruszać.

Helene skuliła się na kanapie, przyjmując pozycję embrionalną; z jej szeroko otwartych do krzyku ust ciekła ślina, ale nie wydobywał się z nich żaden dźwięk. Patrzyła na Kenny'ego - leżał na dywanie obok Spartaka. Paweł wycelował w nią, ale nie nacisnął na spust. Tadeo zsunął się z kanapy, lądując na kolanach i zaczął się głośno modlić.

Kirył z oczami utkwionymi w suficie drapał kanapę, jakby w ciemności próbował wymacać pilota. Chrząkał, raz po raz, a przy każdym chrząknięciu krew chlustała na biały sweter i beżowe spodnie. Otworzył usta i głośno wciągał powietrze, kiedy Jefim oparł jedną nogę na kanapie i przytknął mu do serca łufę swojego springfielda XD.

- Kochałem cię jak ojca, ale robisz się kłopotliwy. Chyba wciągasz za dużo tego gówna. I chlejesz za dużo wódki.

- Kto będzie z tobą pracował, jeśli zabijesz swojego szefa? Kto ci zaufa? - wycharczał Kirył.

Jefim się uśmiechnął.

- Mam zgodę wszystkich - Czeczeńów, Gruzinów, nawet tego zwariowanego moskwianina z Brighton Beach. Tego, który według ciebie nie nadaje się na dowódcę. Otóż dowodzi, Kirył. I zgodził się, że musisz odejść.

Kirył zakrywał obiema rękami dziurę w brzuchu, wyginając plecy w łuk z bólu.

Jefim zagryzł zęby i ściągnął wargi.

- Coś ci powiem, Jefim. Ja...

Jefim dwa razy nacisnął spust. Oczy Kiryła jakby wpadły w głąb czaszki.

Wypuścił powietrze z nienaturalnie cienkim świstem. Między powiekami widać było tylko białka. Kiedy Jefim zdjął nogę z kanapy, z ust Kiryła i z piersi wydostał się dym.

Jefim podszedł do Amandy.

- Pozwolimy twojej matce żyć?

- O Boże - krzyknęła Helene, wciąż zwinięta w kłębek na kanapie.

Amanda długo przyglądała się Helene.

- Chyba tak. Ale nie nazywaj jej moją matką.

- A ten mały Hiszpan?

- Pewnie potrzebuje pracy.

- Hej, mały. Potrzebujesz roboty?

- Nie, człowieku - wydukał Tadeo. - Mam dość tego pieprzonego gówna. Wolę pracować u mojego wujka.

- A czym on się zajmuje?

Tadeo nagle pozbył się akcentu.

- Sprzedaje ubezpieczenia.

Jefim uśmiechnął się pod nosem.

- To jeszcze gorsza robota od naszej. Słyszysz, Paweł? Ten parsknął zaskakująco piskliwym chichotem.

- Dobra, mały. Kiedy stąd wyjdiesz, idź sprzedawać ubezpieczenia. Na dziś chyba dość zabijania, co, Paweł?

Paweł pokiwał głową.

- Uszy mnie bolą.

Jefim spojrzał na sufit.

- Co za dziadostwo. Za dużo blachy. Dudni jak cholera. Teraz, gdy ja jestem królem, Paweł, nie będzie żadnego mieszkania w przyczepach.

- George Clooney już nie jest królem - powiedział Paweł.

Jefim klasnął w dłoń.

- Ha! Masz rację. Pieprzyć George'a Clooneya, co? Może któregoś dnia zagra króla, ale nigdy nie będzie królem jak Jefim.

- Jasne, szefie.

Jefim sięgnął do kieszeni marynarki i wyciągnął z niej mały czarny kluzyk. Podszedł do Amandy.

- Podnieś rękę.

Odpiął obręcz na jej prawej ręce, a potem na rączce dziecka.

- Ludzie, patrzcie na nią. Zasnęła.
- Wygląda, że głośnie hałasy jej nie przeszkadzają - zauważyła Amanda. - Słowo daję, przy tym dziecku każdy dzień jest niespodzianką.

- Nie musisz mi mówić. - Jefim rozpiął obręcz na jej lewej ręce. - Trzymasz ją?

- Trzymam.

- Trzymaj mocno.

- Trzymam mocno. Ona jest w nosidle, Jefim.

- Jasne. Zapomniałem. - Chwycił kajdanki w miejscu połączenia obręczy i ostrożnie zdjął z rąk Amandy i dziecka.

Pomasowała sobie przeguby, rozglądając się po pobojowisku.

- No cóż...

Jefim wyciągnął do niej rękę.

- Miło mi było, panno Amando.

- Nie jesteś taki zły, Jefim. - Uścisnęła mu dłoń. - Aha, krzyż jest w torebce Helene.

Jefim pstryknął palcami. Paweł rzucił mu torebkę. Jefim wyciągnął z niej krzyż i się uśmiechnął.

- Moja rodzina, zanim przeniosła się do Mordwy dwieście lat temu, mieszkała w Kijowie. - Popatrzył na mnie spod uniesionych brwi. - Naprawdę. Ojciec mi mówił, że pochodzimy od samego księcia Jarosława. To moje rodzinne dziedzictwo, człowieku.

- Z księcia na króla - powiedział Paweł.

- Och, jesteś zbyt uprzejmy, człowieku. - Pogrzebawszy w torebce, spojrzął na mnie pytająco. - Czyj to pistolet?

- Mój - powiedziałem zgodnie z prawdą.

- Był w tej torebce przez cały czas? Paweł!

Paweł podniósł w górę obie ręce.

- Spartak miał sprawdzić tę kobietę.

Obaj spuścili wzrok na Spartaka, którego krew wciekała pod kanapę. Po paru sekundach popatrzyli na siebie nawzajem i wzruszyli ramionami.

Jefim wręczył mi pistolet takim gestem, jakby mi podawał puszkę coli, a ja umieściłem broń w kaburze na plecach. Dopiero co na

moich oczach zastrzelono cztery osoby, a ja nic nie czułem. Ciach i już... Tyle mnie kosztowało dwadzieścia lat taplania się w gównie.

- Och, zaczekaj. - Jefim sięgnął do tylnej kieszeni i wyciągnął z niej gruby czarny portfel. Chwilę w nim grzebał, po czym podał mi moje prawo jazdy. - Jakbyś czegoś potrzebował, dzwoń.

- Nie będę.

Przyjrzał mi się, mrużąc oczy.

- Chcesz sprzedawać ubezpieczenia jak ten mały?

- Nie ubezpieczenia.

- No to co będziesz robił?

- Wracam do szkoły - odparłem i w tym samym momencie uświadomiłem sobie, że naprawdę tego chcę.

Uniósł brwi w grymasie zdziwienia, a potem pokiwał głową.

- Dobry pomysł. Nie nadajesz się już do takiego życia.

- Nie.

- Jesteś stary.

- Racja.

- Masz dziecko, żonę.

- Właśnie.

- Jesteś stary.

- Już to mówiłeś.

Podsunał mi krzyż pod oczy.

- Piękny, co? Za każdym razem, kiedy ktoś za niego umiera, robi się jeszcze piękniejszy.

Wskazałem łacińską inskrypcję na dole.

- Co to znaczy?

- Jak to co znaczy?

- To coś o niebie albo o raj. Chyba o raj, ale nie jestem pewien.

Jefim popatrzył na ciała leżące na kanapie i na podłodze u jego stóp. Zachichotał.

- Spodoba ci się, człowieku. To znaczy: „Miejsce czaszki stało się rajem”.

- A co to znaczy?

- Zawsze myślałem, że śmierć to nie koniec. Gdzie widzisz czaszkę u tego tu? On już jest w raj. Na zawsze, przyjacielu. - Podrapał się w skroń

celownikiem pistoletu i westchnął. - Masz Blu-Raya?

- Co?

- Odtwarzacz Blu-Ray.

- Nie.

- Och, człowieku, jesteś szalony. Paweł, powiedz mu.

- Oglądanie filmów na czymś innym niż Blu-Ray jest bez sensu - wyjaśnił Paweł. - Chodzi o piksele. Tysiąc osiemdziesiąt dpi, dolby HD. To inne życie, człowieku.

Jefim machnięciem wskazał na pudła piętrzące się nad zwłokami Kiryła.

- Ja tam lubię Sony'ego, ale Paweł przysięga, że JVC jest lepsze. Weź dwa. Pooglądasz oba z żoną i dzieckiem i mi powiesz, które wolisz. Co?

- Jasne.

- Chcesz PlayStation trójkę?

- Nie, dzięki.

- iPoda?

- Mam dwa, dziękuję.

- To może Kindle, przyjacielu?

- Nie.

- Jesteś pewien?

- Jestem pewien. Pokręcił głową.

- Nie mogę rozdać tego pieprzonego gówna.

Wyciągnąłem do niego zdrową rękę.

- Trzymaj się, Jefim.

Poklepał mnie po obu łopatkach i ucałował w oba policzki. Nadal czuć go było szynką i octem. Objął mnie, wałąc pięściami w moje plecy. Dopiero na koniec uściskał mi rękę.

- Ty też, przyjacielu, ty kmiecie.

Rozdział 25

Koniec końców to była całkiem ciekawa Wigilia Bożego Narodzenia.

Opuściliśmy osiedle przyczep z opóźnieniem, ponieważ zarówno Hele-
ne, jak i Tadeowi puściły nerwy, a wraz z nimi zwieracze, kiedy Jefim i
Paweł zastrzelili cztery osoby w czasie potrzebnym na zapalenie papierosa.
Potem Tadeo zemdłał. Stało się to tuż po mojej rozmowie z Jefimem na
temat odtwarzaczy Blu-Ray i czytników Kindle. Wymieniając ostatni mę-
ski uścisk, usłyszeliśmy głuchy łomot i ujrzeliśmy Tadea leżącego na pod-
łodze przyczepy; oddychał jak ryba, którą fala wyrzuciła na brzeg i tam
zostawiła.

- Jeśli chcesz znać moje zdanie - odezwał się Jefim - to nie jestem pe-
wien, czy sobie poradzi w biznesie ubezpieczeniowym.

Przez chwilę staliśmy przy chevroletcie - Amanda, dziecko, Sophie i ja.
Sophie z papierosem w dłoni drżała i patrzyła na mnie przepraszająco, nie
wiem, czy dlatego, że paliła, czy dlatego, że drżała. Paweł kazał nam za-
czekać i wrócił do przyczepy. Po chwili wyszedł, niosąc dwa odtwarzacze
Blu-Ray.

W środku ktoś uruchomił piłę łańcuchową.

Paweł podał mi odtwarzacze.

- Miłego oglądania. *Do swidanija.*

- *Do swidanija.*

Podszedłem do bagażnika chevroleta i zawołałem za Pawłem, który już
był przy drzwiach przyczepy:

- Nie mamy kluczyków.

Spojrzał na mnie z pytaniem w oczach.

- Kenny je miał. Muszą być w jego kieszeni.

- Daj mi minutę.

- Hej, Paweł!

Odwrócił się z ręką na klamce.

- Macie może lód? - Pokazałem oparzoną dłoń.

- Sprawdzę. - Zniknął w przyczepie.

Kładłem odtwarzacze na ziemi przy aucie, kiedy zadzwonił mój telefon. Na wyświetlaczu pojawiła się komórka Angie. Odebrałem najszybciej jak mogłem i odszedłem od samochodu w stronę rzeki.

- Cześć, skarbie.

- Cześć - odpowiedziała Angie. - Jak tam w Bostonie?

- W tej chwili całkiem ładnie. Mam na myśli pogodę. - Dotarłem na brzeg i stanąłem, patrząc na brunatne wody rzeki Charles; tu i tam na powierzchni było widać grudki lodu. - Jakies trzy lub cztery stopnie. Niebieskie niebo. Jakby było Święto Dziękczynienia, a nie Boże Narodzenie. A jak u was?

- Około trzynastu stopni. Gabby jest zachwycona. Wiesz, te wszystkie skwery, powozy zaprzężone w konie, drzewa. Nie może się nacieszyć.

- Więc masz zamiar zostać?

- Do licha, nie. Przecież jest Wigilia. Jesteśmy na lotnisku. Za godzinę wsiadamy do samolotu.

- Nie powiedziałem, że możesz wracać.

- Ty nie, ale Bubba tak.

- No nie...

- Powiedział, że tak samo łatwo strzelać do Rosjan w Bostonie.

- Przekonujący argument. W takim razie dobrze, wracajcie do domu.

- Załatwiłeś sprawę?

- Załatwiłem. Nie rozłączaj się.

- Co?

- Poczekaj moment. - Przytrzymałem komórkę przy uchu uniesionym ramieniem; o wiele łatwiej było to zrobić ze zwykłym telefonem. Wyciągnąłem swojego colta commandera z kabury na plecach. - Jesteś tam jeszcze?

- Jestem.

Wysunąłem magazynek i wydułabałem nabój z komory. Następnie pociągnąłem zamek, oddzielając go od szkieletu. Wrzuciłem zamek do wody.

- Co ty robisz? - spytała Angie.

- Wyrzucam swoją broń do rzeki Charles.

- Żartujesz.

- Nie. - Wyrzuciłem magazynek i patrzyłem, jak znika w leniwym

nurcie. Kolejne machnięcie i zniknęła rękojeść. Została mi jedna kula i szkielet. Zastanawiałem się nad jednym i drugim.

- Właśnie wyrzuciłeś swoją broń. Czterdziestkę piątkę?

- Tak, proszę pani. - Cisnąłem szkieletem; zatoczył łuk w powietrzu i uderzył o wodę z głośnym pluśnięciem.

- Kochanie, broń będzie ci potrzebna w pracy.

- Nie - powiedziałem. - Nie będę tego więcej robił. Mike Colette zaproponował mi posadę w swojej firmie przewozowej i mam zamiar ją przyjąć.

- Mówisz poważnie?

- Wiesz co, skarbie? - Obejrzałem się na przyczepę. - Kiedy zaczynasz to robić, myślisz, że spotka cię coś naprawdę strasznego - ten biedny mały chłopiec w wannie wtedy w dziewięćdziesiątym ósmym, to co się stało w barze Gerry'ego Glynna, Chryste, tamten bunkier w Plymouth... - Wciągnęłem powietrze, po czym wypuściłem je powoli. - Ale nie chodzi o te momenty. Chodzi o te drobne. Przygnębia mnie nie to, że ludzie zabijają się dla miliona dolarów, tylko że robią to dla dziesięciu. Nie obchodzi mnie już, czy żona jakiegoś tam faceta go zdradza, bo on prawdopodobnie na to zasługuje. A te wszystkie firmy ubezpieczeniowe? Pomagam im dowieść, że facet udaje kontuzję szyi, a kiedy przychodzi kryzys, odwracają się plecami i odmawiają ochrony ubezpieczeniowej. Przez ostatnie trzy lata, za każdym razem, kiedy siadałem rano na rogu materaca, żeby włożyć buty, miałem ochotę wczougać się z powrotem pod kołdrę. Nie chcę wychodzić z domu i robić to, co robię.

- Ale masz na koncie wiele dobrego. Chyba o tym wiesz?

Nie wiedziałem.

- Naprawdę. Wszyscy, których znam, kłamią, łamią dane słowo i mają na to doskonale usprawiedliwienia. Wszyscy poza tobą. Nie zauważyłeś tego? Dwukrotnie w ciągu dwunastu lat powiedziałeś, że znajdziesz tę dziewczynę, choćby nie wiadomo co. I znalazłeś. Dlaczego? Bo dałeś słowo. A to może nic nie znaczyć dla reszty świata, ale dla ciebie znaczy wszystko. Cokolwiek się dziś wydarzyło, znalazłeś ją dwa razy, Patrick. A nikt inny nawet by nie próbował.

Patrzyłem na rzekę i miałem ochotę się w niej zanurzyć.

- Rozumiem, dlaczego nie chcesz dalej tego robić – powiedziała moja żona - ale nie chcę słyszeć, jak mówisz, że to nie miało znaczenia.

Cały czas patrzyłem na rzekę.

- Niektóre rzeczy miały znaczenie.

- Niektóre miały.

Przeniosłem wzrok na gołe drzewa i szare niebo rozciągające się za nimi.

- Ale wycofuję się całkowicie. Nie masz nic przeciwko temu?

- Absolutnie nic - zapewniła.

- Mike Colette ma dobry rok. Jego hurtownie kwitną. Otwiera nową koło Freeport w przyszłym miesiącu.

- A ty, który pracowałeś w transporcie przez cały college... Właśnie tam się widzisz za dziesięć lat?

- Co? Nie, nie, nie. A ty mnie tam widzisz?

- Wcale nie.

- Pomyślałem o magisterium. Jestem pewien, że uda mi się załatwić jakieś finansowe wsparcie, grant albo coś w tym rodzaju. Ostatecznie kiedyś miałem doskonałe wyniki.

- Doskonałe wyniki? - Zachichotała. - Chodziłeś do stanowego college'u.

- Jesteś nieczuła. Mimo to prezentowały się doskonale.

- A kim będzie mój mąż w swoim drugim życiu zawodowym?

- Myślałem o tym, żeby zostać nauczycielem. Może historii.

Czekałem na cierpką uwagę, żartobliwy docinek. Nic takiego nie nastąpiło.

- Podoba ci się mój pomysł?

- Myślę, że będziesz świetny - powiedziała miękko. - Co powiesz u Duhamela-Standiforda?

- Że to była moja ostatnia sprawa. - Jastrząb przeleciał tuż nad wodą, szybko i bezszelestnie. - Będę czekał na lotnisku.

- Dzięki temu, co powiedziałeś, mogę uznać ten rok za udany.

- Dzięki tobie mogę uznać moje życie za udane.

Rozłączyłem się i znów popatrzyłem na rzekę. Podczas naszej rozmowy światło się zmieniło i teraz tafla wody miała miedziany odcień. Umieściłem

ostatnią posiadaną kulę na kciuku i trzymałem ją tak przez chwilę. Przyglądałem się jej, mrużąc oczy, aż miałem wrażenie, że wygląda jak smukła wieża wybudowana na brzegu. Pstryknąłem środkowym palcem w kciuk i kula wskoczyła do miedzianej wody.

- Wesołych świąt - powiedział Jeremy Dent, kiedy jego sekretarka mnie z nim połączyła. - Skończyłeś swoją akcję dobroczynną?

- Skończyłem.

- No to widzimy się pojutrze.

- Nie.

- Słucham?

- Nie chcę dla pana pracować, Jeremy.

- Przecież mówiłeś, że chcesz.

- No cóż, chyba pana zwodziłem - przyznałem. - To niezbyt przyjemne, prawda?

Kiedy odkładałem słuchawkę, bardzo brzydko mnie nazwał.

Na południowo-zachodnim krańcu osiedla przyczep ktoś ustawił kilka ławek i roślin w doniczkach, tworząc zakątek do siedzenia. Podszedłem tam i usiadłem na ławce. Nie przypominało to patia w ekskluzywnej knajpie, ale było całkiem niezłe. Tam mnie znalazła Amanda. Podała mi kluczyki i małą plastikową torebkę wypełnioną lodem.

- Paweł włożył twoje odtwarzacze do tyłu.

- Bardzo troskliwy mordwiński zabójca. - Położyłem lód na poparzonej dłoni.

Amanda usiadła po mojej prawej stronie i zapatrzyła się na rzekę.

Wyciągnąłem rękę i położyłem kluczyki od chevroleta obok niej na ławce.

- Nie wracam do Berkshires.

- Nie? A twoje odtwarzacze Blu-Ray?

- Zatrzymaj je. Zrób sobie ucztę HD.

Pokiwała głową.

- Dzięki. Jak się dostaniesz do domu?

- Jeśli mnie pamięć nie myli, na Spring Street jest dworzec autobusowy, po drugiej stronie drogi numer jeden. Dojadę autobusem do Forest Hill, a

stamtąd metrem na lotnisko Logana, spotkać się z rodziną.

- Rozsądny plan.
- A ty?
- Ja? - Wzruszyła ramionami. Znów przez chwilę patrzyła na rzekę.
- Gdzie jest Claire? - spytałem, przerywając przedłużającą się ciszę.

Wskazała ruchem głowy na chevroleta.

- Sophie ją wzięła.
- A Helene i Tadeo?
- Ostatni raz, kiedy widziałam Jefima, próbował wcisnąć Tadeowi parę dzinsów Mavi za ciężkie pieniądze, Tadeo wciąż się trzęsie. Powtarzał: „Daj mi te pieprzone levisy, człowieku”. Ale Jefim nie ustępował. „Czemu nosisz levisy, chłopie? Myślałem, że masz elegancki styl”.

- A Helene?
- Dał jej bardzo ładne spodnie i nawet nic nie policzył.
- Nie, chodziło mi o to, czy wymiotuje?
- Przestała jakieś pięć minut temu. Jeszcze dziesięć i będzie mogła wsiąść do samochodu.

Obejrzałem się przez ramię na przyczepę. Wyglądała niepozornie i niegroźnie na tle brązowej wody i błękitnego nieba. Po drugiej stronie rzeki była irlandzka restauracja. Widziałem klientów jedzących lunch; patrzyli obojętnie przez okna, nie mając pojęcia, co leży w tej przyczepie i czeka na piłę łańcuchową.

- Więc to było...

Podążyła za moim wzrokiem. W oczach miała coś, co można by określić jako pozostałość szoku. Mogło jej się wydawać, że jest przygotowana na to, co miało się wydarzyć, ale tak naprawdę wcale nie była. Uniosła kąciki ust w grymasie, który zapewne miał być uśmiechem.

- Działo się, co? - powiedziała cicho.
- Widziałas wcześniej, jak ktoś umiera?

Pokiwała głową.

- Timur i Zippo.
- Czyli nie po raz pierwszy zetknęłaś się z gwałtowną śmiercią.
- Nie jestem ekspertem, ale chyba można powiedzieć, że te młode oczy niejedno widziały.

Podciągnąłem suwak kurtki trochę wyżej, jako że grudniowy ziąb znad rzeki rozpełzał się po osiedlu.

- A jak się czuły te młode oczy, widząc, jak Dre rozpada się na drobne kawałki?

Znieruchomiała, pochylona lekko do przodu; z łokciami opartymi na kolanach.

- Zorientowałaś się przez breloczek do kluczy, prawda?

- Tak, przez breloczek.

- Myśl o tym, że martwy czy żywy nosi zdjęcie mojej córki w kieszeni... Nie mogłam się z tym pogodzić. - Wzruszyła ramionami. - Ups.

- Znałaś rozkład jazdy ekspresu Acela, jestem pewien, kiedy przerzuciłaś krzyż przez tory.

Parsknęła śmiechem.

- Mówisz poważnie? Cokolwiek się według ciebie stało w tamtym lesie, naprawdę wierzysz, że ludzie zawsze są świadomi kierujących nimi motywów? Życie jest bardziej pokręcone. Poczułam impuls. Rzuciłam krzyż. A ten idiota za nim pobiegł. I zginął.

- Ale dlaczego rzuciłaś krzyż?

- Gadał o tym, że przestanie pić i będzie takim facetem, jakiego potrzebuję. To było okropne. Nie miałam serca mu mówić, że nie potrzebuję faceta, więc po prostu cisnęłam tym przeklętym krzyżem.

- Niezła historyjka - przyznałem. - Ale nie odpowiada na pierwotne pytanie: skąd się tam w ogóle wzięliśmy? Nie wymienialiśmy nic za Sophie. Jej nawet tam nie było.

Amanda siedziała nienaturalnie usztywniona.

- Dre musiał odejść - odezwała się w końcu. - W taki czy inny sposób spełnił swoje zadanie. Gdyby po prostu odszedł, nadal by żył.

- Masz na myśli, gdyby odszedł dokądkolwiek, byle nie pod koła tego pieprzonego ekspresu.

- Właśnie.

- A gdybym ja tam był razem z Dre?

- Ale nie byłeś. To nie przypadek. Od dnia, kiedy zginęli Timur i Zippo, a ja miałam Claire i krzyż, nic nie było przypadkowe.

- Ale gdyby coś nie poszło zgodnie z planem?

Odwróciła ręce wewnętrzną stroną dłoni ku górze.

- Ale poszło. Kirył nigdy by się nie dał wywieźć do takiego miejsca, gdyby wszystko nie wyglądało logicznie, a nawet więcej niż logicznie. Każdy musiał perfekcyjnie odegrać swoją rolę. A wiem z własnego doświadczenia, że to się zdarza tylko wtedy, kiedy ludzie nie wiedzą, że grają.

- Jak ja.

- Daj spokój. - Zachichotała. - Ty podejrzewałeś. Ile razy zadawałeś pytanie, dlaczego ukryłam się tak, że łatwo mnie znaleźć? Nie mogłam inaczej - połączone intelektu Kenny'ego, Helene i Tadea nie są w stanie rozwiązać krzyżówki z „Teletygodnia”, Musiałam zadbać, by okruszki sypane na przynętę miały wielkość grzanek.

- Zatem jak szybko po śmierci Timura Jefim cię znalazł?

- Zajęło mu to około sześciu godzin.

- I?

- Spytałam go, jak to jest mieć szefa, który wysyła takiego durnia jak Timur po coś tak cennego jak białoruski krzyż. Od tego momentu koła zaczęły się kręcić całkiem szybko.

- Więc plan polegał na doprowadzeniu do sytuacji, w której przewrót pałacowy zaczął się wydawać nieuchronny z zewnątrz.

- Ulepszałyśmy go w trakcie, ale taki był główny cel. Ja dostawałam dziecko i Sophie, a Jefim całą resztę.

- Sophie. Co teraz z nią będzie?

- Na początek pójdzie na odwyk. A potem może pojedzie odwiedzić mamę.

- Masz na myśli Elaine?

Przytaknęła skinieniem.

- To jej mama. Ważne jest, kto wyżywi, Patricku, nie kto urodzi.

- A co z twoją żywicielką?

- Beatrice? - Uśmiechnęła się. - Oczywiście zobaczę się z Beą. Nie jutro, ale wkrótce. Musi poznać swoją cioteczną wnuczkę. Nie martw się o Beę. Ona nie musi się już martwić o nic do końca życia. Wynajęłam prawnika, który pracuje nad wcześniejszym zwolnieniem wujka Lionela. - Odchyliła się na oparcie ławki. - Będzie dobrze.

Przyglądałam jej się przez chwilę; ta niespełna siedemnastoletnia dziewczyna mówiła jak... osiemdziesięciolatka?

- Masz jakiegokolwiek wyrzuty sumienia?

- To by ci pomogło spokojnie spać? Świadomość, że mam wyrzuty sumienia? - Postawiła stopę na ławce i oparła brodę na kolanie.

- Mówię wprost: nie mam twardego serca tak w ogóle. Mam twarde serce tylko dla dupków. Jeśli chcesz krokodylich łez, to ich we mnie nie ma. Po kim miałabym płakać - po Kennym z jego bogatym kryminalnym życiorysem? Po Dre i jego fabryce dzieci? Po Kiryle i tej porąbanej suce jego żonie? Po Timurze i...

- A ty? - przerwałem jej.

- Co?

- Ty - powtórzyłem.

Patrzyła na mnie; szczęka jej się ruszała, ale z ust nie wydobywał się żaden dźwięk. Po jakimś czasie jej szczęka przestała się ruszać.

- Wiesz, jaka była babka, matka Helene? - spytała.

Zaprzeciłem ruchem głowy.

- Była wrakiem przesiąkniętym dżinem. Chodziła dwadzieścia lat do tego samego baru, żeby paleniem i piciem wpędzić się przedwcześnie do grobu. Kiedy zmarła, nikt z bywalców baru nie przyszedł na pogrzeb. Nie dlatego, że jej nie lubili, dlatego, że nigdy nie poznali jej nazwiska. - Oczy jej na moment spochmurniały, a może to było tylko odbicie rzeki. - A jej matka? Była mniej więcej taka sama. Z tego co wiem, żadna kobieta z rodziny McCready nie skończyła liceum. Wszystkie były przez całe życie uzależnione od mężczyzn i butelki. Dlatego za dwadzieścia dwa lata Claire będzie kończyć szkołę i będziemy mieszkać w domu, gdzie podstawową rozrywką nie będą pościgi za karaluchami, prąd nigdy nie będzie odłączany i co wieczór o szóstej nie będzie telefonów od agencji windykacyjnych. Kiedy moje życie będzie tak wyglądać, wtedy możesz mnie pytać, jak bardzo żałuję utraconej młodości. - Złożyła dłoń, opierając je o kolano. Z daleka mogła wyglądać, jakby się modliła. - Ale do tej pory, jeśli nie masz nic przeciwko temu, będę sypiała jak niemowlę.

- Niemowlęta budzą się co parę godzin i płaczą.

Amanda odpowiedziała łagodnym uśmiechem.

- No to będę się budzić co parę godzin i płakać.

Siedzieliśmy tam jeszcze przez parę minut, nie mając już sobie nic do powiedzenia. Patrzyliśmy na rzekę. Kuliliśmy się z zimna, każde w swoim okryciu. A potem oboje wstaliśmy i wróciliśmy do reszty.

Helene i Tadeo kręcili się przed samochodem, milczący, nadal w szoku. Sophie trzymała na rękach Claire i popatrywała na Amandę tak, jakby zamierzała założyć sektę ku jej czci.

Amanda wzięła małą od Sophie i obejmując wzrokiem swoją nieszczęsną kompanię, oznajmiła:

- Patrick ma zamiar skorzystać z publicznej komunikacji. Pożegnajcie się z nim.

Pomachały mi trzy uniesione ręce; Sophie dorzuciła jeszcze jeden przepraszający uśmiech.

- Tadeo, mówisz, że chcesz się dostać do Bromley-Heath, tak?

- Zgadza się - odpowiedział Tadeo.

- W takim razie wysadzimy najpierw Tadea, potem Helene. Sophie, ty siadasz za kółkiem. Jesteś trzeźwa?

- Jestem trzeźwa.

- No to w porządku. Musimy zrobić jeden postój. W Costco, parę kilometrów stąd przy drodze numer jeden. Mają tam rzeczy dla dzieci.

- Nie czas na kupowanie zabawek - odezwał się Tadeo. - Ludzie, przecież jest Wigilia.

Amanda spojrzała na niego z politowaniem.

- Nie będziemy kupować zabawek, tylko fotelik samochodowy. Mamy jechać całą drogę do Berkshires bez fotelika? Daj spokój, człowieku. - Poglądziła Claire po włoskach. - Co by była ze mnie za matka?

Poszedłem na stację autobusową. Dojechałem autobusem do metra. Metrem na lotnisko Logana. Nigdy więcej nie zobaczyłem Amandy.

Spotkałem się z żoną i córką w terminalu C. Moja córka nie rzuciła mi się w ramiona w zwolnionym tempie, zawsze sobie wyobrażałem, że to zrobi w takiej sytuacji. Schowała się za nogą matki w niezwykle u niej rzadkim przypiływie nieśmiałości i stamtąd na mnie zerknęła. Podszedłem i całowałem Angie, dopóki nie poczułem szarpania za nogawkę. Spojrzawszy w dół, zobaczyłem Gabby, wpatrzoną we mnie oczyma nadal lekko zapuchniętymi od drzemki, którą ucięła sobie podczas lotu. Podniosła rączki w górę.

- Tata, weź.

Wziąłem ją na ręce. Pocałowałem w policzek. Ona też mnie pocałowała. Pocałowałem ją w drugi policzek i ona zrobiła to samo. Zetknęliśmy się czołami.

- Tęskniłeś za mną?

- Tęskniłam za tobą, tatusiu.

- Powiedziałaś to tak oficjalnie. „Tęskniłam za tobą, tatusiu”. Babcia uczyła cię, jak być prawdziwą damą?

- Kazała mi siedzieć prosto.

- Zgroza.

- Cały czas.

- Nawet w łóżku?

- W łóżku nie. Wiesz dlaczego?

- Dlaczego?

- Bo to by było głupie.

- Byłoby - przyznałem.

- Jak długo jeszcze potrwa ta słodka pogawędka? - Bubba wyrósł obok nas jak spod ziemi. Ma rozmiary nosorożca stojącego na tylnych nogach, więc jego talent do skradania się, nie będąc zauważonym, wciąż mnie zadziwia.

- Gdzie się podziewałeś?

- Włożyłem coś do schowka, lecąc w tamtą stronę, więc teraz musiałem to odebrać.

- Dziwię się, że nie przeszmuglowałeś wszystkich swoich rzeczy przez kontrolę bezpieczeństwa.

- Kto mówi, że nie? - Wskazał kciukiem na Angie. - To ona musi czekać na bagaż.

- Na jedną niewielką torbę. - Angie rozłożyła dłonie na szerokość mniej więcej bochenka chleba. - I drugą niedużą torbę. Wczoraj zrobiłam małe zakupy.

- No to idziemy po bagaż - powiedziałem.

Byliśmy na lotnisku Logana, więc dwa razy zmieniano numer taśmy bagażowej, zmuszając podróżnych do miotania się tam i z powrotem po hali. Potem tłoczyliśmy się w gromadzie ludzi - każdy chciał stanąć jak

najbliżej - i patrzyliśmy na nieruchomy pas. Nic się nie działo. Pas się nie przesunął. Światelko nie migotało. Dzwonek ogłaszający zbliżanie się bagaży nie zabrzmiał.

Gabby siedziała mi na barana i ciągnęła mnie za włosy, od czasu do czasu szarpiąc też za ucho. Angie ścisnęła moje ramię trochę mocniej niż zwykle. Bubba podszedł do stoiska z gazetami i nim się spostrześliśmy, oparty o ladę gwarzył z kasjerką, uśmiechając się do niej zalotnie. Kasjerka miała trzydzieści parę lat i skórę w kolorze toffi. Była mała i chuda, ale nawet z daleka wyglądała na osobę, która wkurzona potrafi dać się we znaki. Jednak pod wpływem uwagi okazywanej przez Bubbę ubyło jej pięć lat i zaczęła ochoczo odwzajemniać uśmiechy.

- Jak myślisz, o czym rozmawiają? - spytała mnie Angie.
- O bronii.
- Skoro już o tym mowa, naprawdę wrzuciłeś swoją do rzeki Charles?
- Owszem.
- To zaśmiecanie środowiska.

Przytaknąłem ruchem głowy.

- Ale jestem świetny w recyklingu, więc raz na jakiś czas mogę popełnić eko-grzech.

Ścisnęła moje ramię i na moment położyła mi głowę na piersi. Objąłem ją mocno jedną ręką, drugą miałem zajęętą przytrzymywaniem córki na ramionach.

- Nie powinieneś śmiecić - powiedziała Gabby.

Nagle tuż przed nosem miałem jej twarz odwróconą do góry nogami.

- Nie powinienem.
- To czemu śmieciłeś?
- Czasami ludzie popełniają błędy.

To musiało ją usatysfakcjonować, bo wyprostowała się i powróciła do zabawy moimi włosami.

- Więc co się stało? - spytała Angie.
- Po rozmowie z tobą? Niewiele.
- Gdzie jest Amanda?
- Nie mam pojęcia.

- No nie, ryzykujesz życiem, żeby ją znaleźć, a potem tak po prostu pozwalasz jej odejść?

- Mniej więcej.
- Też mi detektyw.
- Były detektyw - powiedziałem z naciskiem. - Były.

Podczas jazdy z lotniska do domu dziewczyny nabijały się z flirtu Bubby z kasjerką. Dowiedzieliśmy się, że ma na imię Anita i pochodzi z Ekwadoru. Mieszkała w East Boston z dwójką dzieci, bez męża, za to z psem. Mieszkała z nią także jej matka.

- Trochę przerażające - powiedziałem.
 - Sam nie wiem. - Bubba westchnął. - Te stare Ekwadorki to dopiero potrafią gotować.

- Już myślisz o kolacji z rodzicami? - zdziwiła się Angie. - Kurczę. Wybrałeś już imię dla waszego pierwszego dziecka?

Gabby pisnęła z zachwyty.

- Wujek Bubba się żeni.
 - Wujek Bubba się nie żeni. Wujek Bubba na razie dostał numer telefonu. To wszystko.

- Będziesz miała się z kim bawić, Gabby - rzuciła niewinnie Angie.

- Nie spodziewam się dziecka. Ile razy mam powtarzać...

- Będę mogła jej pilnować? - spytała Gabby.

- Będzie mogła jej pilnować? - zagadnęła Angie. - Kiedy podrośnie, ma się rozumieć.

Bubba przyłapał mój wzrok w górnym lusterku.

- Zrób coś, żeby przestały.

- Nie da się nic zrobić. Człowieku, jakbyś ich nie znał. Wyjechaliśmy z tunelu Teda Williama na 93 South.

- Bub-ba i A-ni-ta sie-dzą na drze-wie - zaśpiewała Angie. - I się ca-łu-ją... - dołączyła do niej Gabby.

- Podam ci mojego gnata, a ty mnie zastrzel z łaski swojej.

- Nie ma sprawy. Podaj górą.

Kiedy wyjeżdżaliśmy z ciemnego tunelu, włączając się w popołudniowy ruch, dziewczyny śpiewały, klaszcząc do rytmu. Na drodze nie było zbyt dużo aut, w Wigilię ludzie albo nie szli do pracy, albo kończyli ją wcześniej. Niebo miało kolor cyny i fioleto. Prószył śnieg, rzadki, i nie zbierał się na ziemi. Moja córka znów pisnęła, obaj z Bubbą się wzdrygnęliśmy. Nie jest to przyjemny dźwięk. Bardzo wysoki i wdziera się do uszu niczym

gorące szkło. Kocham swoją córkę do szaleństwa, ale nigdy nie polubię jej pisku.

A może polubię.

Może już lubię.

Jadąc na południe drogą 93, uświadomiłem sobie, raz na zawsze, że kocham rzeczy, które mnie uwierają. Które napełniają mnie stresem tak totalnym, że nie pamiętam czasu, kiedy jego ciężar nie przygniatał mi serca. Kocham to, co raz złamane, nie może być naprawione. Czego, kiedy zostanie utracone, nie można niczym zastąpić.

Kocham moje zobowiązania.

Po raz pierwszy w życiu zrobiło mi się żal ojca. To było tak dziwne uczucie, że zaskoczony pozwoliłem, by przez moment samochód zawadzał o białą linię na jezdni, zanim skorygowałem tor jazdy. Mój ojciec nie miał szczęścia: wściekłość, nienawiść i nieokiełznany narcyzm - wszystko to niezgłębione, nawet teraz, dwadzieścia pięć lat po jego śmierci - pozbawiły go rodziny. Gdybym pisał tak jak Gabriella na tylnym siedzeniu w samochodzie, ojciec odwinąłby ręką do tyłu i mnie uderzył. Dwukrotnie. Albo by zjechał na pobocze i złożył mi skórę. Tak samo postępował z moją siostrą. A jak nas nie było pod ręką, z moją matką. Dlatego umarł samotnie. Swoim zachowaniem wpędził matkę przedwcześnie do grobu, siostra odmówiła przyjazdu do Bostonu, kiedy był już nieuleczalnie chory, a gdy w godzinie śmierci na szpitalnym łóżku wyciągnął do mnie rękę, pozwoliłem, by ta ręka zawisła w powietrzu, a potem opadła na pościel, kiedy jego źrenice zmieniły się w szklane kulki.

Mój ojciec nie kochał swoich zobowiązań, bo on nigdy niczego nie kochał.

Jestem pełnym wad mężczyzną, który kocha pełną wad kobietę i razem daliśmy życie pięknemu dziecku, które, jak się czasami obawiam, nigdy nie przestanie mówić. Albo piszczeć. Mój najlepszy przyjaciel jest na pograniczu świra i ma na sumieniu więcej grzechów niż cały uliczny gang i niektóre rządy. Mimo to...

Zjechaliśmy z drogi szybkiego ruchu na Columbia Road, kiedy dzień się kończył, odpływając po niebie, które teraz miało barwę śliwki. Śnieg ciągle padał niemrawo, jakby się nie mógł zdecydować. Skręciliśmy w lewo na Dot Avenue jednocześnie z zapaleniem się świateł w dwupiętrowych

budynkach mieszkalnych wzdłuż ulicy, barach, w domu spokojnej starości i narożnych sklepach. Chciałbym powiedzieć, że znajdowałem w tym wszystkim jakieś wzniosłe piękno, ale nie znajdowałem.

A mimo wszystko...

Życie, które razem zbudowaliśmy, wypełniało ten samochód.

Zobaczyłem w oddali naszą ulicę i nie chciało mi się zatrzymywać przed domem, bo nie chciałem, żeby ta chwila przestała trwać. Chciałem jechać dalej. Chciałem, żeby wszystko zostało dokładnie takie, jak było w tym momencie.

Ale skręciłem i zatrzymałem się przed domem.

Kiedy wysiedliśmy z auta, Gabby wzięła Bubbę za rękę i poprowadziła go w stronę domu, by poszedł z nią do piwnicy. Poprzedniego roku odpowiadaliśmy na jej nieustępliwe pytania o to, jak Święty Mikołaj może wejść do domu, który nie ma komina, zapewniając ją, że w Dorchester wchodzi przez piwnicę. Dlatego zwerbowała Bubbę, żeby jej pomógł umieścić tam mleko i ciasteczka.

- I jeszcze piwo - zaproponował Bubba, kiedy już dotarli do domu. - On lubi piwo. I nie gardzi też wódką.

- Uwważaj - zawołała Angie, pomagając mi wyciągnąć bagaże z jeepa. - Masz do czynienia z moim dzieckiem.

Płatek śniegu przykleił mi się do policzka i natychmiast zaczął topnieć. Angie starła go palcem. Pocałowała mnie w nos.

- Cieszę się, że już jesteś.

- Ja też.

Ujęła oburącz moją poparzoną dłoń, którą okleiłem wielkim opatrunkiem.

- Dobrze się czujesz?

- Pewnie. A wyglądam, jakbym się źle czuł?

Zajrzała mi w oczy. Wspaniała, zmienna, niesamowicie namiętna kobieta, w której byłem zakochany od drugiej klasy.

- Wyglądasz świetnie. Tyle że... bo ja wiem... melancholijnie.

- Melancholijnie.

- Owszem.

Wyjąłem torby Angie z auta.

- Coś dziś do mnie dotarło, kiedy siedziałem nad rzeką i wyrzucałem pistolet za pięćset dolarów.

- Co?

Zamknąłem klapę bagażnika.

- Moje zyski przewyższają straty.

Przechyliła głowę i posłała mi krzywy uśmiezek. Płatki śniegu osiadały jej na włosach.

- Naprawdę?

- Naprawdę.

- No to wygrałeś, kochanie.

Wciągnąłem głęboko zimne powietrze ze śniegiem.

- Na razie.

- Tak. - Wytrzymała moje spojrzenie. - Na razie.

Zarzuciłem sobie jedną torbę na ramię, drugą podniosłem prawą ręką. Lewą, tą poparzoną, ująłem dłoń mojej żony i poszliśmy wąską ceglana ścieżką do naszego domu.

Podziękowania

Specjalne podziękowania kieruję do: Porucznika Marka Gillespie z MB-TA Police i Chrisa Sylvii z Foxborough Terminals Co. Inc.

Ann Rittenberg, Amy Schiffman, Cristinę Caya i mojej rodziny z centrum miasta - Michaela Morrisona, Brianne Halverson, Seale'a Ballengera i Liate Stehlik.

Angie, Michaela, Sterlinga i Toma - za pierwsze czytania. Oraz Claire Wachtel za odrobaczenie psa i wysłanie go do fryzjera.

Spis treści

Część I

Wydawałeś się taki prawdziwy 9

Część II

Mordwiński rhythm & blues 83

Część III

Białoruski krzyż 177